

**Abe Kōbō**

# **Schadzka**

**(przełożył z japońskiego Mikołaj Melanowicz)**

## **NOTATNIK I**

Płeć – męska  
nazwisko - (opuszczone)  
numer kodu - M73F  
wiek - 32  
wzrost - 1 75 cm  
waga - 59 kg

Na pierwszy rzut oka szczupły, lecz muskularny. Nosi szkła kontaktowe z powodu średnio zaawansowanej krótkowzroczności. Włosy nieco pokręcone. Nieznaczna szrama przy lewym kąciu ust - podobno rezultat kłótni z czasów studenckich, chociaż jest to osobnik wyjątkowo łagodnego usposobienia. Pali poniżej dziesięciu papierosów dziennie. Szczególny talent do jazdy na wrotkach. Okresowa praca w charakterze nagiego modela. Obecnie jest zatrudniony w sklepie sportowym Subaru jako kierownik działu promocji sprzedaży butów do skakania. (Sportowe obuwie ze specjalną elastyczną podeszwą, w którą wbudowano sprężyny z baniek powietrznych). Hobby - budowanie maszyn. Już w szóstej klasie otrzymał brązowy medal w konkursie wynalazczości uczniów, zorganizowanym przez pewną gazetę.

Poniższe sprawozdanie zawiera rezultaty śledztwa prowadzonego w sprawie wyżej wymienionego mężczyzny. Ponieważ nie jest przeznaczone do publikacji, nie będę przywiązywał szczególnej wagi do formy.

Przed świtem, na pewno koło czwartej dziesiątej, zgodnie z umową udałem się na teren dawnej strzelnicy wojskowej, aby dostarczyć jedzenie dla Konia, i właśnie tam powierzono mi to zadanie. Nie sprawiło mi ono szczególnej przykrości, ponieważ zamierzałem zdecydowanie domagać się, żeby dochodzenie ruszyło wreszcie pełną parą. Co prawda miałem na myśli dochodzenie w sprawie miejsca pobytu mojej żony. Niestety, na tym etapie nie otrzymałem żadnej wskazówki co do obiektu poddanego śledztwu, nawet co do płci, pomyślałem więc, że moje życzenia zostały uwzględnione. Prowadzenie śledztwa na ogół daje prawo decydowania o jego treści. Sądziłem więc, że w końcu przynajmniej na tyle mi zaufano.

Poza tym dziś rano, jak nigdy dotąd, Koń był w dobrym nastroju. Podobno udało mu się przebiec aż osiem razy od początku do końca po dobrze udeptanym dwustuczterdziesto-ośmiometrowym pasie strzelnicy. W ciągu całego tego biegu przewrócił się zaledwie trzy razy; jeśli to prawda, to Koń odniósł niemały sukces.

- Krótko mówiąc, chodzi o gotowość duchową do biegu na tylnych nogach - mówił to z trudem ciężko dysząc i wycierając pot z twarzy ręcznikiem owiniętym wokół szyi, następnie wypił jednym haustem karton mleka, który mu przyniosłem, dumnie stanął na tylnych nogach i lekko podskoczył.

- Chcąc nie chcąc, z przyzwyczajenia opieram się na przednich kończynach. A to niedobrze. Biec jak Koń to znaczy kopać jedynie tylnymi nogami, przednie natomiast połączyć, o tak, i wykonać ruch jak sterem.

Staliśmy blisko kulochronu, w długiej, przypominającej jaskinię strzelnicy, ciągnącej się ze wschodu na zachód. Wzdłuż ścian pod sufitem widniał szereg świetlików niby okien w pociągu, lecz mimo to było tu ciemno. Naprzeciw przy ścianie leżały warstwy worków z piaskiem, a tuż przed nami znajdował się głęboki rów, służący do obsługiwania tarcz. Po obu stronach rowu stały duże reflektory do oświetlania celów - to właśnie ukośne promienie reflektorów rozpraszały nieco mrok korytarza. Zachodni jego kraniec, skąd oddawano strzały, wygląda teraz jak czarna dziura. Gdy Koń wierzgnął, podwójny cień rozciągnął się na białej wyschniętej ziemi, niby owad wijący się w pajęczynie.

On myśli, że jest koniem, dlatego nie przeczyłem mu w żywe oczy i nie powiedziałem, że dosyć daleko mu do prawdziwego konia. Przede wszystkim nie może utrzymać równowagi. Tułów ma krótki i gruby, biodra obniżone, tylne nogi zgięte jak w przysiadzie na sedesie. Ześliznęłoby się z niego nawet papierowe siodło. Gdybym nawet bardzo przychylnie patrzył na niego, to w najlepszym razie wyglądałby w moich oczach na rachityczne wielbłądziałko lub czteronogiego strusia.

W dodatku miał na sobie niebieską sportową koszulę oblamowaną ciemnoczerwonym paseczkiem, granatowe spodenki i trampki, poza tym wokół bioder owinął sobie bawełniany materiał, aby zakryć ciało między koszulką a szortami. Zupełnie bez gustu.

- Na pewno, zastanowiwszy się nad tym trzeba powiedzieć, że podobnie jest z rowerami. Bez hamulca działającego na tylne koło niebezpiecznie zjeżdża się z góry.

- No, w tym tempie, w specjalnych butach do jutra będę mógł biegać w podskokach dokoła strzelnicy.

Koń zaśmiał się krótko, a ja nie. W zamian zawtórowało mu echo i odeszło niby wydech powietrza. Budowa stropu o przemiennie ułożonych hakach i kwadratowych blokach miała chyba służyć do zagłuszania huku, lecz tym razem nie dało to żadnego

rezultatu. Zresztą całkiem możliwe, że strop zbudowano w ten sposób po to, by nie trzeba było stosować słupów wspierających.

Gdy nie gryząc połykał kanapkę z sałatą i szynką i siorbał kawę bez cukru z termosu, powiedział, że chce jeszcze trochę dłużej zostać i poćwiczyć. Widać, że się denerwował, ponieważ zostały mu zaledwie cztery dni do występu podczas święta w rocznicę zakładu. Prawdopodobnie w celu wywarcia większego wrażenia pragnął do tego czasu utrzymać swoje istnienie w tajemnicy, ale nie musiał się tym martwić, ponieważ nikt nie byłby na tyle ciekawy, żeby przychodzić na tę starą strzelnicę o tej porze.

Już się pożegnaliśmy, gdy zwrócił się do mnie z prośbą o podjęcie śledztwa w tej sprawie. Jakby na wszelki wypadek wręczył mi notatnik i trzy kasety magnetofonowe. Notatnik był duży, wykonany z dobrego papieru - to właśnie ten notatnik, w którym teraz zacząłem pisać. Naklejki na kasetach miały ten sam symbol M-73F wraz z numerami seryjnymi; ze słów Konia wynikało, że zawierają zapis z podsłuchu i innych sposobów stosowanych podczas inwigilacji obiektu śledztwa.

Jednak nie mogłem się oprzeć wątpliwościom. Mając informację na temat mojej żony jednocześnie udają, że nic o niej nie wiedzą. To mnie rozgniewało, ale z drugiej strony pocieszyłem się, że nie zmieniono - jak sądziłem - kierunku dochodzenia. W każdym razie od zniknięcia żony mija już trzeci dzień. Trudno więc wymagać ode mnie spokojnego wyczekiwania, Wróciłem do pokoju. Najpierw przesłuchałem od początku taśmę. Zajęło mi to około dwu godzin. Po przegraniu całości przesiedziałem beczynn timer jeszcze z godzinę.

Zawiodłem się. Nagranie nie zawierało nawet najmniejszego śladu obecności mojej żony. Nie tylko zresztą żony, nie było w nim cienia jakiegokolwiek kobiety. Tym, kogo aparaty podsłuchowe oraz detektywi szpiegowali, obnażali i szatkowali na drobne kawałeczki, był mężczyzna. Mlaskanie, charkanie, nucenie przez nos fałszem, żucie, błaganie, pusty służalczy śmiech, odbijanie się, smarkanie, nieśmiałe przepraszanie... Pocięty na kawałki, wystawiony na pokaz mężczyzna. Mężczyzna to nikt inny jak tylko ja sam, biegający wkoło w poszukiwaniu zaginionej żony.

Konsternacja stopniowo ustąpiła, a jej miejsce zajął gniew. Co za idiotyczna historia! Po prostu kpią sobie ze mnie. Czyżby chcieli powiedzieć: "Jeśli chcesz znaleźć żonę, wpierw odnajdź siebie"? Niestety, chciałem tylko wiedzieć, gdzie ona jest, a nie prowadzić tak kłopotliwe poszukiwania. Szukanie własnego miejsca pobytu to jakby okradanie własnego portfela przez siebie - kieszonkowca i zakładanie sobie

kajdaneek przez siebie - policjanta. Teraz niech zachowają tego rodzaju morały dla siebie.

Poza tym zmusił mnie do przyjęcia dziwnych warunków. Na przykład, zażądał, abym nie naginał faktów na własną korzyść, a nawet żebym poddał się testowi wykrywacza kłamstwa zawsze wtedy, gdy zostanie przedstawiony mu taki wniosek. Dodał jeszcze jedno życzenie. A mianowicie powinienem w miarę możliwości unikać nazw określonych, a w stosunku do siebie mam posługiwać się tylko zaimkiem trzeciej osoby. To znaczy o sobie mam pisać po prostu "on" lub "mężczyzna", a jego nazywać Koniem. Czyżby chciał wepchnąć mi knebel w usta, żebym się z nikim innym nie kontaktował, a jedynie z nim? Czego się obawiał?

W końcu zacząłem pisać. Nie, nie można powiedzieć, że piszę tylko na życzenie Konia. Myślę, że dziś rano odniósł się do mnie z przesadną szczerością, bym nie mógł wyczuć w jego słowach przebiegłej taktyki. Przejawiał zapał do ćwiczeń, ale kiedy zaczął mówić o śledztwie, w jego twarzy dostrzegłem zatroskanie. Nie mogę przy tym przeoczyć faktu, że po raz pierwszy użył słowa "wypadek". Oznaczałoby to, że uznał - choćby pośrednio - kłopotliwość mego położenia. Rzeczywiście to dziwne śledztwo przeciwko sobie może być uznane za bardziej precyzyjny sposób zgłoszenia straty. Nawet żądanie posługiwania się osobą trzecią może wzmacniać wiarygodność mojej skargi i zmierzać do wzbudzenia większego zainteresowania tą sprawą odpowiednich czynników wewnątrz organizacji, bo niewątpliwie musiał tam być ktoś odpowiedzialny za przeciwdziałanie zbrodniom, za porządek i dyscyplinę. Przesadna bowiem ostrożność często jest mylona ze sprzeciwem. Zgodnie z instrukcją zamierzam - na tyle, na ile jest to możliwe - do jutra rana opracować coś w rodzaju raportu. Rekonstruując fakty znane tylko mnie, na podstawie okrucich zarejestrowanych na taśmie spróbuję w miarę wiernie odtworzyć sytuację labiryntu, w jaki zostałem wciągnięty, przy czym "ja" będzie tu występować jako "on". Wydaje mi się, że w trzeciej osobie uda mi się pisać również i o tym, o czym w pierwszej byłoby niezręcznie mówić.

Zatem jeśli ten wstęp wyda się zbyteczny, można go potem wyrzucić. Zostawiam to do oceny Konia.

Pewnego letniego poranka przyjechało pogotowie ratunkowe, choć nikt nie pamięta, żeby ktokolwiek je wzywał, i zabrało jego żonę.

Było to zdarzenie tak nagłe jak grom z jasnego nieba. Nim syrena go obudziła, oboje spali twardym snem, byli więc zupełnie nie przygotowani. Nawet żona, o którą tu chodzi, ani przedtem, ani potem nie skarżyła się na żadne dolegliwości. Mimo to dwaj mężczyźni, którzy przynieśli nosze, może z powodu niedostatku snu, byli w bardzo złym nastroju, nie chcieli w ogóle słyszeć o tym, że oboje są nie przygotowani, bo przecież to naturalne w nagłych wypadkach. Sanitariusze mieli na głowach białe hełmy z przepisowym oznakowaniem, dobrze nakrochmalone białe fartuchy, a nawet duże maski z gazy na twarzy. W karcie, jaką okazali, wypisane było precyzyjnie nazwisko żony, a nawet data urodzenia, nie mógł więc ostro protestować.

Nie było innej możliwości, jak tylko poddać się biegowi wydarzeń. Wyraźnie zawstydzona z powodu pogniecionej i przykrótkiej piżamy, przyklękła - jak jej kazano - między dwoma drążkami noszy i położyła się na boku ściskając kolana, a dwaj mężczyźni nie zostawiając nawet chwili do namysłu owinęli ją płótnem; małżonkowie nie zdążyli nawet się porozumieć.

Zostawiając za sobą woń jakby zmieszanego płynu do włosów i kreozolu, ze skrzypieniem noszy schodzili w dół po schodach budynku. Z ulgą przypomniał sobie, że żona była w majtkach. Karetka odjechała z miganiem świateł i włączoną syreną. Mężczyzna tchórzliwie odprowadził ją wzrokiem przez uchylone drzwi i spojrzał na zegarek - były zaledwie trzy minuty po czwartej.

(Poniższą rozmowę spisał z drugiej strony pierwszej taśmy. Licznik odtwarzacza wskazuje 729. Czas - około pierwszej dwadzieścia po południu w tym samym dniu, w którym zdarzył się wypadek. Miejsce - gabinet zastępcy dyrektora szpitala, do którego zawieziono żonę mężczyzny. Wicedyrektor mówi powoli, niskim niepewnym głosem, który czasem traci siłę, a wtedy ta część brzmi raczej ironicznie. Mój głos jest niecierpliwy, lecz wymowny, wypada nie najgorzej. Lepiej by było, gdybym zaniechał zwyczaju zaciskania warg w końcówkach wyrazów. Przeszkadza odgłos cykania zegarka, pracowicie odmierzającego czas blisko mikrofonu).

Wicedyrektor: Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie podjął pan odpowiednich kroków od razu?

Mężczyzna: Włączyłem elektryczny czajnik i myślę, że wtedy straciłem na chwilę głowę.

W: Powinien był pan pojechać razem karetką.

M: Powiedziano mi to samo, gdy zadzwoniłem pod numer pogotowia 119.

W: To zrozumiałe.

M: Nie sądzi pan jednak, że to normalne wahać się w takiej sytuacji?

W: Ja bym się w ogóle nie wahał. Karetka pogotowia, rozumie pan, w razie potrzeby może być równie dobrym kamuflażem jak karawan. Po prostu to świetne narzędzie zbrodni. W tym zamkniętym pomieszczeniu młoda kobieta ledwie w majtkach i dwaj silni mężczyźni w maskach. Gdyby to był film, na pewno następna scena byłaby straszna. Mówi pan, że żona była w piżamie z krepy czy jakiegoś innego cienkiego materiału, przewiewnego i nie klejącego się do ciała, a jednocześnie słabego i łatwo z przodu obnażającego uda.

M: Proszę mnie nie straszyć.

W: To żart! Po prostu jestem realistą, niech pan nie oczekuje, że przełknę każdą dziwną historię.

M: Ale karetka, o którą tu chodzi, przyjechała z tego szpitala.

W: Na papierze tak.

M: To znaczy, że strażnik mówił, co mu ślina na język przyniosła?

W: Bez dowodu trudno coś powiedzieć.

M: Przecież żona jest w tym szpitalu. Nie ma zresztą w co się przebrać, aby wyjść ze szpitala, a poza tym strażnik uważnie obserwuje drzwi.

W: Jeśli pan sobie tego życzy, mogę ją wywołać przez głośniki. Ale czy naprawdę człowiek dorosły może zbłądzić w szpitalu, i to w biały dzień? Tą sprawą to nawet policja nie chce się zająć.

M: Czy nie jest możliwe przymusowe umieszczenie w szpitalu przez pomyłkę?

W: Przecież pańska żona nie zgodziła się na badanie.

M: Tylko człowiek związany ze szpitalem mógłby zorganizować coś tak skomplikowanego.

W: W tej chwili tylko jedno jest pewne, a mianowicie, że ktoś wezwał pogotowie.

M: Co to znaczy?

W: To straszne nieszczęście, jeśli to prawda. Chętnie pomogę, jeśli będę mógł. W tym celu muszę mieć podkładki. Strażnika teraz przesłuchują z tego powodu, proszę więc zostawić go nam. Na tym etapie powinieneś raczej udowodnić swoją niewinność.

M: O czym pan mówi?

W: Rozważam tylko teoretyczną możliwość.



M: To ja jestem ofiarą.

W: Właśnie, ale to nie musi oznaczać, że błąd popełnił szpital.

M: Co więc mam robić?

W: Na początek niech pan porozmawia ze strażnikiem. To błąd, że nie obejrzał pan własnymi oczyma miejsca zdarzeń. W każdym razie w przybliżeniu określony jest czas i miejsce, powinien pan zacząć jeszcze raz od początku i porozmawiać w poczekalni. Kto wie, może znajdzie się tam jeden czy dwu świadków.

(Po tym spotkaniu wicedyrektor wyszedł z pokoju na naradę, a mnie, to znaczy Mężczyznę, jego sekretarka przedstawiła dowódcy straży. Szczegółową informację na ten temat przedstawię później, a teraz zapiszę oświadczenie strażnika, który był na służbie, gdy przywieziono tu żonę Mężczyzny. Strona pierwsza tej samej taśmy. Licznik wskazuje 206. Treść zapisu została później zweryfikowana przez wykrywacz kłamstwa).

- Gdyby mnie pan doktor w tym czasie dokładnie o to zapytał, wszystko bym powiedział, niczego nie ukrywając. Szkoda, że tak się nie stało, ponieważ w tym wypadku całą sprawę by załatwiono, zanim zrobiliby się za późno.

Teraz opowiem o tym, co było w momencie przyjazdu do szpitala tej pacjentki, o którą pan pyta. Karetka wjechała o czwartej szesnastce, to znaczy w ciągu trzynastu minut od zapotrzebowania zgłoszonego przez Centrum Pogotowia, a pacjentka o coś się gwałtownie wyklócała z sanitariuszami. Zgodnie z tym, co powiedział kierownik ekipy, pacjentka zachowująca się spokojnie do chwili przyjazdu pod nocną bramę szpitala, nagle zaczęła się awanturować twierdząc, że nie jest chora, lecz zupełnie zdrowa, i w końcu odmówiła wyjścia z karetki. Wtedy poszedłem zobaczyć, co się dzieje, i powiedziałem zdecydowanie, żeby dała się zbadać lekarzowi dyżurnemu, ponieważ nie można polegać na własnej diagnozie lecz nie usłuchała mnie. Doszło więc do tego, że musiałem odwołać wezwanie lekarza dyżurnego i pielęgniarki. Karetka pogotowia też nie mogła wciąż czekać, mimo to nie zgadzałem się, by odjeżdżała, załoga karetki powiedziała mi jednak, że oni nie mają obowiązku odwożenia osób zdrowych, musiałem więc zgodzić się z ich zdaniem, a ponieważ Ono, kierownik ekipy, był moim starym znajomym, ostemplowałem dokument o przekazaniu pacjentki godząc się na przyjęcie przywiezionej kobiety. Po prostu pomyślałem, że ostatnio niektórzy pacjenci spotykają się z odmową przyjęcia do szpitala, dlatego moje postępowanie nie może być ocenione jako niewłaściwe. Na pytanie pielęgniarek, przekazane mi przez telefon wewnętrzny, odpowiedziałem, żeby

anulowały przygotowania do przyjęcia nowego pacjenta, co spotkało się z ich akceptacją.

Pacjentka była kobietą drobnej budowy, raczej atrakcyjną (zaczął mówić "raczej seksowną", ale sam siebie poprawił), o okrągłej twarzy, bladej cerze, oczach jak żółędzie. Trochę się spociała, mimo że miała na sobie lekką sukienkę (z cienkiej bawełny lub sztucznej tkaniny z wzorem czarnych tulipanów na różowym tle), pasek z czarnozielonej siatki i bawełniane majtki (różowe bikini), poza tym nic innego przy sobie nie miała. Zauważyłem, że w karcie pogotowia ratunkowego wpisano jej trzydzieści jeden lat, lecz nie chciała się zgodzić na podanie mi swego nazwiska ani adresu, dlatego nie mogłem niczego sprawdzić.

Gdy pacjentka została tylko ze mną, zaczęła zachowywać się nadzwyczaj wstydliwie, nawet zaczerwieniła się na całej twarzy. Wspominam o tym tylko przy okazji, bo może się to przydać do wyjaśnienia jej osobowości i wyglądu. Poza tym zapytała mnie, czy może skorzystać z telefonu i zadzwonić do męża, ale wyjaśniłem jej uprzejmie, że niestety, z miastem można uzyskać połączenie jedynie z czerwonego automatu w poczekalni, wtedy zaczęła mnie błagać, żebym jej pożyczył monetę dziesięciojenną, którą mąż zwróci dziesięciokrotnie lub stokrotnie, kiedy przyjdzie po nią. Niestety, przy sobie miałem tylko banknot tysiącejenny, więc nawet gdybym chciał, to i tak nie mógłbym jej pożyczyć. Kiedy powiedziałem półzartem, że jedna lub dwie monety pewnie leżą gdzieś pod ławką w poczekalni, i że jeśli poszuka pod ławką, to może znajdzie, a ona wzięła to na serio i wyszła, żal mi się jej zrobiło, więc ją powstrzymałem, pożyczyłem jej kaptcie, powiedziałem, żeby tu poczekała, ponieważ mąż po nią pewnie przyjedzie, lecz nie słuchała, odepchnęła mnie i wyszła do poczekalni. Ze względu na obowiązki nie mogłem opuścić posterunku, poza tym nie chciałem, żeby posądzała mnie o cokolwiek zdrożnego, nawet nie próbowałem iść za nią.

Ponieważ pacjentka długo nie wracała, myślałem, że rzeczywiście znalazła monetę, i nadal czytałem z zainteresowaniem wcześniej rozpoczęty tygodnik; znów upłynęło trochę czasu, lecz od niej nie otrzymałem żadnego sygnału, wtedy wyobraziłem sobie, że może z jakiegoś powodu nie zostało anulowane wezwanie lekarza dyżurnego, który przyszedł i zabrał pacjentkę na badania; pamiętam, że nawet poczułem pewną ulgę, ponieważ słyszałem pogłoski na temat szczególnych stosunków tego lekarza z kobietami. Często mnie o to pytano, dlaczego poczułem ulgę z tego powodu, lecz dotąd nie potrafię tego wyjaśnić. Później dowiedziałem się, że lekarz w

ogóle nie wychodził ze swego pokoju nawet na krok, zacząłem nawet żałować, że tak łatwo go podejrzałem i nawet wyraziłem szczerze ubolewanie. W kwestii innych wiadomości o pacjentce to mogę powiedzieć jedynie to, że cała sprawa jest dla mnie niepojęta. Jedno tylko można stwierdzić na pewno, że nikt wtedy ani później nie wyszedł bocznymi drzwiami, to fakt.

Oświadczam niniejszym, że przeczytałem powyższy protokół, przedstawiający dane zgodne z faktami, i na potwierdzenie tego przystawiam tu swoją pieczęć.

W tym miejscu wracamy znów do pokoju Mężczyzny. Do tego czasu aluminiowa pokrywka czajnika na pewno już zaczęła pobrzękiwać. Zaparzę sobie kawy na uspokojenie - myśli Mężczyzna. Lecz nigdzie nie może znaleźć papierowych filtrów. Znów ogarnia go uczucie chłodu. Widocznie karetka zabrała mu nie tylko żonę, lecz wraz z nią również wszystkie miłe drobiazgi ich codziennego życia. Na stojąco pije przegotowaną wodę. Pot spływa mu po twarzy, lecz ostre kawałki lodu, raniące żołądek, nie chcą wcale stopnieć.

Gdzieś miauczy kot. Nie, to syrena pogotowia pędzącego jakieś sto ulic dalej. Może w końcu spostrzegli pomyłkę i jadą, żeby przywieźć mu żonę do domu. Otworzył okno. Na skorodowanej falistej blasze okiennic błyszczy zwilżona nocną rosą sieć pajęczna. Głos syreny cichnie. Mechaniczny kot musiał znaleźć nową partnerkę. O tej porze, gdy ucichły kroki ludzi, całe miasto stało się rykowiskiem mechanicznych kotów.

Wieje słodki wiatr, pachnący jak pieczony groszek. To pewnie czas, w którym rozpoczynają pracę krematoria spalające odpadki w zakładach filmowych. Z wiatrem penetrującym jego mózg powraca uczucie rzeczywistości. Zamyka okno. Zaskrzypiały rowerowe hamulce, wraz z cichymi krokami butów na gumowych podszewkach przychodzi poranna gazeta. Nie chce mu się czytać, lecz mimo to nie może się powstrzymać od sięgnięcia po gazetę. Przebiega wzrokiem wydarzenia polityczne na pierwszej stronie, a następnie sięga do horoskopu na ostatniej.

"...Szerokie czoło, długa szyja, długie i pełne małżowiny uszne, głowa okrągła, brzuch obwisły, nogi grube, dobrze zaopatrzone w pokarm, ubranie i dach nad głową..."

Nagle zaczął się martwić, ponieważ żona nie wzięła zmiany ubrania. W takim stanie nie powinna nawet wsiąść do taksówki. Może najwyżej zatelefonować ze

szpitala. Na pewno bez trudu pożyczycy od kogoś monetę. W końcu wszyscy będą się śmiali współczująco, gdy się dowiedzą, jaka zabawna historia jej się przydarzyła.

Postanowił czekać na telefon. Czekał przecztał gazetę trzykrotnie. Dlaczego, u licha, tak długo trwa szukanie dziesięciojennowej monety? Opublikowano zdjęcia pogorzelniska restauracji specjalizującej się w makaronie chińskim, która spłonęła od wybuchu propanu. Na tej samej stronie z prawej u dołu drobnym drukiem zamieszczono ogłoszenie "Poszukuję psa".

Wreszcie podjął decyzję. Zadzwoń pod numer 119 i zapyta w pogotowiu.

Nie czekał długo - bo to przecież numer pogotowia; nim zabrzmiał drugi dzwonek, usłyszał odpowiedź.

- Tu numer 119, proszę mówić..

Ponaglony pomyślał, że się pośpieszył. I cicho położył słuchawkę, nie wiedząc co począć. Natychmiast odezwał się dzwonek telefonu. Osłupiały Mężczyzna mimo woli cofnął się pod ścianę. Widocznie raz użyta linia pogotowia ratunkowego ulega automatycznemu zablokowaniu do czasu zakończenia sprawy. Telefon bezlitośnie dzwonił i dzwonił torturując mężczyznę.

Musiał się poddać. Podniósł słuchawkę. Kiedy zaczął mówić, stało się to, czego się obawiał - dowiedział się, że znajduje się w sytuacji, której nie można łatwo wyjaśnić. Zresztą trudno się dziwić, że ktoś obcy nie może pojąć istoty zdarzenia bezsensownego również dla współuczestnika.

Osoba na drugim końcu linii rozmawiała z nim cierpliwie, odpowiadała starannie dobierając słowa. Bardzo rzadko się zdarza, by ktoś z rodziny pytał o to, w jakim szpitalu znajduje się pacjent, o ile nie chodzi o kogoś, kto zasłabł na ulicy. Karetka pogotowia nie wyjeżdża, jeśli nie ma wezwania do chorego; w świetle tego faktu należy więc sądzić, że jest w to zamieszany ktoś z rodziny. Skoro kogoś wzięło pogotowie, a przedstawiciel rodziny twierdzi, że nie wezwał pogotowia, można przede wszystkim mieć wątpliwości, czy jest członkiem tej rodziny. W takiej wątpliwej sytuacji nie mają nawet obowiązku udzielania informacji. Wszystkie akta centrum pogotowia ratunkowego objęte są tajemnicą dla osób postronnych, natomiast ci, których wolno informować, i tak wiedzą to, co winni wiedzieć, ponieważ są albo pacjentami, albo rodziną, nie ma więc potrzeby przekazywania im jakichkolwiek danych.

To wyjaśnienie nie zadowoliło Mężczyzny, lecz nie miał żadnych kontrargumentów. Spocone dłonie otarł o brzeg koszulki, wyprostował plecy i

próbował pozbierać myśli. W każdym razie pogotowie działa zdumiewająco skutecznie. Nie ma co się spieszyć. Nie ma jeszcze szóstej. Żona mogła skontaktować się z kilku zaledwie osobami z nocnego dyżuru. Nie jest wykluczone, że nikt z nich nie miał monety dziesięciojenowej - można sobie wyobrazić również taki przypadek!

Wzeszło słońce. Tylko rankiem, i tylko przez kilka minut w lecie, sączą się promienie przez szpary w blaszanych żaluzjach - dziś są to niewątpliwie promienie słońca. Mrok tłumi w człowieku odwagę. Nie chciałby jednak narobić niepotrzebnego zamieszania i przynieść wstydu żonie. Ogolił się, umył i żując umyty pomidor, sprawdził zawartość swej teczki, skontrolował pozostałe numery w katalogu butów do skakania.

Buty do skakania to rodzaj obuwia sportowego z wbudowanymi w podeszwę sprężynami z baniek powietrznych. Po prostu tubki z gumy syntetycznej, szczelnie wypełnione powietrzem, pokrywają spód podeszwy, której elastyczność nie jest gorsza od dobrej jakości piłki gumowej. Zręcznie wykorzystując odbicie można wydłużyć skok przeciętnie o trzydzieści siedem procent. Są wszelkie dane sądzić, że tego rodzaju buty zdobywają popularność wśród uczniów szkół podstawowych i średnich dzięki jakiejś szkolnej grze, a nawet rozeszła się pogłoska, że przy niewielkiej pomysłowości ten epokowy produkt ma wielkie szansę przyczynić się do powstania nowej, oficjalnie uznanej dyscypliny sportowej.

Dziś chciałby obskoczyć z sześć miejsc, załatwić drobne, ale też i ważne sprawy. Ostatnio w działach zakupów biur i przedsiębiorstw, nawet w tych, w których rzadko cokolwiek kupowano, panowało zaskakujące zainteresowanie środkami sprzyjającymi poprawie stanu zdrowia. W związku z tym tu i ówdzie założono nawet stoiska pod nazwą "Nie potrzebuję lekarza". Mężczyzna wybrał pogodny krawat z jasnoniebieskiego materiału, ozdobionego wiązkami srebrnych kluczy.

Na początku postanowił przejść się do pobliskiej straży pożarnej, która również spełniała funkcje pogotowia ratunkowego. Jeszcze boleśnie przeżywał rozmowę z numerem 119, więc po straży pożarnej nie spodziewał się wiele, ale szedł tam dla uspokojenia siebie. Jednak okazało się, że zastępca komendanta, oficer o kasztanowej skórze, wydający komendy młodym strażakom na podwórzu, przekazał obowiązki komuś innemu, żeby pomóc w rozwiązaniu problemu Mężczyzny. Mimo geograficznej bliskości, oni obsługują inną dzielnicę - objaśnił - i udał się do telefonu, aby porozumieć się z właściwą jednostką, a co więcej, czekając na rezultat poczęstował Mężczyznę gorącą herbatą.

Rzeczywiście, jest w dzienniku zapis o wysłaniu karetki pogotowia o czwartej rano. Ponieważ również adres i nazwisko zgadzały się z danymi przedstawionymi przez Mężczyznę, bez zastrzeżeń podano mu nazwę szpitala, do którego odwieziono pacjentkę. W porównaniu z zaskakującym początkiem, teraz wszystko szło nazbyt gładko, aż chciało mu się śmiać. Na wielkim planie miasta pokazano mu lokalizację szpitala i drogę dojazdu. Wydało mu się, że szpital znajduje się za daleko, ale odpowiedziano mu, że warunki przyjęcia do szpitala w nagłych wypadkach nie mają nic wspólnego z odległością, przyznał więc strażnikowi rację. Nie zwlekając dłużej skierował się prosto na przystanek autobusowy. Wydawało mu się, że jest jeszcze za wcześnie, ale nie chciał stracić szansy, gdy szczęście uśmiechnęło się do niego.

O siódmej trzydzięci cztery na przystanku stało już w kolejce czternaście, może piętnaście osób. Z autobusu przesiadł się na pociąg kolei prywatnej, następnie - w metro i jeszcze raz - w autobus.

Wysiadł - jak go poinformowano - na przystanku przed szpitalem. W głębi szerokiej alei przecinającej trasę autobusu znajdowała się łatwa do rozpoznania brama szpitalna. Gałęzie stojących w rzędach drzew wiśniowych tworzyły łuk, ziemię pokrywało łajno gąsienic, podobne do ziaren winogron, co świadczyło o tym, że była to droga rzadko uczęszczana, niewątpliwie prowadząca tylko do szpitala. Brama była jeszcze zamknięta. Z jednej strony pomalowana na czarno, drugą natomiast pokrywał kurz i czerwona rdza. Widocznie nie skończyli jeszcze malowania.

Na rogu skrzyżowania stała budka telefoniczna. Dopiero za sześć ósma, do otwarcia pozostaje trochę czasu, postanowił więc zadzwonić do swego biura. Nikt z działu sprzedaży jeszcze nie przyszedł. Spróbował przywołać do telefonu młodego pracownika, mieszkającego w internacie za budynkiem firmy. W tym czasie chyba wkładał buty. Poprosił chłopca, aby przed południem go zastąpił - Mężczyzna nie wiedział jeszcze, ile czasu zajmie poszukiwanie żony. Młody pracownik chętnie się zgodził, nie prosząc nawet o żadne wyjaśnienia. Teraz sprzedaż butów do skakania rośnie i daje krzywą wznoszącą na wykresie, dlatego odpowiedzialni za ten dział dniem i nocą prowadzą między sobą zacięty bój o każdego klienta. Młody pracownik nie miał więc powodu do narzekań, ponieważ kierownik odstępował mu przewidzianego na dziś rano ważnego klienta, a mianowicie dział zakupów dużego związku zawodowego.

Wyniki sprzedaży Mężczyzny były zawsze najlepsze, nic więc dziwnego, że mianowano go kierownikiem działu. Zyskał nawet niemałe uznanie, ponieważ miał

szczególny dar do finalizowania poważnych kontraktów. Możliwe, że zdecydowała o tym jego szczególna umiejętność demonstrowania zalet butów do skakania. Kiedy w nich biegał, wyglądał na świetnego średniodystansowca na ostatnich metrach biegu przedstawianego na zwolnionym filmie. W rzeczywistości osiągał też niemałą szybkość. Jak akrobata na trampolinie mógł bez rozbiegu z łatwością wykonać salto. Na pewno zużywał mnóstwo energii odpowiednio do obciążenia pracą, dlatego odczuwał potworne zmęczenie. Miał jednak dobrą opinię, ponieważ w oczach laika wyglądał tak, jakby miał nadludzkie siły. Nigdy zresztą nie chwalił się jakimiś szczególnymi umiejętnościami, nie mógł też być posądzony o oszustwo. Miał pewność, że wystarczy popisać się jakąś sztuczką tłumiąc w sobie resztki wstydu, żeby doprowadzić do zawarcia umowy, i tak wykorzystywał dwie z trzech okazji. Nie musiał się martwić utratą jednego przedpołudnia.

Niezależnie od rozwoju wypadków chciałby przynajmniej pokazać się na naradzie poświęconej sprzedaży, która odbędzie się dziś po południu. Weźmie w niej udział prezes firmy, który zwiedził Targi Zabawek w Kanadzie. Mężczyzna chciałby też spotkać się z prezesem i osobiście przekazać mu w zasadzie opracowany na piśmie plan ulepszenia sprężyn powietrznych, w co zresztą włożył niemało wysiłku. Dotąd nie wyzbył się ambicji i dumy, jaką czuł wygrywając konkurs wynalazczości uczniów przed laty. Gdyby to było możliwe, najbardziej chciałby zyskać uznanie za talent techniczny. Może to rzeczywiście tylko złudzenie, ale wydaje mu się, że obecną pozycję kierownika zawdzięcza głównie zamiłowaniu sportowemu i doświadczeniu nabytemu w okresie, gdy występował w roli nagiego modela. Myśl ta zresztą nie sprawiała mu przyjemności. Wyniki pracy miał dostatecznie dobre, ale nie sądził, że już otrzymał szansę wykazania się głównymi umiejętnościami. Gdyby udało mu się uzyskać patent na nowy wynalazek, mógłby spodziewać się znacznej podwyżki.

Na szybę budki telefonicznej padł cień i nałożył się na cień Mężczyzny.

Kobieta w tym samym wieku co on zajrzała do środka opierając się czołem o krawędź budki. Mimo że spojrzeli na siebie, jej oczy ukryte za szklami bez oprawki nawet nie drgnęły, sprawiając wrażenie, że obserwują jakiś martwy przedmiot. Granatowe spodnie podkreślają zarys jej bioder i ud, starannie dobrana biała bluzka z żółtymi kroplami wody, plecy idealnie wyprostowane. Ulegając sugestii otoczenia, w jakim się znajdował, uznał, że jest pielęgniarzką. Odłożył słuchawkę i wyszedł z budki. Przytrzymał drzwi ułatwiając jej wejście.

Lecz nie ruszyła się z miejsca, stali więc teraz twarzą w twarz, prawie dotykając się nosami. Jej włosy pachniały paloną siarką. W ukośnych promieniach słońca soczewki okularów wydały się lekko zabarwione, krople potu perliły się we wgłębieniu między piersiami.

- Coś niedobrze z panem?

Powiedziała to szeptem, jakby w tajemnicy, ale Mężczyzna nie potrafił jej nic odpowiedzieć.

- Nie, nic szczególnego...

- Dobrze zbudowany, czyżby uprawiał sport?

Kobieta lekko dotknęła jego łokcia, a następnie przebiegła palcami wzdłuż mięśni aż po plecy. Jak na badanie lekarskie, to zbyt prowokujące. Cofnął się mimo woli. Trafiwszy na drewniane ogrodzenie wokół drzewa, nie mógł dalej się odsunąć.

Kobieta mówiła jakby żartobliwym tonem:

- No, nie, dostał pan gęziej skórki. Na pewno przyszedł tu z nerwicą. Muskularni ludzie często mają słabe nerwy samokontrolujące. Przyniósł pan list polecający od któregoś z lekarzy?

- Właściwie nie przyszedłem tu z powodu choroby.

- Naprawdę? - głos jej się załamał, lecz zaraz odzyskał siłę. - Wie pan, jak mówią, do węża tylko wąż zaprowadzi. Zamiast polegać nawet na dobrych radach przyjaciela, lepiej sprawę powierzyć fachowcom od porad. Oczywiście, koszt różni się w zależności od pozycji lekarza, ale są również młodzi i tani, lecz fachowcom pierwszej klasy bez długiego doświadczenia i utrwalonego zaufania trudno jest doradzić, jaki lekarz i na którym oddziale jest najlepszy w danej chorobie.

Gdy tylko skończyła mówić, podała mu wizytówkę.

10 lat od założenia

Nagłe wypadki, ambulatoryjne, szpitalne  
wychodzenie ze szpitala i inne

Wszystkie formalności uprzejmię  
załatwiamy

OFICJALNA SŁUŻBA PORAD

AGENCJA MANO

Aleja PRZED SZPITALEM NR 8



tel. 242-2424

Nagle rozległ się głos z przenośnego głośnika: "Parkowanie, tędy, parkowanie, tędy". Inny głośnik odpowiadał: "Korzystny zestaw szpitalny. Wszystko co potrzebne pacjentowi w szpitalu. Tylko przed południem. Sprzedaż ze specjalną obniżką, poniżej wartości".

Kobieta ugryzła się w dolną wargę i roześmiała wstydliwie.

- Straszna konkurencja.

Po obu stronach wiśniowej alei stłoczone sklepy i sklepiki przygotowywały się do otwarcia o tej samej porze. Zdejmowano żaluzje, odsuwano okiennice, chodniki przed sklepami skrapiano wodą, wystawiano proporzycy - gotowi do rozpoczęcia sprzedaży zajęli już stanowiska na krzesłach pod okapami, z mikrofonami w rękach. Były to agencje z szyldami głoszącymi gotowość do załatwiania właściwie wszystkiego.

- Ja naprawdę dziękuję. Nie zamierzam iść do lekarza.

- Nie musi to być wizyta w celach ściśle medycznych. Pomagamy we wszystkich innych problemach.

- Poradzę jakoś sam.

- Niedawno znaleźliśmy kupca dla hurtownika magnetycznych szachownic do grania w szachy w łóżku, bardzo się ucieszył, znaleźliśmy też coś dla reportera telewizji, który chciał zrobić zdjęcia umierającego człowieka, załatwiliśmy wszystko zgodnie z jego życzeniem.

- Chciałbym tylko dostać się do izby nocnych przyjęć, jest chyba takie biuro, które obsługuje pacjentów pogotowia, chciałbym się spotkać z człowiekiem odpowiedzialnym i sprawdzić kilka szczegółów.

- Nie wygląda pan na dziennikarza.

- Nie.

- To się łatwo mówi "sprawdzić", ale to nie takie proste. Oni nie robią żadnych wyjątków. Nikt nie ma tam dostępu prócz karetok pogotowia. W przeciwnym razie nie daliby sobie rady, ponieważ pod różnym pozorem wchodziłoby bezdomni i pijacy.

- A jeśli wejdę od frontu, wszystko będzie zgodne z regulaminem...

- Właśnie, najgorzej z amatorami. Frontowe drzwi otwierają o dziewiątej. Nowa zmiana przychodzi o ósmej, a do wpół do dziewiątej wszyscy z nocnej zmiany odejdą, w jaki więc sposób zdąży pan na czas?

- Która teraz godzina?

- Dwie po ósmej.

- Co więc mam robić?

- Przecież mówię, trzeba posłużyć się węzłem, żeby dostać się do gniazda żmij...

Opłata rejestracyjna wynosi siedemset osiemdziesiąt jenów. To ustalona suma, nie mogą dla pana obniżyć, ale jeśli się dogadamy, to łącznie z dodatkową opłatą dla drugiej strony, mogłabym załatwić wszystko za dwa tysiące pięćset jenów.

(Wydaje mi się, że za długo zatrzymuję się nad sceną przy budce telefonicznej, bo nie wydaje mi się ona tak ważna z punktu widzenia celu, jakim jest śledztwo prowadzone przeciwko samemu sobie. No więc jeśli nie podoba się pisanie w pierwszej osobie, możecie zmienić na trzecią, mnie to nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, początkowa część taśmy, którą powierzył mi Koń, tutaj właśnie się rozpoczyna. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego w tym miejscu, zanim jeszcze przedstawiłem się w szpitalu, już mnie śledzono za pomocą ukrytych mikrofonów. To skłania mnie do przypuszczenia, że zniknięcie żony zostało po prostu wcześniej dobrze zaplanowane. Tę wątpliwość omówię bezpośrednio z Koniem, jutro rano).

Biuro nieznajomej kobiety znajdowało się po tej samej stronie ulicy co budka, tylko siedem domów dalej. Połowę biura zajmowało okno wystawowe, za którym leżały próbki przedmiotów wraz z cenami na "okazje odwiedzin w chorobie", "gratulacji z okazji wyzdrowienia" i inne Zwinięta mata, oparta o ścianę przy drzwiach, służyła do zasłaniania wnętrza przed wieczornym słońcem. W biurze było ciemno, w głębi za ladą oddzielającą część pomieszczenia siedział łyśy człowiek z brodą.

- Mamy klienta! - radośnie zawołała kobieta w stronę Brody. - Zajmij się zapłatą, dobrze? - mrugnęła do niego i zniknęła za drzwiami na wpół zakrytymi kalendarzem z kąpielówkami.

Broda przyniosła zza lady kawałek papieru i zaprosiła Mężczyznę, żeby usiadł na krześle.

- Zanosi się, że dziś również będzie gorąco.

- Ile to miało być?

- Siedemset i osiemdziesiąt...

Monety stujenowe włożył do podręcznej kasy, pozostałe dziesięciojenowe do pyszczka witającego kotka o wysokości trzydziestu centymetrów. Na zwykłym rachunku przystawił gumowy stempel. Podsunął się bliżej, oparł plecami o krzesło i obojętnie patrząc na ulicę jakby pustymi otworami zamiast oczu, zaczął nerwowo

ruszać palcami złączonymi na piersi. Nagle między dwoma palcami ukazała się moneta dziesięciojenowa. Kręcąc się w kółko moneta się podwoiła. Po chwili znów stopiła się w jedną, a następnie potroiła. Zmiany były szybkie - albo jedna wyglądała jakby składała się z trzech, albo też trzy monety stanowiły jedną. Palce ruszały się tak szybko, że trudno było je rozróżnić.

- Pan jest za dobry na amatora.

- Jestem zawodowcem. Nadeszły jednak czasy sztuczek magicznych. Żonglerka wyszła z mody.

- Czym sztuczki magiczne różnią się od żonglerki?

- Żonglerka to sztuka, a magia to zwyczajne machlojki. - Moneta zniknęła między palcami. - Czy pan ma chorobę weneryczną?

- Dlaczego?

- Ludzie, którzy nie mówią, dlaczego idą do szpitala, na ogół mają kłopoty weneryczne.

- Ja nie jestem chory.

Wiśnie w alei nagle zafalowały, jakby powiał wiatr po dłuższej ciszy. W sklepie po drugiej stronie ulicy rozbrzmiewał donośnie przenośny głośnik:

“Chcesz pożyczyć stroje, przyjdź do firmy Sakura! Rozmiar, kolor, styl - wszystko dopasuje firma Sakura! Właśnie teraz do strojów dla pań dajemy jeden dodatek za darmo. Firma handlowa Sakura ma duży wybór, doświadczenie i zaufanie. Za niewielką zaliczkę, dla kierowców mających prawo jazdy przy sobie - za pół ceny. Lepiej raz zobaczyć niż sto razy usłyszeć. Stroje pożycza firma Sakura...”

- To prawda, muszę pożyczyć ubranie.

Mimo woli podniósł się z miejsca. Zaprzątnięty myślą o odnalezieniu żony zapomniał o tym, że ona na pewno bardzo potrzebuje ubrania.

- Ucieczka z ukochaną?

Broda porozumiewawczo uderzyła prawą pięścią w lewą dłoń.

- Jaka ucieczka?

Zamiast odpowiedzieć wyjął duży album, położył na ladzie i zaczął przerzucać kartki z dużym pośpiechem i zaangażowaniem.

- Wiek, rozmiar, ulubiony kolor... No, mniej więcej w porządku, wystarczy znać wzrost, bo w odróżnieniu od mężczyzn możemy posłużyć się rozmiarem uniwersalnym.

- Około stu siedemdziesięciu centymetrów, nie jest otyła, raczej w normie.

Szybko przerzucał kartki albumu, aż ukazał się manekin o cienkich nogach w sukience bez rękawów, ustach różowych, zaciśniętych, z wątłym uśmiechem. Cienki materiał, lekko splisowany od piersi do pasa opinającego talię, sprawiał wrażenie wypełnienia i workowatości. Gdyby odcień beżu nie był dostatecznie jasny, suknia wyglądałaby nieco staroświecko.

- Jak się podoba? Chyba powinno być coś w tym rodzaju. Paskiem można swobodnie regulować długość, złożona mieści się choćby w kieszeni. Naprawdę polecamy na randkę z porwaną dziewczyną, lepszej nie można sobie wyobrazić. Przy okazji, co pan sądzi o pierścionku? A może korale, okulary przeciwsłoneczne... Taki mały drobiazg zmienia pożyczony strój do tego stopnia, że pasuje jak własny.

Kobieta wróciła z sąsiedniego pokoju, w którym konferowała ze strażnikiem nocnej zmiany, zbierającym się chyba do wyjścia. Doszła z nim do porozumienia w krytycznym momencie. A koszt tej operacji wraz z depozytem za suknię wyniósł piętnaście tysięcy jenów. W portfelu zostało mu tylko tysiąc dwieście trzydzieści jenów. Gdy regulował rachunek, Broda pakowała suknię, która zgodnie z reklamą - co prawda z pewnym trudem - zmieściła się w kieszeni marynarki. Broda powiedziała, że dołożyła za darmo jakieś akcesoria, ale nie miał czasu sprawdzić - przynaglany wyszedł szybko na dwór.

Kobieta powiedziała mu, że do bocznych nocnych drzwi można dojść wzdłuż muru skręcając od bramy głównej w lewo. Krótka też wyjaśniła, jak ma rozmawiać ze strażnikiem, szturchnęła go palcem w bok i zachęciła do wyjścia znaczącym szeptem:

- No, biegnij, a jeśli coś się przydarzy, po prostu zatelefonuj do mnie.

Mężczyzna zaczął biec wiśniową aleją. Był przekonany, że gdyby chciał, mógłby przebiec sto metrów w ciągu trzynastu sekund.

Mur się skończył - ukazała się pusta przestrzeń i betonowy zjazd z nacięciami zabezpieczającymi przed poślizgiem. Drzwi, których szukał, znajdowały się w głębi. Cylindryczny przedmiot, wystający ukośnie obok czerwonej latarni, był prawdopodobnie kamerą inwigilacyjną. Tuż pod czerwonym guzikiem, przeznaczonym wyłącznie dla karetek pogotowia, znajdował się czarny przycisk; gdy go dotknął, usłyszał czyjś głos. Podał numer rachunku Agencji Mano, wtedy otwarły się drzwi. Na pewno automatyczne, zdalnie sterowane. Szara przestrzeń bez ludzi przylepiła się do twarzy niby mokry papier.

Gdy wzrok się przystosował, monotonna szarość zmieniła się w czysto białą poczekalnię. Był to pokój raczej niewielki, widocznie używany tylko w nagłych

wypadkach. Łóżko na kółkach zajmowało około jednej czwartej powierzchni. Podłoga wyłożona ka-felkami, jak w sali operacyjnej, światło u sufitu było ruchome Czasami przeprowadzano tu chyba również drobniejsze operacje. Na wprost zapasowego wyjścia znajdowało się okienko recepcji, tuż po prawej - dwoje drzwi, z których dalsze pokrywała nierdzewna blacha. Łącząca się z nimi prostopadła ściana była właściwie wielkimi drzwiami windy towarowej. Poza stalowymi drzwiami wszystko było białe. Rama okienka i, oczywiście, zasłonka za szkłem po tamtej stronie. Porażony bielą Mężczyzna zawahał się. Bezosobowość tego koloru działała brutalnie mroząc wszystkie uczucia. Wydało mu się, że żona w tym momencie oddaliła się od niego jeszcze bardziej niż dotąd.

Zasłonka drgnęła. Szybko przesunęła się do połowy. Ukazała się ziemista twarz starca, spoglądającego w górę. Jego obojętne oblicze bez energii znów rozczerowało Mężczyznę.

Lecz teraz już nie musiał się przedstawiać. Strażnik dobrze pojął cel odwiedzin Mężczyzny. To dobry znak. Może nawet dowód na to, że tutaj przywieziono jego żonę. Wrażenie rozluźnienia w stawach i w całym ciele ponownie przypomniało mu dotychczasową siłę niepokoju i napięcia. Opłaty z Agencji Mano musiały podziałać. Strażnik wbrew pozorom okazał się gadułą, który jak zaczął mówić, to nie mógł skończyć. Jego bezsilny wygląd był przypuszczalnie spowodowany kłopotliwą sytuacją. Gdy mówił, miał zwyczaj lizać górną wargę. Wtedy ukazywał się na chwilę koniec języka, nienaturalnie czerwony. Możliwe, że to starcze wypieki na twarzy i siwe włosy sprawiały, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości.

W każdym razie mówi za dużo. Mimo że Mężczyźnie potrzebne jest tylko jedno, a mianowicie jasne określenie miejsca pobytu jego żony, starzec z okienka zalewa go potokiem słów. Zupełnie jakby mieszał fusy na dnie garnka, żeby bardziej zmacić wodę. Znów ogarnął go niepokój.

(Licznik wskazuje 68, po rozmowie z kobietą z Agencji Mano przy budce telefonicznej wyłączono ukryty mikrofon, a w tym miejscu znów go włączono. Tym razem mikrofon i technika zapisu są inne niż poprzednio, nastąpiła też zmiana w jakości nagrania.

Od liczby 68 rozpoczyna się część opisana w szczegółowym oświadczeniu strażnika, który mówił o odmowie żony poddania się badaniom i jej odejściu do poczekalni w poszukiwaniu monety dziesięciojenowej, dlatego tę część opuszczę. Licznik wskazuje 206. Tutaj postaram się uporządkować dane związane z jej tajemni-

czym zniknięciem, a oprę się głównie na oświadczeniu strażnika. Po części dokonam pewnych uzupełnień na podstawie późniejszych danych i przypuszczeń).

Strażnik się zmieszał. Gdyby Mężczyzna go nie zapytał, mógłby udać, że w ogóle nic się nie zdarzyło.

Gdy o 8.18 otrzymał zapytanie z Agencji Mano, chyba zdążył przekazać swoje obowiązki i wrócić do pokoju. Zmiana służby odbywała się w pewnym ustalonym porządku. Najpierw spoglądał w lustro, czesał się licząc wypadające włosy, następnie wygładzał kołnierzyk płaszcz. Ubiór strażnika składał się właśnie z białego płaszcza, w odróżnieniu od lekarskiego, sięgającego do bioder z czarnym oblamowaniem kołnierzyka, dlatego każde załamanie było bardzo widoczne. Stwierdziwszy, że pęk kluczy jest w należyтым porządku, wychodził drzwiami znajdującymi się po przeciwnej stronie wyjścia awaryjnego, wąskim korytarzem do poczekalni dla pacjentów zewnętrznych.

Poczekalnia jest przestronna, tak duża jak kort tenisowy. Patrząc od drzwi frontowych, po prawej stronie była apteka i kasa, po lewej różnego rodzaju okienka przyjęć, a na wprost oddzielone żelazną płytą przeciwpożarową - pięciometrowe przejście, prowadzące do ambulatorium i gabinetów lekarskich. Nad okienkiem apteki wisiała tablica wyświetlająca numery realizowanej recepty. Cztery rzędy po dziewięć ławek zwróconych w stronę tablicy zajmowały większą część przestrzeni. W lewym kącie kurtyny przeciwpożarowej rysowały się niskie drzwiczki. Spoza nich dochodziły głosy sprzątaczek, przybyłych na dzienną zmianę.

Rozlega się syrena ogłaszająca, że do ósmej pozostało pięć minut. Strażnik szybko lustruje całą poczekalnię, następnie otwiera niskie drzwiczki. Przez nie wchodzi, zgięty w pół, strażnik dziennej zmiany. Biały płaszcz z czarnym oblamowaniem kołnierza niczym się nie różni od stroju służby nocnej. Obaj wymieniają zwyczajowe pozdrowienia. Odchodzący wręcza pęk kluczy. Przekazuje też sprawy, o ile jakieś są, słownie lub na piśmie.

W tym czasie aptekarze i urzędnicy w kolejności rang i stanowisk, poczynając od najniższej, zgłaszają się do pracy. Oni jednak schodami prowadzącymi do miejsca służby przychodzą z góry, z pierwszego piętra, gdzie są szafki na ubrania (ponieważ gmach zbudowano na zboczu góry, wejście dla pracowników znajduje się na poziomie pierwszego piętra). Dlatego nawet jeśli w głębi za okienkami przyjęć panuje ożywiony ruch, w poczekalni nadal zalega niczym nie zakłócona cisza. Tylko dwaj strażnicy robią rundę wokół pokoju. Jest to rodzaj ceremoniału, nie mającego żadnego

specjalnego znaczenia. Na tym właściwie kończy się zmiana warty. Dzienny strażnik otwiera toaletę i pomieszczenie gospodarcze dla odwiedzających, daje znak przez niskie drzwiczki i wtedy wchodzi pięć sprzątaczek rozprawiających i plotkujących wesoło i bardzo głośno - w ten sposób rozpoczyna się tutaj nowy dzień. Dzienny strażnik udaje się do wartowni przy frontowym wejściu, a nocny jest już wolny i może wracać do domu.

Jedynie tego ranka sprawy miały się inaczej. Pozostawał przypadek tej pacjentki, którą przywiozło pogotowie. Gdy nad tym się w końcu zastanowił, to zrozumiał, że odkąd ona wyszła do poczekalni w poszukiwaniu dziesięciojenowej monety, minęło już prawie pięć godzin. Nikt nie zjawił się, żeby zabrać ją do domu. Owładnął nim niepokój. Irytujące uczucie przypominało tłący się na dnie popielniczki niedopałek. Lecz z niewiadomych powodów ociągał się i nie szedł sprawdzić. Nie ma sensu teraz martwić się tym, co się stało - myślał. Pewnie się zmęczyła szukaniem dziesięciojenowej monety, usiadła na ławce, by odpocząć, i usnęła. Dobrze byłoby przed zmianą straży znaleźć dla niej ubranie, w którym mogłaby wyjść awaryjnymi drzwiami. Po odpowiednich pertraktacjach jakaś agencja chyba by się zgodziła przysłać ubranie na kredyt.

W końcu to najgorsze, czego się obawiał, nadeszło. Kobieta zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Całą poczekalnię można objąć jednym spojrzeniem, nie trzeba tu prowadzić specjalnych poszukiwań, lecz on na wszelki wypadek zaglądał za filary, we wgłębienia w ścianach i pod ławki. Wiedział, że robi to na próżno. Sprawdził nawet zamknięcia drzwi prowadzących do apteki, kasy i innych przylegających pokoi. Wszystkie były zamknięte od zewnątrz.

Znalazł się więc w kłopotliwej sytuacji. W jaki sposób swym raportem zadowoli dziennego strażnika? Przecież poczekalnia dla odwiedzających kończy się ślepym korytarzem, zamkniętym w nocy przejściem awaryjnym. Był to naprawdę pokój bez wyjścia, jakie spotyka się w powieściach kryminalnych. Oczywiście, strażnik miał własne zdanie. Nawet szczelnie zamknięta komnata może mieć jakieś ukryte wyjście. Ale pacjentka nie mogłaby go odnaleźć sama. Musiałby jej ktoś pomóc. Drzwi tutaj były tak skonstruowane, że otwierały się przez przekręcenie gałki od wewnątrz szpitala, natomiast od strony poczekalni dla odwiedzających - tylko za pomocą klucza.

Kto, u licha, mógł coś takiego zrobić? To prawda, ma własne zdanie na ten temat. Kłopot jednak w tym, że jest to raczej zwykłe podejrzenie szeregowego strażnika. I jeśli nawet się nie myli, to cóż z tego, skoro musiałby wystąpić przeciw

człowiekowi zbyt niebezpiecznemu. Każda nierozważna próba rzucenia na niego podejrzeń mogła się źle skończyć. Mimo to musi się nad tym zastanowić, ponieważ o zniknięciu kobiety nie mógł meldować jak o czymś zwyczajnym. Mogłoby to zabrzmieć tak, jakby się przyznał, że po prostu spał w czasie służby. Pozostało mu jedynie udawać, że nic się nie stało.

Strażnik zdecydował się. Postanowił przemilczeć sprawę kobiety. Ledwie zdążył cokolwiek postanowić, otrzymał wiadomość z Agencji Mano, że chce go odwiedzić Mężczyzna. Nie miał szczęścia. Nie musiał pytać, w jakiej sprawie przychodzi. Wolałby nie widzieć się z nim, lecz gdyby odmówił, to automatycznie przekazano by interesanta do straży dziennej. Byłoby to dla niego jeszcze gorsze. Wyszłoby na jaw fałszowanie raportu. A zatajenie czegokolwiek w raporcie traktowano jako bardzo poważne wykroczenie. Dlaczego miał popełniać harakiri ukrywając czyjąś przygodę miłosną? Tak czy owak, nie miał wyjścia, musiał się z nim spotkać. Poza tym jeśli on był na tyle tępy, że pozwolił sobie wykraść żonę, to na pewno uda mu się szybko go wykołować i odesłać stąd.

(Poniżej naklejam kopię ostatniej linijki z dziennika przyjęć pacjentów do szpitala)

- Może to tej osoby pan szuka?

Strażnik zapytał chrapliwym głosem człowieka zmęczonego nocną służbą podsuwając księgę w twardej oprawie. W ostatniej linii na otwartej stronie rejestru, wypełnionej tylko w połowie, biegły dwie czerwone kreski, oczywiste znaki anulowania wpisu.

- Wiek się zgadza i czas przyjęcia również wydaje się ten sam.

- Wobec tego niewiele mogę panu pomóc Jak pan widzi, w rubryce "nazwisko" i "adres" jest pusto. Nawet nie została formalnie tu przyjęta.

- Przecież dotąd nie wróciła. To wszystko nie ma sensu. Gdzie mam jej szukać? Proszę mi powiedzieć przynajmniej tyle, spróbuję sam ją znaleźć.

- Pan pyta gdzie? No to mogę odpowiedzieć, że tylko tutaj.

- Tutaj?

Lekka fala napięcia przebiegła po ciele i odbiła się we wzroku Mężczyzny. Strażnik uśmiechnął się niepewnie. Jego dwa sztuczne przednie zęby białły nienaturalnie.

- To znaczy, jeśli jej tu nie ma, to nie ma co jej szukać gdzie indziej.



- Czy ona jest tutaj?

- Sam pan musi sprawdzić.

Strażnik cofnął się od okienka odsłaniając widok na wnętrze jego stróżówki. Ukazał się prostokątny pokój wielkości ośmiu mat z wąskimi półkami i krzesłami z rurek. Nie ma tu tyle miejsca, żeby kogokolwiek ukryć.

- Przecież nie mogła stąd wyjść nie mając odpowiedniego ubrania.

- Tak, w takim ubraniu, rzeczywiście...

- Może raczej należałoby zawiadomić policję?

- Na pana miejscu nie robiłbym tego. To tylko pogorszyłoby sytuację. Kobieta w trzydziestym pierwszym roku życia jest osobą całkowicie samodzielną. Jeśli pan zawiadomi, to jedynie sam się ośmieszy.

- Nie sądzi pan chyba, że uwierzę w historię przypominającą sztuczkę z królikiem w kapeluszu zonglera...

- Na pewno, nie ma takiej zręcznościowej sztuczki, która nie opierałaby się na technicznym prawdopodobieństwie.

- Dokąd prowadzi ta winda?

Mężczyzna błyskawicznie ocenił, że winda znajduje się w zasięgu jego skoku. Strażnik ruszył równie szybko. Ledwie przekroczył drzwi, od razu zablokował drogę Mężczyźnie i zaczął oglądać go bez skrępowania od góry do dołu.

- Nierozsądnie pan postępuje. No, powiem panu, ta winda prowadzi prosto na drugie piętro, do pokoi lekarzy, pielęgniarek i sali operacyjnej, przeznaczonej do nagłych wypadków... Tędy wchodzi na górę jedynie pacjenci z pogotowia, na dół nikt nie zjedzie bez lekarskiego świadectwa zgonu. Pańska żona nie mogła więc użyć tej windy! Nie była ani jednym, ani drugim przypadkiem.

- Wobec tego gdzie ona jest?

Strażnik odwrócił się i otworzył drzwi pokryte nierdzewną blachą - ciężkie i gładkie. Chłodne powietrze powiało po nogach.

- Tu się znajdują urządzenia chłodnicze i trupiarnia. Gdy jest pusta, chłodzimy w niej piwo. Bardzo dobrze działa. Niektórzy pracownicy używają tego pomieszczenia nawet wtedy, gdy spoczywa w nim nieboszczyk, mnie to jednak brzydzi. Korzystam jedynie wtedy, kiedy napis na drzwiach głosi, że nikogo tam nie ma.

Przyniósł butelkę piwa, z dużą wprawą strącił kapsel o klamkę. Piwo w ogóle się nie pieniało, może po prostu było zbyt zimne. Wyciągnął rękę przez okienko, wziął filizankę, wytarł jej brzeg palcami i wlał zawartość butelki.

- Wolałbym, żeby pan nie zadawał mi pytań. Wypił jednym haustem bez zmrużenia oczu, nalał następną i szepnął bełkotliwie:

- Może wezmę adres. Zawiadomię, jak czegoś się dowiem.

Mężczyzna wpatrywał się bez słowa w ręce strażnika. Nie spuszczał z nich oka, dopóki butelka nie opróżniła się całkowicie.

Wreszcie strażnik jakby się poddał. Otarł pot i westchnął, pokonany przez Mężczyznę o niespodziewanym uporze, po prostu nie miał innego wyjścia i musiał się poddać. Wpatrując się w banieczki piany na dnie filiżanki przerwał milczenie i zaczął mówić takim tonem, jakby zdradzał tajemnicę.

Najlepiej by było pójść samemu na miejsce zdarzenia i przekonać się, że nocą nie ma wyjścia z poczekalni ambulatoryjnej, w której po raz ostatni słyszano o żonie Mężczyzny. Lecz niestety dzienny strażnik już przejął służbę, a sprzątaczkę rozpoczęły swą działalność. Gdyby tam wszedł i się pokazał, mogliby zapamiętać jego twarz, co utrudniłoby mu przyjęcie odpowiedniej taktyki w przyszłości. Klucz do powodzenia to jak największa dyskrecja we wszystkich poczynaniach. Teraz musi mu ufać - wyjaśniał - i starać się zrozumieć, że właściwie królik jest już pod jedwabnym kapeluszem, skąd nie ma ucieczki. Jej zniknięcie nie jest wcale wynikiem zwykłego przypadku czy pomyłki, jak dotąd przypuszczał Mężczyzna. Nie można wyjść z poczekalni bez współnika. Na pewno Mężczyźnie trudno jest pogodzić się z tym wnioskiem, lecz nie pozostaje mu nic innego, jak odważnie spojrzeć prawdzie w oczy.

Ale jeśli nawet założymy, że miała współnika, to jak można stwierdzić, kto nim był? Pierwsza możliwość, jaka nasuwa się bez namysłu - przykro o tym mówić Mężczyźnie - to ów młody lekarz, który pełnił dyżur tej nocy. Oczywiście, dyżurni lekarze czy inni pracownicy szpitala nie są poza podejrzeniem, to prawda. Choćby dlatego, że jest ich wielu, trudno ukryć się przed bacznym wzrokiem pielęgniarek i innych lekarzy. Poza tym do ambulatorium prowadzi długi korytarz. Trzeba też przejść pod rtęciowymi lampami w ogrodzie, więc nawet gdyby ktoś się przebrał w biały fartuch zamiast przepustki, każdy strażnik zwróciłby uwagę na jego podejrzane zachowanie. Z drugiej strony lekarz dyżurny w ambulatorium może poruszać się swobodnie, a poza tym ma zapasowy klucz do pokoju z szafkami na piętrze, może niepostrzeżenie przejść z pokoju lekarzy na drugim piętrze do poczekalni. Ma więc idealne warunki do uprowadzenia jej stąd. Poza tym różne plotki krążą na temat tego internisty i pielęgniarek, jest on jeszcze kawalerem, choć jego włosy są już bardzo przetłuszczane. Niezależnie od tego, co kto myśli teraz na ten temat, nie można

inaczej sobie wytłumaczyć tego wypadku, jeśli się nie przyjmie, że była to od początku do końca zaplanowana schadzka. Ale mimo wszystko to duża przesada, żeby wysłać karetkę pogotowia tylko z powodu zwykłego flirtu. Na pewno pożądanie rzuciło mu się na mózg.

- Mając tyle powodów do podejrzeń pozwala pan, by działo się to wszystko dosłownie pod pana nosem?

- Tak czy inaczej, przeciwnikiem jest lekarz.

- A co to ma do rzeczy?

- Nikt chyba nie chciałby, żeby mu do karty zdrowia wpisano coś nieprawdziwego, nie mam racji?

- To nie ma nic wspólnego ze mną, na nic w życiu nie chorowałem poza grypą czy odrą.

- Ma pan odwagę tak mówić?

- Proszę mi podać numer, sam do niego zadzwonię.

- Niedobrze jest załatwiać to telefonicznie. Sądzi pan, że znajdzie się taki głupiec, który by chciał się spowiadać przez telefon? Musi pan iść na miejsce przestępstwa i nie uprzedzając nikogo zdobyć wpierw niezbite dowody. Jeśli chce pan naprawdę tym się zająć, mogę pomóc. Zaprowadzę do pokoju, w którym odpoczywają lekarze, ale musi pan iść za mną bardzo ostrożnie. Lekarz wychodzi o dziewiątej. Muszę pana uprzedzić, że ja nie chcę być w to zamieszany. Może na to nie wyglądam, ale ja jestem pacjentem wzorowym. Dzięki temu mam całkiem dobrą robotę i nie chcę sobie popsuć opinii.

Była to dziwna winda, minęła pierwsze i zatrzymała się na drugim piętrze. Poruszała się bardzo wolno, ale hałaśliwie. Woń środków antyseptycznych kłuła w nozdrza.

Dowiedział się od strażnika, jak powinien się zachowywać w szpitalu, żeby nikt na niego nie zwracał uwagi. Oczywiście, mógł mieć na sobie swoje cywilne ubranie. Lecz w tym stroju musiał się stosować do czasu oraz wyznaczonego miejsca, po którym mogli poruszać się odwiedzający pacjentów lub jacyś dostawcy. Najbezpieczniej byłoby w białym płaszczu. Tutaj nawet płaszcze różniły się nieznacznie w zależności od zawodu i stanowiska; w innych chodzili lekarze, w innych laboranci a w jeszcze innych pracownicy administracji. Wszyscy tutaj podzieleni są na dwanaście grup pracowniczych. Oczywiście, tym trudniej było zdobyć odpowiedni płaszcz.

Kupując w sklepie trzeba było okazywać legitymację. Można też przebrać się za pacjenta lub posługacza. Pacjenci nie mieli rygorystycznie określonych ubrań - mogli nosić szlafroki lub pizamy, lub cokolwiek innego, w czym można spać. (W tym sensie żona Mężczyzny miała na sobie strój chyba najmniej rzucający się w oczy. Jednak pacjenci rzadko wychodzili z sal w godzinach rannych od ósmej do dziesiątej). Posługacz musiał nosić coś takiego, co wyglądało na strój roboczy.

Tymczasem Mężczyzna mógł jedynie zdjąć marynarkę, rozluźnić krawat i wyglądać na tyle swobodnie, na ile to możliwe, z nadzieją, że zostanie wzięty za laboranta, który pobrudził fartuch, lub posługacza, który zniszczył kombinezon. Mężczyzna przypomniał sobie parę butów do skakania, którą miał w teczce, i powiedział, że mógłby zmienić buty - zamiast skórzanych włożyć sportowe o podeszwie nieco grubszej od normalnej. Strażnik się zgodził. W porównaniu ze skórzanymi pantoflami w trampkach wygląda się znacznie banalnie.

Wyszli z windy na końcu korytarza. Naprzeciwko na ścianie wisiała biała tabliczka z pomarańczowym napisem "Wejście nocne" i ze strzałką skierowaną w dół. Odwrócili się i z prawej strony ujrzeli regularnie rozmieszczone okna w aluminiowych ramach; choć nie wpadało tu światło bezpośrednio, cały korytarz wyglądał jak kanał świetlny. Po lewej stronie ostro rysowały się cienie podwójnych drzwi obrotowych, okienek sięgających boazerii i wycięcie w ścianie, prowadzące prawdopodobnie na schody. Minęli chyba jakieś laboratorium, a dalej pokój pielęgniarek, w którym panowała absolutna cisza, mimo pracowicie ruszających się ludzkich cieni jak na niemym filmie. Mężczyzna instynktownie ściszył krok. Na szczęście specjalne buty do skakania nie wywoływały najmniejszego odgłosu. Minęli pokój pielęgniarek i doszli do pierwszych schodów.

Właściwie były to tylko cztery schodki, chyba łączące stary budynek z pawilonem nowo dobudowanym na innym poziomie. Drugi korytarz łączył się z pierwszym pod ostrym kątem. Był słabo oświetlony i wąski. Zamykał go ekran z dykty w drewnianej ramie, za którym znajdował się tymczasowy magazyn materiałów. W dykcie były drzwi. Wywieszka w czerwonej ramce głosiła: "Obcym wstęp wzbroniony". Prześliznąwszy się przez otwór w drzwiach wyszli na jeszcze jeden korytarz. Nagle oślepiło ich białe światło, podobnie jak w pierwszym korytarzu.

Obok klatki schodowej ujrzeli windę. Nie wiedząc kiedy znaleźli się na pierwszym piętrze. Przeszli obok nie oznakowanych drzwi, następnie obok składu narzędzi pod ścianą, przed ubikacją, szli jeszcze trochę, aż doszli do palarni. Stały tu

trzy drewniane ławki, popielniczka na metalowych rurkach, a przy ścianie - automaty z papierosami i kawą, obok których leżał wózek inwalidzki z odpadającym kołem. W tym miejscu korytarz rozdzielał się ukośnie na prawo i lewo. Były też dwie tabliczki: po prawej stronie zielona, z białym napisem "Konsultacje nr 3", natomiast czarna z pomarańczowym napisem "Ambulatorium" i strzałką w kierunku, z którego przyszli. Korytarz biegnący ukośnie w lewo był nie oznakowany.

Ten korytarz również chyba zbudowano w innym czasie niż nowy budynek, ponieważ na złączeniu dostrzegł lekką pochyłość. Panująca tu wszechwładnie biel zmieniła odcień - z typowej bieli plastyku zmieniła się w biel taniej farby. Pod stopami wyczuł teraz drewnianą podłogę - niczym nie zakłócona cisza sprawiała przykre wrażenie wilgoci, a z powodu zbyt małej liczby okien korytarz wyglądał jak szary brzuch węża.

Pokój lekarza dyżurnego mieścił się wewnątrz tego wężowego brzucha, ponieważ dalej nie było już przejścia, lekarz zawsze musiał przechodzić przez palarnię, aby dojść do celu. W tym miejscu na twarzy strażnika pojawiły się oznaki niepokoju - powiedział kilka razy, że nie zamierza być natrętny, ale mimo to jeszcze raz prosi, żeby go w tę sprawę nie mieszać, dlatego tutaj się rozstana. Drapiąc się za uchem odszedł szybkim krokiem w stronę zielonej tablicy.

Była 8.43. Gdy Mężczyzna usiadł na ławce, jego przepocone spodnie przykleiły się do ud. Chciało mu się sikać, lecz postanowił powstrzymać się, żeby nie rozminąć z lekarzem. Wydało mu się, że siedząc bez ruchu tym bardziej zwróci na siebie uwagę, wziął więc za sto jenów kawę z automatu i czekał cierpliwie siorbiąc powoli. Myślał o tym, jak bardzo skomplikowaną drogą tu przyszedł. Na pewno nie zdołałby sam wrócić. Młoda pielęgniarka niosła przed sobą jakąś butelkę o grubej szyjce, z której unosiła się para, przebiegła posuwistym krokiem od zielonej ku pomarańczowej tablicy. Rozległ się pogłos, jakby pomrukiwanie nieprzerwanych mechanicznych uderzeń o podłogę; przetoczyło się dotykające sufitu wysokie pudło na kółkach, zawierające aluminiowe tace ze śniadaniem... Przez kilka sekund wydało mu się, że usłyszał skądś dolatujące szlochanie kobiety.

Gdy w tekturowym kubeczku pozostawała jeszcze połowa zawartości, rozległo się skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi w nieoznakowanym korytarzu. Zaczęły się zbliżać kroki i szuranie butów o podłogę. Ukazał się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, którego fartuch lekarski zdawał się za krótki. Z brodą

uniesioną ku górze i wypiętą piersią szedł tak równo, jakby przesuwiał się po szynach. Szkła w jego czarnych dużych oprawkach były wyjątkowo grube.

Ponieważ tylko jeden lekarz - sądził Mężczyzna - pełnił dyżur nocny, musiał to więc być ten człowiek, którego szukał. Czy jest jednak możliwe, żeby lekarz wprowadził mu żonę i gdzieś ją ukrył? Albo raczej, czy to możliwe, by jego żona uległa namowom tego lekarza i zagrała rolę porwanej uciekając z domu? Próbował z całych sił wycisnąć z siebie wszystkie okruchy pamięci, aby stwierdzić, czy w zachowaniu żony kryły się choćby najdrobniejsze oznaki budzące podejrzenia. Sok, który udało mu się wycisnąć, był przezroczystry. Czy to możliwe, żeby kogokolwiek można było tak doskonale oszukać? Nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Nagle ukazała się przed nim postać lekarza przesadnie zarysowana jak na ekranie telewizyjnym, w którym popsuł się regulator koloru.

Nie przestraszyłem się go. Przyznaję, że wyczułem coś przytłaczającego w postaci tego lekarza, lecz wierzyłem w siłę swoich mięśni. W ubraniu wyglądał szczupłej, więc nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale jestem niezłe zbudowany. Nie boję się nawet cięższych ode mnie mężczyzn. Nie cofnąłem się przed nim, lecz rozmyślnie nie zbliżyłem się do niego. Po prostu nie chciałem, ulegając uczuciom, stracić takiej okazji. Że nie blefuję, świadczy o tym choćby moje doświadczenie modela występującego nago. Kiedyś mnie poproszono o zdjęcia dla czasopisma sportowo-medycznego, dlatego się zgodziłem. Jednak zrezygnowałem, kiedy dowiedziałem się, że moje zdjęcia sprzedają do czasopism przeznaczonych dla homoseksualistów. Dało mi to okazję do znalezienia obecnej pracy w sklepie sportowym, nie mam więc powodu uskarżać się, ale też nie mam czym się chwalić. Zgodnie ze słowami fotografika, wymagania w stosunku do modela dla tego rodzaju magazynów są bardzo wysokie. Ich wydawcy nie chcą mężczyzn wyglądających zbyt brutalnie, ale tym bardziej nie przyjmują słabeuszy. Warunkiem absolutnie niezbędnym jest odpowiednia gibkość ciała sugerująca błyskawiczny refleks w ataku.

Chyba zbyt daleko odszedłem od głównego tematu. Poza tym zacząłem pisać w pierwszej osobie. Lecz proszę wziąć pod uwagę, że była to chwila, w której dla zachowania spokoju niczego innego nie mogłem uczynić. Teraz wsłuchuję się znowu w odgłos tych samych kroków odtwarzanych ponownie z taśmy. Licznik wskazuje 874. Na nogach pantofle sportowe na cienkich skórzanych podszwach, stąpał więc raczej cicho, a mimo to głos kroków rozlegał się bardzo donośnie. Pewnie po części dlatego, że siedziałem bez ruchu na ławce. Głos w tle, niby szum płytkich fal w oddali,

to na pewno mój własny oddech. Kroki stają się coraz wyraźniejsze, aż podchodzą na taką odległość, że mogę rozróżnić sposób stąpania, a nawet stopień zderzenia podeszwy. Tuż przed dotknięciem mikrofonu odchodzą w dal. I znów stapiają się z otaczającymi szmerami, kończącymi pierwszą stronę taśmy. Przewijam z powrotem do wskaźnika 874, włączam ponownie odtwarzanie i znów zbliża się odgłos stąpania. Powtarza się to wielokrotnie, kroki podchodzą wciąż bliżej i bliżej.

Dziwnego zadania się podjąłem. Niezależnie od tego, jak dokładnie bym siebie śledził, zawsze ujrzę tylko własne plecy. A chciałbym zobaczyć to, co jest po drugiej stronie. Na przykład pustą przestrzeń, o której nawet nigdy nie myślałem, że istnieje, zanim nie wtargnęły w nią kroki owego dyżurnego lekarza... miejsce odtąd wciąż bezgranicznie się rozszerzające i oddzielające mnie od mojej żony... powierzchnię, po której każdy może chodzić swobodnie, a która nie należy do nikogo... zazdrość jak łożysko lawy zastygłej, zachowującej jedynie ślad namiętności...

Lekarz dyżurny nawet nie spojrział na Mężczyznę. Skręcił w lewo z holu dla palących. I kierował się w stronę zielonej tablicy. W tym samym kierunku, w którym odszedł strażnik Patrząc w przestrzeń spoza grubych soczewek na wpół zamkniętymi oczyma minął go nie zmieniając ani postawy, ani kroku. Mężczyzna wcisnął do popielniczki kubek z resztką kawy i wstał z miejsca. Poczekał, aż odejdzie na odległość piętnastu metrów, i dopiero wtedy ruszył jego śladem.

Przy pierwszym narożniku była winda. Lekarz nacisnął guzik, drzwi otwarły się natychmiast. Stała widocznie na tym piętrze. Lekarz wszedł do środka. Wydało się, że Mężczyzna nie zdąży. Bojąc się, że go straci, zerwał się do biegu. Dzięki swym specjalnym butom podskoczył na sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt centymetrów i rzucił się do przodu. W ten sposób zwrócił na siebie uwagę lekarza, który zatrzymał windę i poczekał. Nie ma nic bardziej kłopotliwego niż demonstracja humanitarnych uczuć przez wroga. Mężczyzna zwiesił głowę nie wyrzekłszy słowa, lekarz również milczał patrząc na jego buty.

Lekarz nacisnął czwórkę. Mężczyzna uczynił to samo, udając, że niczego nie spostrzegł. Cyfry wskazywały, że jest tutaj sześć pięter. (Czy lekarz miał tu jeszcze coś do załatwienia? Czy też na tym piętrze znajdował się jego prywatny pokój, w którym spotykał się z kimś potajemnie?)

Wyszli z windy do holu. Czystego i jasnego, urządzonego skromnie, ale ładnie, z wahadłowymi drzwiami. Trudno w to uwierzyć, ale tuż za drzwiami znajdowała się

ziemia. Nie była to ziemia sztuczna, jaką spotyka się na dachach czy tarasach, była to najprawdziwsza ziemia, przez którą można by się przekopać do środka kuli ziemskiej. Za podjazdem dla samochodów biegła ulica, niezbyt szeroka, ale mająca chodniki i obsadzona drzewami. Od frontu było to piętro czwarte, tutaj natomiast chyba parter. Budynek postawiono na dość ostro ściętym zboczu góry, dlatego też ma tak nietypową strukturę.

Tutaj nie było recepcji ani strażnika. Nie kontrolowany więc przez nikogo wyszedł za lekarzem na dwór. Wydało mu się, że od nagłego zetknięcia się z gorącym powietrzem zaczęła mu puchnąć szyja. Niebo było błękitne tylko u zenitu, a im bliżej horyzontu, tym ciemniejsze, jakby ołowiane. Dziś również zanoszą się chyba na straszny smog. Minął ich mikrobus, który przy wjeździe wypuścił z siebie grupę kobiet i mężczyzn w białych płaszczach. Skoro jeżdżą tu wewnętrzne autobusy, szpital musi zajmować dość rozległą przestrzeń.

Ulica wyglądała normalnie, jak każda inna. Co prawda kilka budynków na pierwszy rzut oka przypominało pawilony i laboratoria szpitalne, sąsiadowały one jednak ze zwyczajnymi sklepami spożywczymi i fotograficznymi. W zależności od punktu widzenia, można powiedzieć, że ulice miasta weszły na teren szpitala lub że szpital wtopił się w miasto. Pierwsze skrzyżowanie było wielopoziomowe, dołem biegła szeroka czteropasmowa jezdnia, którą o tej porze pokrywały samochody jadące w obu kierunkach. Jest to prawdopodobnie główna szosa, która biegła tędy jeszcze przed rozbudową szpitala aż po teren wzgórz. Nie mógł się jednak zorientować, czy ten oszklony budynek, wznoszący się na rogu, należy do miejskiej ulicy, czy też znajduje się po stronie szpitala. W oknie na ostatnim piętrze odczytał nie rzucający się w oczy napis "Pościel do wynajęcia". Tak, prowadząc handel z takim dużym szpitalem można zrobić interes nawet na wynajmowaniu pościeli. Możliwe, że wysoki budynek należał również do zabudowy szpitalnej.

Następnie wyszli na potrójne skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną. Ulica prowadziła stromym zboczem w dół, a przy niej o dwa domy od rogu znajdowała się mała restauracyjka. Lekarz zniknął wewnątrz tak szybko i bez wahania, jakby codziennie tu przychodził. Zamiast szyldu z okapu zwisał duży widelec. Chyba spaghetti jest specjalnością tego zakładu. Na pewno, to dobre miejsce na schadzki. Mężczyzna wyrównał oddech, rozluźnił mięśnie pleców i nóg przygotowując się do szybkiego wkroczenia do akcji. Najpierw przeszedł się przed restauracją, jakby nigdy nic. Poza lekarzem wewnątrz nie było nikogo. Może jeszcze za wcześnie, dlatego nikt



tu nie przyszedł, więc czyż mogła tu być żona Mężczyzny? "Specjalnością dnia po zniżonych cenach jest ryż z ikłą dorsza i zupa miso, za 370 jenów". Rzeczywiście, cena niska, wstrzymam się jednak od jedzenia. W tym momencie lekarz jedną ręką podniósł menu, a drugą wycierał twarz ręcznikiem, więc prawdopodobnie na czyjąkolwiek obecność nie zwrócił uwagi. Mężczyzna postanowił prowadzić obserwację zza węgła ulicy u stóp wzgórza. Mimo wszystko coś się tu nie zgadza. Żeby aż tak mógł udawać obojętność ten lekarz, który zadał sobie tyle trudu, aby uwieść kobietę posyłając po nią karetkę pogotowia. Może po prostu żona ma przyjść później? Tak czy owak, Mężczyzna zajmuje teraz korzystną pozycję.

Mógł jeszcze wytrzymać głód, ale parcie na pęcherz zbliżało się do kresu wytrzymałości. Stanął obok jeszcze zamkniętego sklepu z matami i zaczął się odlewać. Na ulicy nadal ruch był mały, jakby potwierdzający, że znajdowali się na terenie szpitala. Aż tu nagle zza rogu domu nadbiegła para chłopców w treningowych spodenkach. Włosy obcięte na jeża, identyczne wąsy sprawiały wrażenie, jakby obaj byli członkami jakiegoś studenckiego klubu karate. Widocznie biegli już dosyć długo, ponieważ ich ciała pokrywała warstwa potu. Przebiegając obok jeden z nich mocno uderzył Mężczyznę w bok. Mocz przestał lecieć. Szybko zasunął zamek błyskawiczny. Krople pozostawiły widoczne plamy na spodniach. Uspokoił się w końcu widząc, że chłopcy pobiegli dalej. Nie darowałby im tego, gdyby w tym czasie nie był zajęty niecierpiącą zwłoki czynnością. Ale pewnie narobiłby hałasu i wszystko zepsuł.

Zapalił papierosa. W pobliżu czujnie nastawionych uszu ulatywał czas jak poryw wiatru, lecz czas zgromadzony w podbrzuszu zatrzymał się w miejscu, nawet nie drgnął. Nim się spostrzegł, już cztery niedopałki leżały u jego stóp, rozdarte na kawałki, a w ustach pojawił się piąty papieros. Zużył połowę dziennej porcji. Odtąd musi bardzo uważać dzieląc odpowiednio resztę zapasu.

Gdy wypalił ze dwa centymetry piątego, lekarz wynurzył się z restauracji. Nie wyglądał na poirytowanego czy rozczarowanego. Widocznie nie umawiał się tutaj z jego żoną. Przekonanie Mężczyzny zaczęło się chwiać, lecz gdyby przestał go śledzić w tym momencie, to nawet ta jedyna nitka nadziei, której z trudem się uchwycił, całkowicie by się zerwała. Lekarz nie miał na sobie białego płaszcza. Widocznie napeczniała jego teczka, dlatego, że włożył do niej płaszcz. A może po prostu makaron, który zamierza zanieść żonie Mężczyzny?

Lekarz wrócił do potrójnego skrzyżowania, skręcił w lewo do dworca kolei podziemnej. Poszedł za nim bez wahania, ponieważ o tej porze pojawiło się trochę

ludzi. Minął bramkę biletera, wszedł pod ziemię, a następnie wynurzył się po przeciwnej stronie. Krajobraz odmienił się całkowicie - wąska opustoszała droga wiodła wzdłuż urwiska, na jej poboczach rosła ścińska trawa wysokości człowieka. Z tunelu równoległego do drogi wychodzą ponad głowę dwie pary szyn i wrzynają się w zbocze góry. Może jednak nie było to metro. Chciał sprawdzić, lecz nie znalazł tablicy z nazwą stacji.

Droga była prosta, nie miałby więc gdzie się ukryć, gdyby lekarz się odwrócił, na szczęście śledzony w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie. Czuł się całkowicie pewny siebie lub po prostu szedł zatopiony w myślach. W dole prześwitywało szare morze. Ziemistożółte budynki, stojące wzdłuż muru nad brzegiem, tworzyły pasiasty rząd drgający w promieniach palącego sierpniowego słońca. Jeśli byłyby to magazyny pewnej spółki gumowej - myślał Mężczyzna - to mógłby określić miejsce, w którym się znajdował.

Gdy zeszli po stromych schodkach wyciętych w skale, na opadającym ukośnie zboczu ukazała się ulica handlowa. Nawis skalny wystawał niby okap, zasłaniał więc widok od góry. Co piąty dom był kwaciarnią lub sklepem owocowym, ubarwiającym okolicę, chociaż w interesie panował chyba zastój. Może handel tutaj nastawiony jest na zaopatrzenie szpitala? W połowie ulicy znajdowało się wejście do tunelu prowadzącego z powrotem na drugą stronę wzgórza. Przy wejściu stał kamienny Jizo, opiekun dzieci, ze sztucznymi orchideami wetkniętymi w uszy, a u jego stóp woda wydobywająca się ze ścieku tworzyła rozbełtany staw. Tunel w połowie zmieniał się w schody. Na górze po wyjściu z podziemi roztoczył się widok na otwartą przestrzeń dzielnicy mieszkaniowej.

Na zboczu pokrytym nie pielęgnowanym trawnikiem i z rzadka rosnącymi drzewami stały identyczne budynki. Zbocze góry, przypominające wypukłą soczewkę, utrudniało widoczność, mimo to Mężczyzna ujrzał dwadzieścia, a może nawet trzydzieści domów. Wszystkie miały po jednym piętrze ze wspólnym wejściem w środku, mogły pomieścić po dwie rodziny z obu stron, a może nawet po cztery, o ile mieszkania dzieliły się jeszcze w pionie na górne i dolne, ściany tych staroświeckich budynków pokrywał chropawy tynk, na którego tle wyróżniały się małe okna w drewnianych solidnych ramach. Prawdopodobnie były to mieszkania dla lekarzy lub innego personelu szpitalnego, ale wyglądały naprawdę bardzo ponuro. Poskręcane stare rowery, jakieś klatki na ptaki, w których kiedyś hodowano zwierzęta, odbierały tej okolicy zapach życia. Może są to raczej laboratoria do specjalnych celów lub sale

szpitalne. A może mieszkańcy zostali stąd ewakuowani z powodu planowanej budowy na tym terenie?

Zatrzymał się przed jednym takim domem. Dróżka między budynkami wiła się nieregularnie jak bazgranina dziecka, w dodatku widoczność utrudniały krzewy, ułatwiające jednak szpiegowanie, ale uniemożliwiające dokładną ocenę odległości między nim a lekarzem. Dom niczym się nie wyróżniał, może jedynie zielonkawym odcieniem tynku i znakiem "H". Mężczyzna nie potrafiłby wyjaśnić, gdyby go ktoś go zapytał, jak się tu dostać z tunelu. Mógłby jedynie powiedzieć, że było daleko.

Sprawdziwszy, że lekarz zajrzał do skrzynki pocztowej, a następnie poszedł schodami na górę, Mężczyzna przycisnął się między krzewami, przebiegł przez ogród i zajrzał do środka. Były tam cztery skrzynki na listy, ale sądząc po kurzu i rdzy, używano tylko jednej. Cień lekarza odwróconego tyłem, pochylonego na półpiętrze i mającego jakieś trudności z zamkiem, ukazał się za brudną szybą okienka. Lekarz stał przed drzwiami na piętrze po lewej stronie patrząc od frontu. Brązowe powietrze cuchnęło zdechłym zwierzęciem. Mężczyznę nagle wstrząsnął dreszcz złych przeczuć - skurczył się niby kawałek tłustego mięsa we wrzątku. W tej sytuacji niepokoiła go już nie tylko schadzka, lecz także przecucie zagrożenia żony. Jeśli ten dom jest częścią szpitala, to równie dobrze mogli tu prowadzić jakieś doświadczenia na żywych organizmach. Przy tym mogły to być jakieś eksperymenty nieprzyzwoite i tak straszne, że nie zezwalano nawet na asystę pielęgniarek.

Trzymając się blisko ścian obszedł budynek dokoła. Tył domu wychodził na północny wschód, dlatego okna były tu znacznie mniejsze, prawdopodobnie od kuchni lub łazienki. Gdy wrócił na poprzednie miejsce po stronie południowej domu, podzielonej chyba na dwa pokoje, nagle otworzyło się okno znajdujące się bliżej środka domu. Przycisnął się do muru i zamienił w słuch. Usłyszał gardłowy gwizd parostatku, niby świst oddychającego z trudem człowieka. Dudnienie miasta wsączało się we wszystkie części ciała. Gdzieś przeleciał helikopter. Nic nie przypominało ludzkich głosów. Czy oboje są już w tak bliskich stosunkach, że w ogóle nie potrzebują ze sobą rozmawiać? Po prostu przylgnęli do siebie i mówią szeptem? W przeciwnym razie trzeba sobie wyobrazić sytuację, w której ona w ogóle nie może rozmawiać, ponieważ zakneblowano jej usta. Pewnie lekarz w restauracji spaghetti zachowywał się tak spokojnie, ponieważ wiedział, że żona stała się już materią niewrażliwą na upływ czasu.

Mężczyzna ocenił odległość do okna, dokładnie wymacał występy, których mógłby użyć jako oparcia dla stóp, i wgłębienia dające możliwość uchwycenia się za krawędzie rękami. W duchu przygotowywał się do ujrzenia sceny, której w żadnych warunkach absolutnie wolałby nie oglądać. Na razie musi się jednak zemścić. Czuł się zbyt zraniony, żeby bać się większych ran. Wzdłuż ozdobnych drzwi frontowych biegła rynna. Znajdowała się w bardzo dogodnym miejscu, lecz była zbyt skorodowana, żeby mogła utrzymać ciężar jego ciała. Poza tym okno znajdowało się za wysoko, żeby mógł dosięgnąć jednym susem wykorzystując zalety butów do skakania. Czy nie ma innego sposobu? Wtem dostrzegł jakąś konstrukcję w kształcie klina o uciętym boku mniej więcej prosto nad schodami prowadzącymi na płaski dach sąsiedniego domu. Wobec tego ten budynek również musi mieć podobne urządzenie. Skoro nie może zaatakować z dołu, uczyni to od góry.

Po cichu wszedł na schody i tam, zgodnie z oczekiwaniem, znalazł schodki prowadzące z półpiętra wyżej. Drzwi były zamknięte na kłódkę, lecz wystarczyło pokręcić nią trochę, żeby odpadła wraz ze skoblem z powodu przerdzewienia. Zaskrzypiały zawiasy, ale ponieważ ostry pisk urwał się po ułamku sekundy, można go było pomylić z pianiem koguta. Poczekał chwilę, lecz nikt nie zareagował. Na szczęście nikt nie dosłyszał. Słońce świeciło niezbyt mocno, lecz odbicie promieni od dachu raziło w oczy. Pod stopami gruba warstwa kurzu łamała się jak biszkopt.

Położył się na brzuchu przy niskiej, sięgającej zaledwie kolan balustradzie i wychylił się ile mógł. Przeszkadzał mu okap nad oknem, dojrzeć mógł zaledwie dwa rogi ram okiennych. Okap miał nie więcej niż piętnaście centymetrów szerokości, więc z trudem mógłby na nim stanąć.

Nagle z pokoju na dole dobiegł jęk. Jęk kobiety. Głos brzmiał bezosobowo, więc Mężczyzna nie potrafił rozpoznać w nim głosu żony. Krótka niezrozumiała rozmowa i znów rozlega się i zanika stłumiony cichy jęk.

Zaskoczony Mężczyzna skurczył się niby dżdżownica pod strumieniem gorącej wody. Myślał tylko o jednym: żeby zajrzeć do pokoiku. Czubkami butów zaczepił się o podstawę balustradki i trzymając się rynny zawisł w powietrzu głową do dołu. Wtedy zrozumiał, że z pozycji wiszącego brzuchem przy ścianie nie ma już powrotu na dach. Na szczęście rynna nie jest w tym miejscu tak skorodowana jak na dole. Wobec tego zsunie się po niej tak nisko jak tylko można. Jeśli metalowe uchwyty wytrzymają, kto wie, może potrafi obrócić się i wskoczyć przez okno. Jeśli szczęście mu nie dopisze i

rynna pęknie lub odpadnie, będzie musiał dobrze odbić się od ściany, zrobić tyłem salto w powietrzu pokładając całą ufność w podeszwach butów do skakania.

Z jękiem kobiety zmieszał się krótki przerywany krzyk. W kącie pokoju zobaczył łóżko. Leżał na nim lekarz, zupełnie nagi na tle bieli prześcieradła. Koc spadł na podłogę odsłaniając całkowicie łóżko, lecz nie wiadomo dlaczego Mężczyzna nie dostrzegł na nim kobiety. Jęk rozbrzmiewał nadal, jak przedtem. Na pewno dochodził z dużego głośnika umieszczonego obok poduszki. Duże i małe zdjęcia nagich kobiet pokrywały wszystkie ściany pokoju. Głos stopniowo narastał, to znów cichł wypełniając pokój skomplikowanym falowaniem napięcia. W tych warunkach lekarz wywijał kolanami i potrząsał dłońmi w rytmie pięciu ruchów na sekundę, trzymając jednocześnie jakiś przyrząd na końcu penisa.

Spojrzeni sobie w oczy. Nagle lekarz podskoczył, chwycił ręcznik spod poduszki i owinał nim biodra, a następnie ruszył co sił w nogach w stronę okna. Mężczyzna instynktownie uchwycił się mocno rynny. Lekarz wyciągnął rękę i złapał Mężczyznę za pasek u spodni. Rynna urwała się bezgłośnie, gdy Mężczyzna szarpnęła biodrami, żeby się wyzwolić od uchwytu. I nagle zawisł w powietrzu. Lekarz chciał się uwolnić, lecz nie mógł wyrwać swej ręki spod paska, upadł do przodu, pociągnięty ciężarem Mężczyzny. Chcąc przede wszystkim osłonić penisa, nie zabezpieczył się dostatecznie przed upadkiem.

Złączeni polecili na ziemię. Spadając zrobili pół obrotu w powietrzu, dlatego lekarz znalazł się pod spodem. Mężczyzna wyszedł z tego z kilkoma zadrapaniami, lekarz uderzył się chyba głową, bo leżał nieprzytomny. Jego wielkie białe ciało, porośnięte włosami i zupełnie nagie, leżące na plecach z szeroko otwartymi oczami, wyglądało niesamowicie. Jeszcze oddychał i puls bił szybko, nie stracił jednak rytmu ani siły. Niezależnie od tego, czy to dobrze dla niego czy źle, w każdym razie penis nadal sterczał, jak gdyby nic się nie stało.

W większe zakłopotanie wprowadził Mężczyznę stojący penis niż zemdlenie lekarza. Przykrył więc penisa ręcznikiem. Lecz nadal był widoczny, chociaż już nie tak rażąco jak przedtem. Następnie Mężczyźnie przyszło na myśl, żeby wyłączyć z prądu głos kobiety, krzyczącej coraz donośniej i denerwująco. Przy okazji mógłby do kogoś zadzwonić. Może znalazłby notatnik, gdyby dobrze poszukał, z często używanymi numerami telefonów. Postanowił wejść do jego mieszkania. Drzwi wejściowe były zamknięte od wewnątrz. Lecz tym razem nie musiał przed nikim się ukrywać. Z dachu opuścił się bezpośrednio na okap okienny, uchwycił oburącz, zrobił obrót ku dołowi i

wskoczył do środka. Przekręcił wyłącznik. Ostatnie tchnienie kobiety przyłgnęło na dobre do bębenków jego uszu.

Telefon zadzwonił, zanim Mężczyzna znalazł aparat. Zawahał się, ale nie miał innego wyjścia. Poczekał do trzeciego dzwonka i podniósł słuchawkę.

Tuż przy uchu rozległ się spokojny męski głos:

- Wszystko w porządku, dobrze rozumiem tę sytuację. Proszę chwilę poczekać na miejscu.

- Pan mnie podglądał?

- W jakim stanie jest ranny?

- Myślę, że stracił przytomność.

- Proszę go nie ruszać i w miarę możliwości wytrzeć mu czoło mokrym ręcznikiem. Dobrze by było również, gdyby pan zasłonił mu twarz parasolem albo czymkolwiek innym. Już lecimy do was.

Nie mam specjalnie zamiaru obwiniać tego podstarzałego strażnika. Pół winy spada na mnie, a to dlatego, że dałem się nabrać i uwierzyłem w to, że wyjaśnienia strażnika trzymają się kupy. Nie ma co mówić, trafili mnie z zaskoczenia między oczy. Szukając miejsca pobytu swej żony nie tylko straciłem na próżno tyle sił i czasu, lecz co więcej zostałem wplątany w kłopotliwą aferę. Mogłem nawet obawiać się policji. Głos w słuchawce mówił, że wszystko w porządku, ale co właściwie miało być w porządku? Mówił, że i sytuację rozumie, ale o jaką sytuację mu chodziło? Jakieś nieprzyjemne insynuacje. Jeśli miałby uciekać, to tylko teraz.

Na razie postanowił wejść na dach, aby zabrać teczkę i marynarkę. Wychodząc z pokoju wpadł na pewien pomysł, a mianowicie taśmę z nagraniem głosu kobiety postanowił włożyć do tylnej kieszeni w spodniach. Drzwi zostawił otwarte. Zerwał się wiatr. Obszedł dach dokoła. Stąd miał znacznie lepszy widok niż z ziemi, ale nie na tyle dobry, jakby się spodziewał. W ogrodzie od południowej strony lekarz nadal leżał na plecach z wciąż stojącym penisem. Daleko na morzu pod pierzastymi obłokami połyskiwały fale niby pozłacane. Tunel prowadzący do handlowej ulicy u stóp urwiska powinien być również po tej stronie. Identyczne osiedle mieszkaniowe rozciągało się na zachodzie do kresu horyzontu. Zdawało mu się, że budynki szpitala winny znajdować się po stronie wschodniej, za dzielnicą mieszkaniową, lecz widoczność przesłaniał gęsty gaj klonowy. Po przeciwnej, północnej stronie linia wzgórz sięgała wprost nieba - na tym tle wznosił się tylko jeden budynek. Był to dość wysoki

wieżowiec, niewiele niższy od kominów krematorium, pomalowanych na czerwono i biał.

Zbliżył się warkot silnika. Nagle spoza linii wzgórz ukazała się biała karetka. Na maksymalnych obrotach przemknęła między budynkami i zmierzała prosto w tę stronę. Jeśli uciekać, to tylko teraz, ale już. Jeszcze kilka sekund wahania i będzie już za późno. Nim zbiegnie ze schodków, wyjście z budynku zablokuje mu nagły zgrzyt hamulców. W takim razie zamiast działać zbyt nerwowo, lepiej będzie powitać ich odpowiednio chłodno i z należytą godnością. Wrócił do pokoju.

Z samochodu wyszło trzech mężczyzn w białych płaszczach niewiele różniących się od siebie. Nie, mężczyzn było dwóch, jedna kobieta z krótko, po chłopięcemu przystrzyżonymi włosami. Jeden z mężczyzn był chudy i niski, a drugi średniego wzrostu o wydatnej szerokiej klatce piersiowej. Naraz wszyscy troje spojrzeli w górę w stronę okna Mężczyzny, a biały płaszcz małego wzrostu, jakby reprezentując swoich współtowarzyszy, lekko uniośł palec w górę, dając znak, że nie mają złych zamiarów.

Niższy mężczyzna nachylił się nad leżącym na ziemi lekarzem. Zajrzał mu w oczy, zbadał odruch kilku stawów z szybkością zawodowca. Pozostałych dwoje przyglądało się temu z niewielkiej odległości. Drobnym mężczyzną ostrożnie zdjął ręcznik i zaczął mierzyć długość penisa rannego lekarza. Pociągał, to znów trącał go, a następnie zapisywał w notatniku. Kobieta w bieli odwróciła wzrok i z zażenowaniem przestępowała z nogi na nogę.

Ten większy wyciągnął nosze z samochodu. Jakby na ten znak kobieta w bieli podeszła w jego stronę. Mężczyznę ogarnął lęk. Zawstydził się, bo miał wrażenie, że ktoś go podgląda w pokoju. Niewątpliwie, była to dostatecznie zła kobieta, skoro mogła przyglądać się pomiarom penisa, nie ma więc chyba potrzeby traktować jej jak zwykłą normalną kobietę.

- Szybko, zejdź tutaj.

Na pewno skończyła dwadzieścia pięć lat, miała ciemną skórę, silną budowę ciała i niewątpliwie twardy charakter, lecz nie była tak męska, jakby to wyglądało z góry, gdy oceniał ją na podstawie krótkich włosów.

Wyszedł na korytarz na jej spotkanie i zaczął się tłumaczyć.

- To nie moja wina, trudno to wszystko wyjaśnić.

Kobieta kiwnęła głową uspokajająco, prześlizgnęła się obok Mężczyzny i weszła do pokoju. Z cynicznym uśmiechem obejrzała ściany pokryte zdjęciami nagich kobiet

i zbliżyła się do łóżka. Chwyciła całą garść chusteczek papierowych i przez nie wzięła do ręki dziwny przyrząd, za którego pomocą lekarz dyżurny chyba się onanizował.

- Czy pan wie, co to jest?

Następnie wyjaśniła, że był to pojemnik na spermę. Bank spermy kierował się określonym systemem skupu, według którego cenę ustalano w zależności od wieku i stanu zdrowia dawcy, siły fizycznej, współczynnika inteligencji, czynników genetycznych i temu podobnych, brano też pod uwagę względy estetyczne. Ten lekarz otrzymywał podobno tysiąc dwieście osiemdziesiąt jenów za gram. Zresztą mniejsza o to ile, problem polega na tym, że lekarz wywoływał wytrysk niemal codziennie. Jeszcze nie tak wiele osób interesuje się sztucznym zapłodnieniem, mimo to on wciąż wnosił swój wkład do banku korzystając z systemu skupu, w końcu spowodował zachwianie równowagi w bankowych zapasach spermy, gdyby więc nie zachowywano dostatecznej ostrożności, powstałoby niebezpieczeństwo spłodzenia całej masy dzieci podobnych do niego. Zresztą nie chodziło mu o to, żeby zwiększyć liczbę swych potomków, nie kierował się tego rodzaju aspiracjami duchowymi, ale przede wszystkim chęcią posiadania pieniędzy. Nawet gdyby przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku codziennie sprzedawał swoje zbiory, otrzymałby zaledwie pół miliona jenów, można więc sobie wyobrazić, jakim on był sknerą. Mieszkał w budynku przeznaczonym w końcu roku do rozbiórki w związku z poszerzeniem cementarza, zresztą odcięto już dopływ wody, a mimo to nadal tam siedział, ponieważ nie musiał płacić czynszu.

Z dołu ktoś przynaglał do wyjścia.

Kobieta w odpowiedzi dała znak ręką przez okno.

- Ten mały facet jest wicedyrektorem. Pełni też funkcję kierownika oddziału chirurgii chrząstkowej. A ja jestem jego sekretarką. - Kiedy się przedstawiła, przeszukała kieszenie w spodniach lekarza i znalazła pęk kluczy. Następnie chciała wyjąć taśmę magnetofonową, lecz spostrzegła, że jej nie ma, odwróciła się i popatrzyła kpiącym wzrokiem na Mężczyznę. On udał, że niczego nie zauważył i odwrócił wzrok.

Oboje zeszli na dół - lekarz leżał na noszach w karetku. Duży mężczyzna siedział już za kierownicą. Sekretarka zajęła miejsce obok niego, a Mężczyzna wraz z wicedyrektorem musieli usiąść obok noszy na ławce.

Samochód ruszył, zaczęła działać klimatyzacja. Czy tak wyglądało wnętrze karetki, którą porwano jego żonę? Gdy przekroczyli linię wzgórz, wyjechali na szeroką i równo wybrukowaną drogę, za którą stały jednopiętrowe drewniane podłużne



budynki, najprawdopodobniej szpitalne, odgradzone od ulicy ciągnącym się bez końca niskim płotem z dwu drutów kolczastych.

Od zachodu zaczęły nadciągać chmury. Może będzie deszcz.

- Jednak dlaczego...

Zaczął mówić Mężczyzna, ale jakby chcąc mu przerwać wicedyrektor uniósł ręcznik przykrywający podbrzusze lekarza.

- Co sądzisz o nim, jak wypada w porównaniu z twoim? Nie taki znowu krótki, lecz jak na wielkiego mężczyznę, to nic szczególnego, prawda? Oczywiście, wydolność seksualna niekoniecznie zależy od wielkości członka...

- Dokąd jedziemy?

- Musimy najpierw zawieźć go do szpitala...

- Ale ja...

- A ty może byś poczekał w moim pokoju? Zaraz wrócę, tylko załatwię formalności.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Podobno miał niezwykłą zdolność spermogenną.

- Chciałbym jakoś dostać się do mojej firmy, żeby zdążyć na popołudniowe zebranie...

- Wiesz, dzisiejsza medycyna prawie nic nie wie o mechanizmie erekcji.

Na penisie pojawiły się drobne zmarszczki, lecz zaraz zniknęły, znów wypełniły się wspaniale, kiedy wicedyrektor podrażnił go czubkiem palca. W końcu ukazał się las klonowy i wkrótce minęli szereg drewnianych piętrowych budynków. Za placem obnażonej czerwonej ziemi widniały głębokie wykopy. W dolinie wznosił się budynek, jakby wspierający się jednym bokiem o brzeg tego placu. Na pewno był to jeden z tych, które poprzez linię wzgórz oglądał z dachu H4. Miał chyba czternaście pięter, nieco zwężony u góry, lecz u dołu nagle rozszerzał się z czterech stron jakby na kształt potężnej dłoni, wyglądającej niby łapy jakiegoś monstrualnego ptaka, groźnie drapiącego ziemię.

Dach wystającego ramienia znajdował się na wysokości placu czerwonej ziemi. Przejchawszy obok kilku grup mężczyzn w białych fartuchach, ćwiczących chwytanie piłek baseballowych, podjechali samochodem bezpośrednio pod główne wejście budynku.

Pokój wicedyrektora mieścił się na ostatnim piętrze wieżowca.

(Brakowało na taśmie ponad czterdzieści minut oczekiwania w pokoju wicedyrektora po odjechaniu białej karetki. To zrozumiałe. Prawie cały ten czas straciłem na jedzenie kanapek i picie kawy, które zamówiła dla mnie sekretarka. Czuję się niezręcznie, a rozmowa z nią się nie kleiła. Ciężko mi myśleć o tym, że kobieta odgadła moją tajemnicę schowaną w tylnej kieszeni taśmy magnetofonowej z nagraniem jęków kobiety, zresztą sama jej obecność wprawiała mnie w zakłopotanie. Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że była tego świadoma i brała to pod uwagę w swych kalkulacjach. W każdym razie tego czasu nie warto było rejestrować, to na pewno. Dalej na taśmie jest rozmowa z wicedyrektorem, którą przedstawiłem na początku, mimo że na niej kończyła się pierwsza kasetka).

Teraz jestem znów w tamtym pokoju H4 i właśnie sporządzam te notatki. Jest to ten sam pokój o wyklejonych nagimi kobietami ścianach, w tym domu stojącym na terenie planowanego cmentarza, gdzie mieszkał dotąd lekarz, który stracił przytomność, a mimo to nie pozbył się erekcji. Wicedyrektor dał mi klucz do pokoju, w którym tymczasowo miałem nocować. Odtwarzacz dostałem wysokiej klasy, nie miałem więc powodu do skarg, może z wyjątkiem braku bieżącej wody. Lekarz jeszcze nie odzyskał przytomności i nadal leżał w pawilonie na oddziale chirurgii miękkiej.

Jest już późna noc. Zbliżyła się jedenasta. Pracuję nad tymi notatkami cały czas od wczesnego ranka, a uporałem się tylko z jedną kasetką. Skończyłem jedną trzecią tego, co miałem zrobić. Licząc w dniach zarejestrowanych, nie stanowi to nawet jednej szóstej. Nie wyobrażałem sobie, że pisanie jest tak potwornie ciężką pracą.

Możliwe, że trochę za wiele wagi przywiązywałem do szczegółów. Z szumów, zbitych gęsto niby udeptany filc, opierając się tylko na pamięci, trudno wyróżnić i wybrać potrzebne dźwięki - jest to więc na ogół robota misterna, podobna do składania zegarka. Gdybym uporządkował wszystko bardziej z wiarą i gdybym był gotów wytrwać przez całą noc, a może do świtu, mógłbym chyba wywiązać się z umowy. Lecz jestem już zmęczony. Boli mnie mięśnie prawego kciuka nienawykłe do tego rodzaju czynności. Piszę coraz mniej czytelnie. Myślę, że dziś powinienem na tym skończyć. Czy będę pisał dalej czy nie - nad tym się zastanowię, gdy jutro rano wybadam jeszcze raz intencje Konia.

Szczerze mówiąc, to mi się nie podoba. Mam głębokie przeświadczenie, że Koń wystrychnął mnie na dudka. Nawet gdybym nie wiem jak drobiazgowo przedstawił swoje oskarżenie, i tak byłoby to syzyfowa praca. Może jedynie osiągnąłbym rodzaj

alibi dla siebie. Lecz teraz nie alibi mi potrzebne. Po prostu szukam tropu prowadzącego do odnalezienia żony. To prawda, dano mi biały płaszcz umożliwiający swobodne poruszanie się po szpitalu, wpisano mnie też do rejestru pracowników sezonowych. Lecz to wszystko jest chyba jedynie słodką przynętą zastawioną w celu odwrócenia mojej uwagi, bo tak naprawdę mają na celu uspokojenie i przykucie mnie do stołu.

Koń ostatnio stał się bardzo nerwowy. Do święta w rocznicę założenia szpitala pozostały tylko cztery dni - widocznie bardzo się denerwował, nie wiedząc, czy zdąży dobrze się przygotować. Potrafię też zrozumieć jego chęć ucieczki przed odpowiedzialnością. Poza tym nie mogę odeprzeć podejrzeń, że dając mi zadanie opracowania tego raportu zamierzał zbadać moje poglądy. Nie ma nic tak niebezpiecznego jak zdrada człowieka, który znał cię nazbyt dobrze. A poza tym jestem za zdrowy, co z jego punktu widzenia jest trudne do zaakceptowania.

Krople potu, spadające z czubka nosa, pozostawiły trzy plamy. Mimo wszystko ten wysiłek chyba pozwoli mi pozostać przy zdrowych zmysłach. Na brzegu czarnego morza, gdzie migają światła łodzi rybackich, wisi gruba pomarańczowa połówka księżycy, nie wiem jednak, dlaczego ten zwykły obrazek napelnia mnie dzisiaj grozą.

Minęły już cztery dni, odkąd nie pojawiłem się w pracy. Teraz na pewno niczego już cofnąć nie można.

## **NOTATNIK II**

O 4.43 zostałem zerwany ze snu telefonem od Konia.

W przeciwieństwie do mojego niezadowolenia z powodu niewyspania, Koń był dziś w doskonałym humorze, nie gorszym niż wczoraj. Z pewnością dlatego, że biega już tak dobrze, że niewiele się to różni od końskiego truchtu; szkoda tylko, że nie słyhać tętentu kopyt. Rytm stąpień jego przedniej i tylnej nogi dokładnie się pokrywał, przy czym dotknięcia ziemi nieznacznie się różniły, sprawiały jednak wrażenie pełnej jedności. A najważniejsze, że jego tułów już nie kiwał się ani nie skręcał. Gdyby nie osiągnął harmonii ruchów, wyglądałby jak udający konia w teatrze. Chciałoby się jeszcze tylko, żeby tak nie wymachiwał rękami dla złapania równowagi górnej części ciała. Bo teraz wygląda raczej jak zwierzę o sześciu nogach.

Koń przerwał ćwiczenia, pomachał połamami koszuli, aby się przewietrzyć, i lekkim truchtem zbliżył się do mnie z wyrazem twarzy poważnym i pytającym. Wiedziałem, że domagał się mojej opinii na temat jego osiągnięć, ale zignorowałem go. Podałem mu kanapki i termos z kawą, a następnie urzędowo poinformowałem, że nie skończyłem jeszcze sprawozdania.

Ku mojemu zdumieniu Koń wykazał niespodziewane zainteresowanie pierwszym nie skończonym notatnikiem, zabrał go ode mnie mówiąc, że chce uważnie przeczytać w wolnej chwili. W zamian dał mi pieniądze na kupno drugiego notatnika.

Wtedy bez wahania oświadczyłem.

- Już mam tego dosyć. Ta zabawa w ciuciubabkę donikąd nie zaprowadzi, niezależnie od tego jak długo będzie trwała. Nie mam chyba obowiązku godzić się na transakcję, gdy warunki płatności pozostają nie wyjaśnione.

Z wyrazem spokojnego zakłopotania Koń uważnie przeczytał kilka ostatnich stron notatek i drapiąc się po czole końcami palców powiedział:

- Przejrzałeś mnie. To prawda, tak jak się domyślasz, te notatki mogą być swego rodzaju ankietą mającą na celu wysondowanie twoich myśli. Jednak chyba się mylisz co do celu tego sondażu. Pytania o twoją lojalność wiążą się raczej ze stosunkiem do żony. Rzecz w tym, że jeśli się najpierw nie upewnię, jak poważnie traktujesz poszukiwania swojej żony...

- I znów to samo. A tego nie lubię. - Nie ustępowałem. - Bo przecież żony nie giną codziennie bez wieści, a jeśli znikają, to poszukiwanie jest rzeczą naturalną. A ty zmieniasz od razu temat, więc jak mogę ci ufać.

- Przesadzasz - przeniósł ciężar ciała na tylne nogi, skrzyżował przednie w nie całkiem koński sposób, i napełniając sobie drugi kubek kawy mówił: - Robię wszystko co mogę, żeby ci pomóc.

- Na przykład co?

- Co? No przecież to ja dałem ci klucz do rozwiązania zagadki zniknięcia twojej żony z tej zamkniętej na klucz poczekalni...

- Gdzie?

- No nie, nie mów, że nawet tego nie zauważyłeś!

- Przestań udawać, że na darmo się starasz.

- Przecież jest na początku kasety, zaraz po włączeniu.

- Aa, jeśli to masz na myśli, to nawet nad tym się zastanawiałem. Napisałem o tym w notatniku, ale po pierwsze w tym momencie nikt chyba jeszcze nie mógł wiedzieć, kim ja jestem, czy też po co przyszedłem...

- Czy mówisz o tej rozmowie na ulicy z kobietą z Agencji Mano?

- Nieważne, przecież w żaden sposób nie można wyjaśnić, jak to możliwe, by już od tego czasu mnie obserwowano. To jest całkowicie sprzeczne z tym, co strażnik mówił o podsłuchu.

- To co innego. On nie miał specjalnie ciebie na uwadze. Z zasady wszystkie rozmowy z klientami agencji usługowej są podsłuchiwane w sali ogólnej diagnostyki. Aby zebrać pełne dane o tobie, przekazaliśmy specjalne zamówienie do kierownika nagrań i otrzymaliśmy kopię taśmy. Porównaj to z podsłuchem dokonany przez strażników, zobaczysz, że jakość dźwięku jest zupełnie inna. Myślę, że ty też mógłbyś już powoli zapoznawać się z warunkami, jakie są w tym szpitalu. Poprawa systemu opieki medycznej i uzdrowienie administracji szpitalnej to dwa cele, które nie zawsze można ze sobą pogodzić, chociaż system tych agencji usługowych niekoniecznie jest zadowolający, to jednak w obecnej sytuacji jest swego rodzaju złem koniecznym.

Jako przykład z ostatnich czasów Koń podał przypadek pewnego nieszczęśliwego pacjenta. Oto mężczyzna w średnim wieku czekał na przystanku na autobus, kiedy dziewczyna przejechała obok na rowerze trzymając w jednym ręku przezroczystą torbę wypełnioną pięćdziesięcioma jajkami. Kierownicę trzymała bardzo niepewnie, wyglądała na rowerzystkę niedoświadczoną. Na nieszczęście z przodu i z tyłu nadjeżdżały ciężarówki. Gdyby zrównały się z sobą, zajęłyby całą szerokość jezdni. Z miejsca, w którym stał mężczyzna, wyglądało to tak, jakby miały się zrównać w punkcie, w którym była dziewczyna na rowerze. W wyobraźni

mężczyzny jej kierownica uderzyła o słup telefoniczny, a plastikowa torba z jajkami o betonowy mur. Pięćdziesiąt jaj rozprysło się w jednej chwili - w jego oczach jak żywy ukazał się moment, gdy jaja przemieniły się w żółtą lepkać maź. Zrobiło mu się niedobrze, więc przyklął i stracił przytomność. (Odnutowuję dla ścisłości, że ciężarówka przejechała bezpiecznie, nie wyrządziła szkody dziewczynie, a w plastikowej torbie znajdowały się piłki pingpongowe).

W ciągu trzynastu minut ambulans dotarł na miejsce. Ponieważ było południe, obowiązki biura przyjęć w szpitalu pełniła owa agencja usługowa. Wywiad z pacjentem, prowadzony przez agenta, przekazywano drogą radiową do sali diagnostycznej, w której przy głośniku z dużym zainteresowaniem przysłuchiwało się sześciu różnych specjalistów. Reprezentowali oni specjalności raczej bardzo wąskie, takie jak z zakresu krążenia obwodowego, endokrynologii, metabolizmu komórek, neurochirurgii, zatrucia lekami i nerwów czuciowych.

Agenci są zobowiązani umową do przekonywania pacjentów, aby godzili się z zaleceniami sali diagnostycznej. Jednak z zasady, gdy życzenia pacjenta lub jego rodziny były znane, musiały być honorowane, ale ostatecznie większość przypadków trafiało na ogólną internę, chirurgię lub psychiatrię. Trudno zresztą winić pacjenta, że nie zna dokładnie istoty swej choroby, dlatego sytuacja staje się poważna w wąskich specjalnościach. W ekstremalnych przypadkach niektóre oddziały są zapełnione chorymi lekarzami i pielęgniarkami, którzy rejestrują się jako chorzy z poczucia obowiązku.

Byłoby najlepiej połączyć ogólne oddziały w jeden, zwany - powiedzmy - diagnostycznym, ale z punktu widzenia administracji większy sens miałoby pozbycie się wszystkich specjalistów, którzy sprawiają tyle kłopotów chorym. Co roku wojna o pozyskanie pacjentów przybiera coraz bardziej drapieżny charakter, a poszczególne oddziały starają się mieć ich jak najwięcej, by zarobić i w ten sposób poprawić swój budżet.

Ale wypadek tego mężczyzny w średnim wieku był bardziej skomplikowany, ponieważ nadal nie odzyskał on przytomności, nie miał też nikogo z rodziny, dał więc rzadko spotykaną okazję dla bandy specjalistów. A przy tym - według naocznych świadków - nikt nie myślał o tym, żeby winić dziewczynę na rowerze z torbą jajek - przyjęto, że jest to przypadek utraty przytomności z nieznanych powodów, mężczyzna nie był tak znowu stary ani nie sprawiał wrażenia, iż był wyczerpany jakąś chorobą, nie miał konwulsji ani spazmów, a mimo to pozostawał wciąż nieprzytomny. Nic więc

dziwnego, że każdy oddział chciał go przyjąć do siebie. Zwykle specjaliści dochodzą do zgody po konsultacji, ale tego dnia - może to wiatr wiał ze złej strony - wszyscy upierali się przy swoim stanowisku i nie chcieli ustąpić, w końcu doszło do wymiany oskarżeń między lekarzami różnych oddziałów, np. o kobieciarstwo czy niewłaściwy sposób grania w szachy.

Tymczasem agent, który nie otrzymał potwierdzenia z sali wstępnej diagnostyki, nie mógł zakończyć opracowania dokumentu i kiedy zdenerwowany tracił czas, stan pacjenta nagle się pogorszył, a w końcu zmarł. I tak, niespodziewanie, ten smaczny kąsek został porwany przez oddział reanimacji.

Mężczyzna w średnim wieku na oddziale reanimacji zaczął znów oddychać. Ale ponieważ tu nie interesowano się specjalnie leczeniem, przyjęto wyrazy wdzięczności pacjenta, pozostawiono go bez dalszej opieki i pozwolono mu umrzeć. Nie nazywałyby się oddziałem wskrzeszania, gdyby nie starano się znów przywrócić mężczyzny do życia - i tak co cztery, pięć dni pacjent umiera i znów jest wskrzeszany, i wtedy znów pieje hymny wdzięczności.

- A co to wszystko ma wspólnego ze zniknięciem mojej żony?

- Wcale nie powiedziałem, że ma z tym jakiś związek.

- Powiedziałeś! Powiedziałeś, że kluczem do zagadki zamkniętej sali czy czegoś tam jeszcze jest początek nagrania na taśmie.

- Nie, to jest jeszcze wcześniej. To trwa tylko około dziesięciu sekund. To krótka scena, ale tam jest.

- Nie ma.

- Więc jej nie dosłyszałeś. Pomyślałeś, że to zwykle szumy, i przepuściłeś. Kiedy wrócisz, przesłuchaj uważniej jeszcze raz.

- A co tam jest do słuchania?

- Dopiero jak przesłuchasz, możemy razem rozważyć sprawę.

- Jeśli tam jest jakaś konkretna wskazówka, to powinniśmy od razu przystąpić do działania. A nie tracić czas na jakieś niepotrzebne notatki...

- To raczej ty traciłeś czas niepotrzebnie. A może miałeś jakiś ukryty powód, żeby nie posuwać się do przodu, i dlatego celowo włączyłeś hamulce.

- Jesteś zbyt podejrzliwy.

- To co z tego? Słuchaj, czy nic innego nie przyszłoby ci do głowy, jak tylko wysłanie łodzi ratunkowej, gdyby statek zaginął po nadaniu SOS? Dlaczego by nie zapalić świateł na latarni morskiej? Należy działać, to prawda, ale czy nie można



zrobić czegoś więcej niż biegać i węszyć jak pies? Wydaje mi się, że oświetlenie drogi powrotnej osobie, która zaginęła, byłoby wspaniałym realnym krokiem. W moim zamierzeniu te notatki mają posłużyć za swego rodzaju mapę, którą mogłaby się kierować twoja żona podczas powrotu. Chyba mnie rozumiesz? Myślę, że nie będzie za późno, jeśli poczekaasz na rezultaty i wtedy zdecydujesz, że to próżny wysiłek.

Nie rozumiałem, ale chyba przegrałem tę partię. Rozgoryczony, nie mogąc odeprzeć jego argumentów, miałem wrażenie, że rozumiem psychikę niewinnych ludzi, którzy przyznają się do popełnienia przestępstwa. Rozstałem się z Koniem, wróciłem do pokoju i od razu rozpocząłem przesłuchiwanie pierwszej taśmy. Kiedy wsłuchałem się uważnie, zgodnie ze wskazówką Konia, mogłem stwierdzić, że jednak są zarejestrowane dźwięki mające jakieś znaczenie.

Zszedłem do sutereny głównego budynku, aby kupić drugi notatnik, przy okazji wjechałem windą na najwyższe piętro i zajrzałem do gabinetu wicedyrektora. Akurat sekretarka przyszła do pracy. Wziąłem dwie pigułki pobudzające i klucz, przeszedłem na drugą stronę holu i wstąpiłem do strażników. Chciałem zobaczyć plan rozmieszczenia mikrofonów wokół poczekalni zewnętrznej. Tylko w aptece był mikrofon.

Gdy ustaliłem położenie mikrofonu, wydało mi się, że będę mógł rozszyfrować szumy. Chyba byłem trochę podniecony. Uwolniłem się od sekretarki, która chciała mnie wypytywać o to, co się dzieje z Koniem, i o wiele innych rzeczy, i pospieszyłem do pokoju.

Najpierw naszkicowałem ogólny plan zewnętrznej poczekalni włącznie z apteką. Zazaczyłem pozycję mikrofonu. Następnie ustaliwszy miejsce, w którym mogłem wtedy przebywać, wysłuchałem kilkakrotnie początek taśmy. W odniesieniu do dwu osi, czasu i kierunku, oceniłem zmiany w jakości i sile dźwięku. To, co początkowo było tylko szumem, stopniowo nabrało kształtu jako wyrazista scena.

Szum wiatru uderzającego o szyby w aptece... chwileczkę, ale przecież wiatru nie było aż do wschodu słońca... może to szum klimatyzatora... zbliżające się kroki... to odgłos sandałów na gumowych podeszwach... podchodzi z wahaniem, nagle staje się wyraźny... nie, to inny szum się skończył... kroki nadal się zbliżały, choć z wahaniem... Jaki naturalny dźwięk może tak nagle ucichnąć? Próbuję jeszcze raz przesłuchać... może przesadzam, ale mogę sobie wyobrazić, jakby ktoś zabawiał się

szufladami w aptece... kroki ucichły... chwilowa przerwa i znów ostry metaliczny dźwięk... następnie gdzieś blisko głuchy, ciężki odgłos...

I tak znowu zacząłem pisać. Nie miałem chyba wyboru, musiałem przyjąć warunki umowy. Koń na pewno coś wie. Fakt, że redagując taśmy celowo umieścił te odgłosy na początku taśmy, może być dowodem, że miał więcej informacji niż ja. Nie, chyba miał coś więcej niż zwykłe informacje.

Niepokoilo mnie jednak to, że nie wiedziałem, jak moje notatki zostaną wykorzystane. Co miał na myśli posługując się przenośnią i nazywając je mapą, która ułatwi mojej żonie wyjście z labiryntu? Nie darowałbym sobie, gdyby rezultaty poszukiwań zostały całkowicie uzależnione od treści moich notatek. Zdecydowałem więc postawić pewne warunki przekazując następną część notatek. Obiecałem, że nie będę oszukiwać, ale w zamian za to teraz chcę mieć jasność co do sposobu ich wykorzystania, a poza tym prawo do usunięcia tej części, która wyda się szkodliwa dla mnie.

(Druga kasetka rozpoczyna się od przedstawienia mnie szefowi bezpieczeństwa przez sekretarkę, co nastąpiło po spotkaniu z zastępcą dyrektora. Pokój strażników znajdował się na tym samym piętrze, po przeciwnej stronie korytarza. Gdy przechodziliśmy na drugą stronę, sekretarka szepnęła do mnie: "Zastępca dyrektora jest impotentem". Przejście najszerszego korytarza nie zajmuje nawet kilku sekund. Nie miałem więc czasu na zastanowienie się nad odpowiedzią. Zresztą teraz chyba najwyższy czas, by wrócić do "trzeciej osoby" i zrezygnować z "ja". Mężczyzna w zakłopotaniu nie wiedział, jak zareagować. Zresztą nie wyglądało na to, że chciała zdyskredytować zastępcę dyrektora, więc raczej nie liczyła na reakcję z mojej strony, a zamierzała jedynie zrobić na mnie wrażenie. Jeśli tak, to się jej udało. Bo przecież gdy kobieta podejmuje jakiś temat związany z seksem, mężczyzna egoistycznie bierze to od razu za celową prowokację. Poza tym stało się to wkrótce po tym, gdy oboje byli świadkami niecodziennego wydarzenia, a mianowicie oglądania w biały dzień, z bliska, erekcji penisa, nie można więc zaprzeczyć, że wyraziła w ten sposób poczucie swego rodzaju koleżeństwa).

Pokój strażników był podobny do gabinetu wicedyrektora pod względem wielkości i kształtu. Tuż przy wejściu były drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju, odpowiadającego sekretariatowi, w głębi naprzeciwko duże okna, podwójnie

oszlone, zapewniały światło i ciszę. Nawet komplet krzeseł dla gości - metalowe rurki pokryte czarną sztuczną skórą - był identyczny. Jednak na tym podobieństwo się kończyło. Biuro zastępcy dyrektora różniło się prostotą i jasnością wystroju. Z wyjątkiem ramek obrazka przedstawiającego kopulujące konie, wszystko pozostałe, od dywanu po plastikowy kalendarz, było takie samo lub prawie takie samo w odcieniu niebieskoszarym, podobnie jak ściany. W pokoju straży panował po prostu bałagan. Wszystkie ściany pokrywały różnego rodzaju wskaźniki zegarowe i wyłączniki, a między nimi pęki wielobarwnych kabli elektrycznych, krzyżujące się lub zwisające nad podłogą zawaloną narzędziami i częściami zamiennymi. Gdyby to wszystko trochę uporządkować i ujednolicić, pokój mógłby przypominać jakieś studio radiowe albo halę maszyn liczących, ale w tym stanie przypominał najwyżej sklep hurtowy urządzeń i części elektrycznych.

Mężczyzna w bieli, pochylony nad pulpitem przy oknie, plecami zwrócony do drzwi, nagle obrócił się wraz z krzesłem i zdjął z głowy słuchawki.

- A, przepraszam za tamto. Nie powiedziałem wtedy, że jestem kierownikiem wydziału bezpieczeństwa.

Był to kierowca białej karetki, która poprzednio odjechała z zastępcą dyrektora. Mężczyzna poczuł pewną ulgę zrozumiałwszy, że nie jest to pierwsze spotkanie, lecz z drugiej strony nie mógł oprzeć się podejrzeniom. To dziwne, ale wszystko tu było zbyt dokładnie ustalone, do najdrobniejszych szczegółów.

Kierownik mówił dalej, jakby odczytując podejrzenia Mężczyzny. Mówił szybko, starannie kontrolowanym głosem, wręcz można było wyczuć mięśnie w gardle.

- Nieważne, nie potrzebujesz się przedstawiać. Ani niczego wyjaśniać. Wszystko o tobie wiem.

- Mimo to dlaczego...

Kierownik podniósł tłustą rękę i nie pozwolił Mężczyźnie mówić. Podniósł z pulpitu czarny przyrząd wielkości około pięciu centymetrów kwadratowych i przekreślił wyłącznik. Rozległ się cichy głos podobny do jęczenia komara. Uśmiechając się, jakby z zadowolenia, wstał z miejsca i przez stół podał mężczyźnie jakiś instrument. Komar zmienił się w końską muchę, a w lewej kieszeni marynarki Mężczyzny głos zmienił się w ostre bzyczenie elektrycznego przyrządu.

- Zobaczmy, co jest wewnątrz.

- To jest...

- Wiem, to wypożyczony ubiór damski, prawda?

Cóż mogłem na to poradzić, skoro i tak wiedział. Mężczyzna niechętnie wyciągnął walek beżowego materiału z niemal pękającej kieszeni. Kierownik wprawnym ruchem wyjął pasek z sukni, paznokciem otworzył zatrzask sprzączki i ze środka wydobył małą baterię rtęciową. Brzęczenie natychmiast ucichło.

- Kpisz sobie ze mnie.

- To nadajnik krótkofalowy. Ponieważ nosiłeś to cały czas ze sobą, nietrudno było śledzić twoje ruchy. Kiedy już wiesz jak to działa, nie widzisz w tym nic dziwnego. Teraz już rozumiesz, dlaczego mogliśmy dojechać na miejsce w tym samym czasie, w którym zdarzył się wypadek.

- To cholerny trick. Ale skoro o tym wspomniałeś, ten dziadek w agencji mówił, że przedtem był magikiem.

- To nie ma związku. To dotyczy nie tylko tego jednego sklepu. Mały nadajnik znajduje się w każdym pożyczonym kostiumie lub w akcesoriach.

Kierownik lekko uderzył piętą o podłogę, obrócił krzesło, pochylił się i zaczął manipulować przy lewym brzegu wielkiej płyty umieszczonej na pulpicie. Na ścianie tuż obok niego ukazały się płaskie szpule - dziewięć w poziomie i sześć w pionie, razem 54. Kilka z nich się obracało, niektóre zatrzymywały, inne rozpoczynały ruch - nie było w tym chyba żadnej zasady.

W kącie pokoju rozległy się czyjeś szept. Dochodziły z głośnika. Ale ponieważ nie było go widać, głosy wydały się dziwnie bliskie. W treści nie było nic szczególnego, po prostu mężczyzna i kobieta liczyli chyba pieniądze, ale odgłos wydawał się tak żywy i wręcz zmysłowy, że grzechem wydało się ich podsłuchiwanie. Zależało to pewnie od jakości głośników i wzmacniaczy, ale chyba nie tylko. Zwracał uwagę sposób skracania wszystkiego w tej rozmowie w taki sposób, żeby nikt poza nimi nie mógł ich zrozumieć.

- To "uprowadzenie" B 3... nie wydaje się szczególnie ważne, jak sądzę.

Kierownik wyłączył głośnik i wyjaśnił. Z wyjątkiem szczególnych przypadków, wypożyczanie ubrań z jednej agencji prawie zawsze miało na celu "uprowadzenie". "Uprowadzenie" oznacza tutaj - Mężczyzna był jednym z tych, którzy mylnie rozumieli to słowo - oznacza po prostu eskortowanie pacjenta z bloku szpitalnego lub z innego terenu, na którym wolno mu przebywać.

Większość pacjentów szpitalnych nie ma przy sobie ubrań wyjściowych, cywilnych. Może przyjmować odwiedzających w salach chorych albo w pomieszczeniu

receptyjnym, a kto czuł się na tyle dobrze, żeby wychodzić na ulicę, nie był przyjmowany do szpitala, tylko do ambulatorium. Co innego, gdy swoje ubrania ukrywali kawalerowie i panny, a co innego, gdy robili to żonaci i mężatki, dla których mogło to stać się powodem podejrzeń i kłótni rodzinnych.

Komu więc zależało na tym, by zadawać sobie trud przynoszenia pacjentom wypożyczonych ubrań? To jasne, że cudzołożnikom. Brak ubrań wyjściowych stanowił dobre alibi, więc pewnie dlatego pacjenci mogli w szpitalu odważnie sobie poczynać, zarówno kobiety jak i mężczyźni; podobno liczba cudzołóstw była trzy i pół do pięciu razy większa niż wśród normalnych ludzi. Na potrzeby schadzek rozwinęła się specjalna usługa dostarczania ubrań. (W tym punkcie powinienem wspomnieć, że zastępca dyrektora nie zgadza się z opinią, że pożądanie płciowe pacjentów zależy bezpośrednio od posiadania lub nieposiadania ubrania wyjściowego. Tak czy owak filozofią pacjentów, wyznawaną przez zastępcę dyrektora, mam zamiar zająć się całościowo w innym miejscu, teraz ograniczę się do zwrócenia uwagi na to, że ma on własny pogląd).

Kiedy problem ubrania jest rozwiązany, pozostaje sprawa miejsca. Dla tych, których potrzeby seksualne mogą być zaspokojone w sposób tak prosty jak drapanie po plecach przez wnuka, miejsce nie stanowiło problemu. W gaju klonowym, osłaniającym całą powierzchnię południowo-wschodniego zbocza góry, otaczającym główny gmach i plac pokryty czerwoną gliną, znajdował się cmentarz należący do szpitala. Kamienie nagrobne były płaskie, dobrze ocienione i położone o niecałe dziesięć minut spaceru od najdalszego pawilonu szpitalnego. Jedynie liczne stonogi, poza tym wykryte w ziemi bakterie tężca były powodem konieczności zachowania najwyższej ostrożności, żeby się nie zranić. Groźba chorób ograniczała swobodę zachowania i sprawiała, że w końcu zdecydowano się pozostać wewnątrz budynku. Na szczęście przy ulicy miejskiej, przebiegającej między głównym budynkiem a pawilonami szpitalnymi, znajduje się kilkanaście czekających na takich gości hotelików z otwartymi paszczami, przypominającymi zwężone otwory.

Patrząc z pokoju strażników można usytuować ich pozycje. We wgłębieniu między dwoma wzniesieniami, kształtem przypominającymi zgiętą tykwę, z północnego zachodu biegła czteropasmowa szosa, wpadała w tunel pod siodłem między wzgórzami i wychodziła nad morze. Po obu stronach szosy stały ciasno, jeden przy drugim, sklepy i biura oraz domy mieszkalne, jednak granica między nimi a szpitalem nie była zbyt widoczna. Główny budynek szpitalny miał prostą konstrukcję,

złożoną z czterech prostokątnych bloków ustawionych w czterech rogach i podtrzymujących centralny wieżowiec. Pawilon dla pacjentów dochodzących był zlepkiem konstrukcji po prostu nałożonych na siebie bez żadnego planu, stał na wzgórzu i przypominał jakiś staromodny okręt wojenny. Mężczyzna w przybliżeniu rozpoznał drogę, jaką przebył śledząc lekarza z nocnego dyżuru. Najpierw szedł po wewnętrznej stronie siodła, linię rozgraniczającą od miasta obszedł tuż przed szosą, przejściem podziemnym najpierw dotarł do morza, a następnie tunelem bożka Jizō przeszedł chyba na tę stronę wzgórza. Niestety, teren ten leży w martwym polu, niewidocznym z okna strażnika. Okno prawdopodobnie wychodzi w stronę cedru himalajskiego, skulonego pod ciężarem gałęzi i zasłaniającego dokładnie lewą część tego pokoju, w którym teraz siedzę i piszę w notatniku. Zgodnie z tym, co mówił kierownik, również te nie zamieszkałe domy - na terenie planowanego cmentarza - cieszą się niemałym powodzeniem. I dopóki ktoś może się obejść bez takich udogodnień jak zmycie potu przed czy po, lub bez toalety, te domy są chyba nie najgorszym miejscem schadzki.

Kierownik i wicedyrektor byli bardzo zainteresowani potrzebami seksualnymi tych cudzołożników, więc postanowili ich jakoś podsłuchiwać. Przypadkowo za pierwszym razem odnieśli niespodziewany sukces, który ich całkowicie oszołomił. Ale przecież nikt nie gwarantował, że zdobycz zawsze wpadnie im w ręce zgodnie z przewidywaniami, to znaczy tam, gdzie są założone mikrofony. A z drugiej strony założenie podsłuchu wszędzie, gdzie mogłoby dojść do schadzki, byłoby praktycznie niemożliwe. Komplikacje z monitorami, zużywanie baterii i kłopoty z wymianą (przy ciągłym użyciu około 80 godzin) itp. - to za duże straty. W wyniku prób i błędów w końcu wymyślili plan wykorzystania agencji usługowych, które wkładały małe nadajniki do wypożyczanych ubrań, nieodzownych w "uprowadzeniu". Dzięki temu mogli teraz tropić gorące miłosne sceny efektywnie i bezpiecznie.

- Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale na pewno to jest w złym guście.

- Przecież sam sprytnie schowałeś do tylnej kieszeni spodni ten drobiazg, który zwinąłeś w pokoju lekarza na nocnym dyżurze.

Zaatakowany Mężczyzna przyjął postawę obronną. Zastanawiał się, na ile poważnie kierownik traktuje pomoc w poszukiwaniu żony. Chcąc dać wyraz swej irytacji kilkakrotnie spojrzął na ręczny zegarek, ale kierownik nie zwrócił na to w ogóle uwagi. Ponad ramieniem wskazał dużym palcem pięćdziesiąt cztery magnetofony i mówił dalej z zadowoleniem.

Powstała już organizacja, złożona z ponad czterech tysięcy miłośników nagrań schadzek, a każdy z jej członków za miesięczną składkę dwu tysięcy jenów wypożycza kasetę. Roczne dochody wynoszą prawie sto milionów jenów. Jest to źródło dochodów dla wydziału bezpieczeństwa. Dzięki temu mógł zakupić trzy urządzenia kopiujące dużej szybkości, a w końcu ubiegłego roku nabył mikrokomputer i odtąd nagrywa sceny miłosne automatycznie, bez obsługi człowieka. Gdy pojawia się klient, agent informuje telefonicznie strażników podając symbol wypożyczanego nadajnika. Po wprowadzeniu tego symbolu do komputera, nadajnik uruchamia się, przekazuje już nawet odgłosy zdejmowania i wkładania ubrania; od tego momentu zaczyna się automatyczne nagrywanie w pokoju strażników. Dzięki temu obecnie z powodzeniem mogą obsłużyć do ośmiu tysięcy członków.

- Ale twój przypadek jest trochę wyjątkowy - kierownik zniżył głos i wpatrywał się w stół pokryty grubą akrylową gumą. Jego oczy, odwrócone w odbiciu, wpatrywały się pytająco w Mężczyznę. - A to dlatego, że "uprowadzenie" zaczyna się nie wcześniej niż o drugiej. W tym wypadku nastąpiło wcześniej rano. Zdecydowałem więc, że tego nie mogę powierzyć automatowi; słuchałem osobiście od początku. Miało to dobre strony, ponieważ nie dopuściliśmy do spóźnienia...

W końcu chyba wraca do głównego wątku, Mężczyzna trzymał więc mocno ster, by nie zboczyć z trasy.

- Nie wiem, jak jest naprawdę. Możliwe, że dla mnie już za późno.

- Nie wolno się poddawać tak łatwo. - Kiedy się uśmiechał, usta się zaokrąglały i stawał się podobny do łagodnego zwierzęcia, które straciło kły. - A co do stanu tego lekarza z nocnego dyżuru, to nadal nie ma nic pomyślnego. Na razie nikt nie planuje żadnych kroków przeciw tobie w związku z podejrzeniem o spowodowanie nieumyślnego zranienia i bezprawnego wtargnięcia do cudzego mieszkania.

Mimochodem, a przy tym precyzyjnie wbił gwóźdź w słabe miejsce Mężczyzny, który jednak nie dał się zwieść uśmiechem widocznym w zaokrągleniu.

To było poza moją kontrolą. Nie wiedziałem, co się działo, a potem ten strażnik, ten jedyny świadek, przyszedł i opowiedział historię tak przyjemną i łatwą do uwierzenia...

Wyjął szóstego papierosa i włożył do ust.

- Zakaz palenia - bezbarwnie upomniał kierownik. - Nie potrzebujesz się martwić tym strażnikiem. Zajęliśmy się nim. Może już dotarło jego zeznanie do wicedyrektora, zapytam o to i poinformuję cię.

Kierownik nacisnął guzik interkomu i wywołał strażnicę.

Pokój strażników znajdował się w podziemiu tego samego budynku, w którym przebywali pracownicy związani z bezpieczeństwem i ochroną; dniami i nocami pełnili służbę na trzy zmiany. Mieli ręce pełne roboty, zajmowali się bowiem również roznoszeniem taśm z nagraniami schadzek, zbieraniem składek członkowskich, zabieganiem o nowych członków i ich przyjmowaniem. Patrolowali też określone rejony, a przy tym interweniowali w nagłych wypadkach bójek i kradzieży. Zwłaszcza pracochłonna była wymiana zużytych baterii w dwustu kilkudziesięciu założonych na stałe urządzeniach podsłuchowych; do tego stopnia pracochłonna, że dumni ze swej siły młodzi ludzie, dobierani parami (ponieważ większość zadań można było wykonać siadając na barkach partnera) muszą wciąż biegać. Należeli do nich owi dwaj chłopcy o ogolonych głowach, w spodenkach treningowych, którzy nagle podbiegli i uderzyli go w bok, gdy czekając na dyżurnego lekarza na ulicy oddawał mocz pod restauracją spaghetti. Nie mieli nic złego na myśli, po prostu na polecenie kierownika, przekazane drogą radiową, podbiegli, by przyjrzeć się i stwierdzić, kim jest ten mężczyzna.

Nie tylko ci dwaj, wszyscy pełniący służbę na zewnątrz byli pacjentami laryngologii, dermatologii lub psychiatrii; wielu z nich uprawiało karate lub judo. Gdyby to właściwie rozegrał, miałby wielu amatorów na swoje buty do skakania - dodał kierownik, umiejętnie posługując się właściwymi słowami, by podnieść mężczyznę na duchu.

Rozległ się brzęczek interkomu i ktoś się zameldował połykając słowa jak uczeń. Kiedy wysyłali gdzieś strażnika, dawali mu też do zanieśienia zeznanie. Kierownik wyjaśnił, że nazwa tego miejsca, której nie mógł dosłyszeć i zrozumieć, brzmiała: Instytut Psycho-lingwistyki; strażnika posłali tam celem poddania go próbie wykrywaczem kłamstwa.

Zadzwoił do Instytutu Psycholingwistyki zapytać o rezultat. Nie skończyli jeszcze szczegółowej analizy, ale uznali, że w zasadzie nie ma przeszkód, by potwierdzić prawdomówność.

- To żona wicedyrektora szpitala - odłożył słuchawkę i powiedział w taki sposób, jakby miał kondom na języku: - Co prawda są teraz w separacji. Ona jest autorytetem w zakresie wykrywania kłamstw.

- Czy z tego zeznania wynikają jakieś nowe fakty?

- Też coś podobnego! - Zajrzał do wnętrza zapinki w pożyczonym ubraniu. - Dobrze by było, gdybyś zapamiętał swój numer kodu: M-73 F. Za jego pomocą można



swobodnie wydobyć z nagrania fakty dotyczące ciebie. A może zapytasz jakie? Wygląda na to, że już zdobyłeś całkiem ściśle informacje, prawda?

- Nie żartuj. Wszystko, co usłyszałem, to tylko historia, która nie mogła się zdarzyć, to znaczy, że ona zniknęła z miejsca, z którego nie można wyjść. Myślę, że informacja o tym, że nie mam informacji, jest też informacją...

Zaczął dzwonić telefon. Była to wiadomość o drugim "uprowadzeniu" tego dnia (czy może raczej o pierwszym, nie licząc Mężczyzny). Ona wysoka, ciemna, trzydziestodwu albo trzyletnia, a ubranie, które wypożyczyła, kolorowe, w guście młodego mężczyzny: koszulka polo i wąskie pantalone. Gdy kierownik operował klawiszami wprowadzając informację do komputera, szepnął głosem przytłumionym przez oddech.

- Jest duża różnica między słuchaniem a oglądaniem. Wielu ludzi często jest rozczarowanych tym systemem.

Siedząc na krześle mężczyzna przeniósł środek ciężkości do przodu. Czuł się jak kot zbyt często głaskany pod włos.

- Wobec tego, wracając do sprawy, czy mogę liczyć na jakąś pomoc?

- Myślę, że nie ma wyboru, a przynajmniej dopóki nie będzie bezpośredniej rekomendacji wicedyrektora. - Kierownik uniósł podbródek i wolną dłonią pogładził swe grube gardło. - Jak widzisz, wtedy normalnie w tym pokoju sam pełniłem służbę. Z zasady nie wpuszcza się tutaj nawet osób najbliższych. Wstrząs informacyjny jest zazwyczaj zbyt duży. Jesteś pierwszą osobą z zewnątrz, którą tu wpuściłem.

- Ale jeśli nie znajdę jakiejś nowej wskazówki, nadal pozostanę w ślepych zaułku.

- To zależy od twoich starań.

- Wicedyrektor wspomniał, że powinienem może sprawdzić również, czy sprzątaczką czegoś nie wie...

- To strata czasu. Gdy przeczytasz sprawozdanie strażnika, dowiesz się, jak odbywa się przekazywanie służby nocnej. Dopiero po wielokrotnym upewnieniu się, że nie ma nikogo, otwiera się zamek w drzwiach prowadzących do przejścia przeznaczonego wyłącznie dla pracowników. To pewne, że nie może być przy tym świadka.

- Co więc powinienem zrobić?

Mężczyzna zapytał głosem podniesionym, jednocześnie wpijając palce obu. rąk w oparcie krzesła. Kierownik zaśmiał się jak dziecko zaokrąglając wargi, a policzki uniosły się i utworzyły bułeczki pod oczyma.

- No więc może na pewien czas oddam ci do dyspozycji sąsiedni pokój przesłuchań. Będiesz z tego zadowolony. Staniesz się człowiekiem przezroczystym, występując w kilkudziesięciu postaciach jednocześnie będziesz mógł chodzić i węszyć po całym szpitalu.

Kierownik zdjął z półki pod pulpitem świeżo uprany, wykrochmalony biały płaszcz. Wprawnym ruchem usunął dwa paski i zostawił tylko jeden na kieszonce na piersiach. - To na razie, dopóki twoja pozycja nie zostanie ustalona, pozwolę ci go używać. Będzie w nim wygodniej chodzić do stołówki.

W całym pokoju rozległ się suchy trzask rozrywanego krochmalu. Płaszcz był trochę za szeroki w ramionach, na długość raczej dobry. Kierownik, przecisnął się między urządzeniami, otworzył drzwi i zaprosił go do sąsiedniego pokoju.

(Odgłosem zamykanych drzwi skończyła się pierwsza strona taśmy numer dwa; pozostało na niej jeszcze kilkanaście sekund pustych. W rzeczywistości w ciągu tych kilkunastu sekund przeszło prawie pięć godzin. To nie dlatego, że treść nie była ważna. Z punktu widzenia Mężczyzny był to czas najistotniejszy. Po dziewięciu godzinach od zniknięcia żony w końcu mógł rozpocząć właściwe poszukiwanie. W tym małym pokoiku, zgodnie ze słowami kierownika, Mężczyzna rozdzielił się na kilkudziesięciu ludzi jednocześnie i - jak w zaczarowanym lustrze - oglądał pojawiające się i znikające różne miejsca tego terenu, nie ruszając się z miejsca, mógł wciskać nos i zaglądać, gdzie tylko miał ochotę.

Mężczyzna najpierw odczuł niemal bolesny ucisk i zachwiał się. Czuł się tak, jakby wyskoczył na spadochronie. Oczywiście nigdy w życiu nie doświadczył tego. Oglądał tylko w kinie lub w telewizji. Nazywali to chyba *skydiving*. Nie otwierają od razu spadochronu, lecz pozwalają, by ciśnienie wiatru zniekształcało twarz, podczas gdy leżąc na brzuchu czepiają się jak robaki nie istniejącego pod nim pnia drzewa, spadają w stronę odległej ziemi, widzianej jak na fotografii lotniczej. Nie był to upadek, lecz raczej utracenie zewnętrznego świata. Mimo że nie doświadczył spadania ze spadochronem, wydało mu się jednak, że może zrozumieć to uczucie, dlatego że przypomina mu ono swego rodzaju stan przebudzenia.

...Odgłos butelki toczącej się po płytkach podłogi... głos kobiety w średnim wieku rozgniewanej tym, że klimatyzacja za bardzo chłodzi... oddech przerażenia człowieka w nieokreślonym wieku, wręcz urzędowe, trochę poirytowane frazesy pocieszającego mężczyzny... kłapanie pantofli przebiegających obok... przeklinanie obrzuconego wilgotnym, jeszcze nie wyschniętym praniem... "Dobrze? Widzisz, to dlatego, wiesz". "No, ogólnie chyba tak". "Może więc zrezygnujemy, co?" "Ach, aa, teraz w sam raz, dobrze"... plusk oddawania moczu, a może wlewania wody z kranu do kubka... aluminiowa puszka stacza się po schodach... dyszenie kobiety tłumiącej śmiech, szelest rwania papieru... gwizdanie całkowicie fałszujące melodię, jakby świst wiatru przeciskającego się przez szparę... miauczenie kotka... "No więc, jak mam to powiedzieć, chyba rozumiesz?"

Ponieważ był to jednościeżkowy (w całości jednokierunkowy), sześciokanałowy system nagrywania, więc wszystkie sześć oddzielnych ścieżek dźwiękowych można było usłyszeć jednocześnie, po trzy w każdej słuchawce. Musiał więc dzielić uwagę między sześć sekwencji dźwięków. Jedne odgłosy ciągnęły się dosyć długo, podczas gdy inne zamierały po kilku sekundach. Niektóre sceny znikwały i znów pojawiały się, znikwały i znów pojawiały się, były więc sytuacje uporczywie powracające, to znów rozbłyskujące na mgnienie i już w ogóle nie odradzające się. Wybór podlegał chyba kontroli mikrokomputera. Urządzenie najpierw reaguje na nagłe zmiany tonu i siły głosu, a nadajnik został tak zaprojektowany, żeby w ciągu trzech sekund przerwać nagrywanie automatycznie, gdy natężenie głosu ludzkiego spadnie poniżej 3,2 lub w wypadku innych dźwięków naturalnych, gdy rytm i natężenie powtarzało się w postaci określonych stałych wzorów. Dowiedział się, że indeks natężenia głosu jest to kwanfikacja fizycznych reakcji na napięcie psychologiczne, podczas gdy stopień powtarzalności naturalnych dźwięków podobno interpretowano jako odwrotną funkcję stanowiących tło ludzkich ruchów.

Dlatego nawet kanały ograniczonej pojemności pozwalały obsłużyć dużą liczbę źródeł dźwięków i głosów. W ostatnim roku bowiem liczba nadajników sięgnęła 214, zasięg każdego wynosił sto metrów, a dzięki pojemności sześciu kanałów jest jednocześnie w użyciu 1712 obwodów. Zatem cały obszar szpitala mógł w zasadzie znajdować się pod stałą obserwacją bez żadnych wyjątków.

Mężczyzna słuchał uważnie tych sześciu przeplatających się pasm czasowych, płynących drobnymi skokami, starannie przesiewał dźwięki usiłując wykryć choćby najdrobniejszy urywek głosu żony. Kiedy jakiś głos zwracał jego uwagę, zatrzymywał

taśmę i manipulując przyciskami mógł go odtwarzać wielokrotnie aż do uzyskania pewności. Poza tym dekodując impulsy zarejestrowane na tej części taśmy mógł z dość dużą dokładnością wykryć numer przekaźnika, z którego pochodził dany zapis, a nawet lokalizację ukrytego mikrofonu.

Mężczyzna skoncentrował wszystkie siły swej psychiki na słuchaniu. Wzięto chyba pod uwagę długie godziny pracy w tym pomieszczeniu, ponieważ na oknie zaciągnięto podwójne zasłony z czarnej gazy, przygotowano też sofę i miękkimi poduszkami. Ale jednocześnie można mieć wątpliwości, czy nie wygląda to za dobrze, żeby w ten sposób mógł znaleźć, swoją żonę. W żaden sposób nie mógł się wyzbyć uczucia beznadziejności; miał wrażenie, że musi łapać pchły wodne za pomocą siatki. Chociaż mężczyzna miał bardzo poważne zmartwienie, to jednak dla szpitala było to tylko drobne niepowodzenie obcego człowieka. Jeśli system intensywnego nadzoru miał taką skuteczność, o jakiej wspomniał kierownik, to jego wspaniałomyślność polegająca na całkowitym jakoby poddaniu warowni, przeciwnie, musi tym bardziej budzić nieufność. Mężczyzna nie był na tyle prózny, by sądzić, iż zasłużył na tyle zachodu po to tylko, by go zwieść, ale im więcej myślał, tym bardziej był przekonany, że właśnie jest raczej wywodzony w pole. Nie mógł się oprzeć myśli, że właściwy tok działań powinien polegać na mniej efektywnym czy raczej na wręcz nudnym zajęciu, jakim by było chodzenie piechotą i wypytywanie wszystkich po drodze.

Lecz bez względu na wahania dźwięki i głosy płynęły bez przerwy igrając bezlitośnie z cierpliwością Mężczyzny. W następnej chwili od tych wątpliwości odwróciła jego uwagę słabiutka nadzieja i zatrzymała go na sofie jak przybitego gwoździami. Wszystkie dźwięki wydawały się teraz rozświetlać trop. Nie wiedział, czy odczuwał to w ten sposób, ponieważ tak usilnie pragnął znaleźć jakiś ślad, czy też w dźwiękach rzeczywiście kryły się istotne sygnały. W każdym razie zalewała go potworna powódź głosów schlebiana, gniewu, niezadowolenia, wyśmiewania, insynuacji, zazdrości, przekleństw... i przenikającej wszystko po trochu sprośności. Zwłaszcza te szeptki przywodzą na myśl dolną część ciała człowieka siedzącego na muszli klozetowej. Gdy poczucie wstydu przywdziewa maskę ciekawości, wtedy człowiek zostaje wywrócony wnętrzościami na wierzch i staje się kimś obcym dla siebie. To choroba chronicznego zatrucia podsłuchem. To rozpad związków ze światem zewnętrznym, opartych na zmyśle wzroku, wywołuje zawrót głowy podobny do lęku wysokości. Mozaika czasu, w której możliwe jest istnienie synchroniczne, ale

jest absolutnie niemożliwe równoczesne doświadczenie. Jest ciemnością nad ciemnościami.

Jak się wydaje, zmysł słuchu w porównaniu ze zmysłem wzroku jest pasywny. Można bowiem zlikwidować nawet olbrzymi tankowiec o wyporności pięciuset tysięcy ton przez zwykłe zamknięcie powiek, ale nie można odciąć się od brzęczenia jednego komara. Natomiast łatwo jest rozróżnić jednego skorupiaka pąklę na kadłubie tankowca, ale trzeba dużego wysiłku, żeby określoną sekwencję kroków wyłowić z spośród hałasu ulicznego. W związku z tym stopień zmęczenia zmysłu słuchu jest o wiele większy.

Zbliżał się już chyba do kresu wytrzymałości, spuchły mu mięśnie szyi, jakby nosił ołowiany kapelusz, w głowie zaczęło pulsować tak, że powiększone gałki oczu omal nie wyskoczyły z orbit.

Nagle przyszło mu coś na myśl. A może żona od dawna jest w domu i czeka niecierpliwie na niego. Tak... na pewno jest tam... o tej porze martwi się zniknięciem męża, dzwoni gdzie tylko może i szuka go. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że minęła szósta. To znaczy, że prawie pięć godzin spędził przykuty do tego pulpitu z różnymi przyciskami, a przecież zawiadomił biuro, że spóźni się do pracy, a potem już w ogóle się nie odezwał. Niewątpliwie tym trudniej będzie teraz naprawić to niedopatrzenie i załagodzić, gdy bez uprzedzenia nie zjawił się na ważnej konferencji, w której zamierzał uczestniczyć prezes.

Ale na razie musiał ulżyć pęcherzowi, wypełnionemu do granic wytrzymałości. Nie zawiadamiając strażnika w sąsiednim pokoju, wyszedł drzwiami prowadzącymi prosto na korytarz pogrążony w całkowitej ciszy. Przemknął do toalety obok windy ślizgając się po brunatno-żółtych płytach ceramicznych.

(Tutaj znów zaczyna się nagranie. Jest to odwrotna strona drugiej kasety. Ale mikrofon nie biega razem z nim tak jak nadajnik wszyty do paska pożyczonego ubrania, więc jakość i siła głosu nie są stałe. Zmieniający się odgłos kroków... plusk oddawania moczu... następnie otwieranie i zamykanie drzwi... pozostaje tylko ogólne wrażenie łączenia w całość oderwanych cząstek jękającego się czasu.

Zadzwoił telefon. To Koń zapytywał o postępy w sporządzaniu notatek. Nie ustępując mu odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Jak mi powiedział, na początku pierwszej kasety była zarejestrowana jakaś sugestywna atmosfera towarzysząca odgłosowi kroków, w której mógł wyczuć pewien trop. Chciałby więc poznać jego

szczerą opinię natychmiast. Gdyby zachował ją dla siebie, spowodowałby tylko pogłębienie wzajemnej nieufności.

Wtedy Koń zaprosił go na kolację późną nocą. Powiedział, że chciałby wówczas to wszystko wyjaśnić szczegółowo. W zamian postawił warunek, że muszę skończyć przy-najmniej drugą kasetę. Mogę z grubsza zrozumieć, do czego zmierzał. Trudno, niech mu będzie. Zniknął już horyzont dotąd widoczny przez okno, a morze i niebo połączyły się.

Na pewno zacznie teraz padać deszcz.

W tym miejscu zdecydowałem się odpocząć. Zapaliłem ósmego papierosa, wrzątkiem z termosu zalałem błyskawiczny makaron gryczany w plastikowym kubku i popijając coca colę z puszki czekałem aż makaron będzie gotowy. Wyjąłem szkła kontaktowe i wpuściłem krople do oczu).

Gdy wrócił z ubikacji, nagle otworzyły się drzwi biura wicedyrektora, jakby czekano na niego. Sekretarka wysunęła pół twarzy przez szparę w drzwiach i uśmiechnęła się. Nie mógł przejść obok bez słowa.

- Czy mogę zatelefonować?

Pchnęła drzwi biodrem otwierając je szerzej i szybko wycofała się. Czy w ten sposób zapraszała do biura? Czy też starała się mówić jak najmniej obawiając się ukrytych mikrofonów?

- Zamknij drzwi - powiedziała szeptem i przysiadła na oparciu sofy pod ścianą.

- Do miasta trzeba nakręcić zero...

- Będę bardzo krótko...

Był to aparat nowego typu, więc tarcza obracała się szybko. Słuchając pierwszego dzwonka Mężczyzna znów przypomniał sobie niezwykle przeżycia całego dzisiejszego dnia i miał wrażenie, jakby w końcu z ulewnego deszczu trafił w końcu pod dach. Dlaczego wcześniej nie pomyślał o tym? Za kilka sekund na drugim końcu linii żona podniesie słuchawkę, a w następnym momencie rozsunie się zasłona i światło słoneczne wpadnie do wnętrza pokoju, a wszystkie zjawy znikną z ekranu. Wybiegnie stąd jak wystrzelony z procy i nic go nie zmusi, żeby kiedykolwiek miał coś wspólnego z tym miejscem. Mężczyzna poczuł, jak jego energia zaczyna pulsować pod skórą niby jasnoniebieski neon.

Dzwonienie nie ustawało.

- Chyba nic z tego, co?

- Dzwonię do domu, na wszelki wypadek.

Kiedy sekretarka zmieniła pozycję na oparciu sofy, poły białego płaszcza rozchyliły się ukazując kolano i udo. Jej jędrna, opalona skóra była gładka, jakby pokryta woskiem. Czyżby pod białym płaszczem nie miała nic prócz bielizny?

Głos dzwonka powtórzył się już ponad dwadzieścia razy.

- Chyba nie ma nikogo.

- Na pewno jest zajęta i nie może podejść. Pewnie w kuchni coś smaży...

Sekretarka nie odpowiedziała. Nie próbowała nawet poprawić płaszcza, choć musiała czuć wzrok mężczyzny, tylko lekko wybijała rytm palcami bosej stopy.

Zapragnął położyć palce w dołeczkach jej kolan.

Telefon nadal dzwonił. Mężczyzna poddał się po trzydziestym piątym sygnale. Sekretarka wstała. Zsunęła poły płaszcza i zakryła kolano. Tego rodzaju swobodę udaje kobieta skoncentrowana na sobie i świadomie flirtująca.

- Stołówkę pracowniczą zamykają o ósmej trzydzieści. Nie chciałbyś pójść ze mną?

- Chciałbym jeszcze zadzwonić w jedno miejsce. Wpatrując się w jego rękę nakręcającą numer sekretarka oparła podbródek na jego ramieniu i powiedziała:

- Do firmy.

- Skąd wiedziałaś?

- Myślę, że już nikogo nie ma.

Odpowiedział głos nagrany na taśmę:

"Przepraszamy bardzo, ale dzisiaj zakończyliśmy pracę o godzinie osiemnastej..."

Gdy odłożył słuchawkę, usłyszał odległy pogłos, jakby brzęk dzwonka na ołtarzu buddyjskim. Miał wrażenie, że zbudził się ze snu o spadaniu, ale wciąż spadał w dół.

- Ten biały płaszcz nie leży za dobrze, ale ponieważ pozostajemy w tym budynku... - patrząc na niego spod brwi pociągnęła za guzik przy kołnierzyku. Purpurowoczerwony stanik o głębokim wycięciu pasował jedynie do jasnej cery. - Mam kartkę na posiłek dla ciebie od wicedyrektora, ale za napoje alkoholowe sam musisz płacić.

- Nie chce mi się jeszcze jeść.

- Masz przed sobą jeszcze dużo pracy.

Ponaglając mnie ruszyła przodem i wyszła na korytarz. Mężczyzna również wyszedł z pokoju, ale po chwili zdecydowanie zatrzymał się dając znak, że nie ma zamiaru iść dalej.

- Muszę jednak pospieszyć się i skończyć pozostałe taśmy...
- Przecież dotąd ledwie pierwszą szpulę... Nie ma powodu tak się spieszyć.
- Czy jest więcej?

Poczuł się tak, jakby polizał ostrze żyłki. Sekretarka otworzyła usta tak szeroko, że mógł zajrzeć jej do gardła, i roześmiała się hałaśliwie.

- Oczywiście, są setki, nawet tysiące ukrytych mikrofonów rozsianych po całym szpitalu. Jakże mogą się zmieścić na sześciu kanałach? - Gdy przeszła korytarz na ukos, bez pukania otworzyła drzwi do pokoju straży i wsunęła głowę.

- Ile dzisiaj jest taśm?

Odpowiedział jej dźwięczny głos kierownika, który jakby tylko na to czekał:

- Sześć i pół.
- Tylko dziś przed południem?
- Tak, do południa...

Zamykając drzwi łokciem wykonała pół obrotu i zawróciła, a jej sandały na gumowych czerwonych podszewkach popiskiwały w krótkich odstępach przy każdym stąpieniu. Mijając objęła go ramieniem, ale mężczyzna uwolnił się będąc myślami gdzie indziej.

- Jestem oszukany.
- W jakim sensie...

- Tracę siedem godzin na przesłuchanie odcinka jednogodzinnego. To przypomina zabawę w chowanego z własnym stopniowo wydłużającym się cieniem. Nigdy go nie dogonię.

- Ależ przecież tylko ty możesz rozpoznać głos swej żony. Nie powinieneś oczekiwać, że ktoś ci pomoże.

- To tak, jakby spóźnić się i następnie gonić superekspres na rowerze.
- Taka jest chyba rzeczywistość. Nikt nie mówi, że na loterii nie można wygrać, dopóki nie wyciągnie się wszystkich losów.

Może i miała rację. Dobrze rozumie, że liczenie dni do końca kary w więzieniu jest znacznie bliższe rzeczywistości niż marzenie o niewinności w areszcie. Ale jeśli tak wygląda rzeczywistość, to czyż te spokojne dni spędzone do czasu uprowadzenia



żony były tylko wspomnieniem? Nagle wydało mu się, że włoski na małżoninie usznej żony musnęły go po nosie jak powiew wiatru.

Sekretarka tym razem zamiast ramionami objęła go wzrokiem. Była kobietą o irytująco wyrazistych kształtach. W porównaniu z nią sylwetka żony była blada jak pianka z bitego białka.

- Głowa do góry! Przestań zachowywać się, jakbyś oglądał zbyt wiele filmów telewizyjnych nocą.

Szybko przebiegła wzrokiem po złączeniu ściany z sufitem, przyłożyła palec do warg i ruszyła szybkim krokiem. Pociągnięty tym dramatycznym gestem mężczyzna w końcu poszedł za nią.

Światelko nad windą wskazywało na czwarty poziom pod ziemią. Muszą więc trochę poczekać. W promieniach zachodzącego słońca, korytarz błyszczał jak dobrze naoliwiony cylinder. Rozejrzała się uważnie na prawo i lewo, spojrzała spod brwi na niego i uśmiechnęła się konspiracyjnie, lecz gdy zaczęła mówić, nie miała nic niezwykłego do przekazania. Później powiedziała, że przyjęła taktykę odwracania uwagi pamiętając o podsłuchu.

- Tu jest środek budynku. Oba skrzydła są symetryczne. Z tej strony wszystko jest w dyspozycji wicedyrektora. Z tamtej strony należało podobno do dyrektora szpitala, ale od trzech lat pokój dyrektorski, sala konferencyjna i sekretariat zostały przekazane w całości ośrodkowi dokumentacji. W każdym razie same taśmy zajmują ogromną przestrzeń. Za dwa, trzy lata ta część zostanie chyba całkowicie wypełniona...

- To znaczy, że dyrektor przeniósł się gdzie indziej?

Tylko przechyliła głowę i nie odpowiedziała.

Przyszła winda. Gdy wsiedliśmy, nacisnęła czerwony guzik oznaczający "komplet" i złośliwie się roześmiała marszcząc nos. W ten sposób będą mogli dojechać do drugiego poziomu pod ziemią nie zatrzymując się dla innych pasażerów.

(Stąd nagranie znów jest przerwane. Licznik wskazuje 382. Niewątpliwie Koń miał na uwadze tych kilka godzin nie zarejestrowanych, gdy starał się mnie nakłonić do ukończenia drugiej kasy, specjalnie w tej sprawie do mnie dzwonił, żeby przyspieszyć pracę nad notatkami, a nawet oferując przynętę w postaci kolacji. Naturalnie, zamierzam bez opuszczeń wszystko zanotować. Chyba teraz nawet Ona nie może być zła na mnie).

- Mikrofony nie pracują w windzie. Gdy masz coś do powiedzenia, to tylko teraz. To miejsce jest wyłącznie do naszej dyspozycji, a ponieważ nie mamy wiele czasu, mów szybko. Może chciałbyś, żebym coś dla ciebie zrobiła? Jeśli nie, to pozwól, że coś ci powiem. Zostałam zgwałcona przez kierownika.

Ponieważ mówiła to szybko, więc gdy skończyła, było dopiero dziewiąte piętro. Nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Może słowo "gwałt" nie jest szokujące w druku, ale wypowiedziane przez kogoś bezpośrednio związanego podziałało na niego jak wybuch prochu w uszach.

Zmieniło się również wrażenie, jakie wywierała na nim. Bez śladu uleciała jej wyniosłość jako współpracownicy lekarzy. Nawet jej gładka, jędrna skóra, która przedtem wydawała mu się oznaką nieustraszonego agresora, teraz sprawiała wrażenie ofiary. Odtąd nie powiedziała nawet słowa.

Zjechali na piętro holu pracowniczego. Gdyby nie zwyczaj noszenia białych płaszczy i sandałów, a także gdyby nie zapach lekarstw, tłum tutaj przypominałby raczej podziemną ulicę w czasie wychodzenia pracowników z biur. Nic dziwnego, że wielu pozdrowiało ją ciepło, była bowiem sekretarką wicedyrektora. Niektórzy przyglądali się im znaczącym wzrokiem.

Para łysych mężczyzn w treningowych spodenkach biegła klucząc w tłumie, zbliżyła się i kłaniając się nisko popatrzyła na nią pożądlivym wzrokiem. Doświadczonym gestem dała im znak, żeby sobie poszli. Jej pewność siebie wskazywała jednak, że musi w końcu należeć do stronników lekarzy. A może się przesłyszał na temat gwałtu? Czy też w szpitalu nawet gwałt jest traktowany inaczej niż w świecie zewnętrznym?

Fryzjer, kiosk galanteryjny, biuro podróży, kwaciarnia, kawiarnia z ogródkiem wychodzącym aż po przejście uliczne, drukarnia ekspresowa, sklep z aparatami podsłuchowymi, sklep fotograficzny, samoobsługowa pralnia automatyczna, a następnie zamglona parą stołówka, jakby oglądana przez szeroką soczewkę.

W odległym kącie tej wielkiej stołówki zainstalowano ogromny telewizor. Na wysokości jakichś dwu metrów na stojaku z żelaznych rur ustawiono stolik z odbiornikiem wystającym głęboko jak okap dachu. Pod nim w martwym miejscu, skąd nie widać obrazu, panował największy tłok, i chociaż po godzinie osiemnastej nie bywa w telewizji interesujących programów, to jednak nie mógł zrozumieć, dlaczego to hałaśliwe miejsce tak się wszystkim podobało. Ano właśnie dlatego, że było takie

hałaśliwe. Tam bowiem znajdował się również obszar martwy dla mikrofonów podsłuchowych.

I pomyśleć, wyglądało tak, jakby wszyscy siedzieli nienaturalnie blisko siebie, ramię w ramię i jakby szeptali sobie do uszu. Niewątpliwie pośród nich były pary zakochanych, ale większość wyglądała na partnerów w interesach zajętych poufnymi rozmowami najczęściej w dwuosobowych zespołach. Gdy sekretarka szła pomiędzy stolami, powstawało poruszenie. Niektóre pary - jakby mimo woli - wstawały z miejsc i odchodziły. Nadzorcy nigdy nie są lubiani.

Oboje usiedli przy rogu czteroosobowego stołu tak blisko siebie, że prawie dotykali się kolanami. Na pewno, inaczej nie mogliby się usłyszeć. Gdy kelner przyszedł przyjąć zamówienie, ręką w powietrzu napisała literę A, a następnie wykonała gest nalewania piwa do szklanki. Było pięć odmian dań podstawowych, od A do E. Dzisiaj danie A składało się z gotowanej po chińsku wieprzowiny i zupy kukurydzianej. W telewizji krzyk potwora-roboty zakończył program dla dzieci, a na twarzach konsumentów zajarzyły się bursztynowe światełka - oto rozpoczynała się reklama elektrycznej pułapki na komary.

- Zostałam zgwałcona.

Szepnęła mężczyźnie do ucha i od razu odwróciła twarz i spojrzała przed siebie, uderzając palcem wskazującym prawej ręki w biały plastikowy stół. Wiedział, że domagała się jakiejś reakcji, ale nie mógł sobie wyobrazić, jakiej odpowiedzi oczekiwała od niego. Czy oskarżała kierownika, czy wyrażała solidarność z nim jako ofiarą? Czy też po prostu domagała się współczucia?

Wiedząc, że nie trafia w cel, zdecydował się zareagować jak najbardziej wymijająco.

- Kiedy?

Pochyliła głowę i skrzyła się całym ciałem. Widocznie zbyt mocno dmuchnęła jej do ucha. Tym razem i ona nie słabiej dmuchnęła mu w ucho pytając:

- Czy to prawda, że twoją żonę uprowadzono karetką pogotowia?

- Gdyby nie było prawdą, nie traciłbym tu tyle czasu i nie zlekceważył pracy w mojej firmie.

- Nie wiem.

- Dlaczego?

Nawet najkrótsze słowa były przekazane z ust do ucha, brzmiały więc jakoś strasznie.

- Myślę, że gdybyś był prywatnym detektywem, szukałbyś jej zupełnie inaczej.

- Przecież robiłem wszystko tak samo jak prywatny detektyw. Śledziłem ludzi, podsłuchiwałem.

- Od ilu lat jesteś żonaty?

- Od pięciu.

- Chyba nie wzięłeś pod uwagę zachowań żony. Nie zbadaleś kręgu jej przyjaciół sprzed ślubu, jej obecnych stosunków z innymi ludźmi. Podobno można wykryć wiele niezwykłych wskazówek w spisie adresów w notesie i wpisów w kalendarzu czy z pobrudzonych miejsc w książce telefonicznej. Ważne też jest wypytanie ludzi z sąsiedztwa. Czy nie wychodziła gdzieś regularnie co tydzień w określony dzień, jeśli tak, to w jakich godzinach, jak się wtedy ubierała i jak się zachowywała...

- Ty nie wiesz. Może śmieszne jest samemu to mówić, ale ja w zasadzie...

- Tak, wiem, jesteś dobrym człowiekiem.

- Nie o to chodzi...

Przyniesiono piwo. Gdy twardym jak piłka kolaniem przycisnęła jego kolano i wzniosła toast, nie mógł jej odmówić. Rozejrzał się dokoła. Spojrzenia ludzi niechętnie rozleciały się na wszystkie strony, niby odpędzone muchy. Piwo, które połknął, rozpląnęło się gdzieś nim doszło do żołądka.

- Jaka jest twoja żona?

Czuł jednoznaczne wyzwanie w nacisku na kolano. Jeśli zignoruje, na pewno ją zrani, a na tym etapie nie byłoby to mądre. Lecz jeśli da się tu złapać, jego pozycja jako mężczyzny poszukującego swej żony okazałaby się strasznie wątpliwa. Mężczyzna nie wiedział co robić.

- W domu mam jej zdjęcia... Gdy chodziła do szkoły, przeszła dzielnicowe eliminacje w konkursie na miss Tokio, ma więc duże kolorowe zdjęcie w kostiumie kąpielowym, wykonane przez profesjonalistę.

- Chcesz powiedzieć, że jest dumna ze swej figury i jest typem lubiącym się stroić?

- Nic podobnego.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- To znaczy, że mężatka może zawsze liczyć na obronę ze strony męża?

Mężczyzna z ukradka przyjrzał się uważnie wyrazowi jej twarzy. Nie dostrzegł nawet śladu złośliwości towarzyszącej tego rodzaju uwagom. Ale jednocześnie wydało mu się, że tym bardziej musi się mieć na baczności. Gdy wahał się, co ma powiedzieć, ona nie zważając na nic mówiła dalej.

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć, jak myślę. - Popatrzyła mu w oczy i skończyła sączyć resztkę piwa przez ściągnięte wargi, jak przez niewidoczną słomkę. - A mianowicie, że tak naprawdę nikt się tobą nie przejmuje.

Niewątpliwie tak jest. Ale jasne postawienie sprawy nie sprawia mu przyjemności. Lepkie, nieprzyjemne uczucie zaczyna się sączyć z porów skóry jak z rozdeptanej gąbki. Nadzieja odpada z chrzęstem, jak cienka skorupka lodu z powierzchni mrożonej pomarańczy.

- Lecz ludzie z zewnątrz podobno nie otrzymują pozwolenia na korzystanie z tego pokoju, w którym przesłuchujesz taśmy z podsłuchu...

- Wcale to nie oznacza, że to, co jest trudne do otrzymania na coś ci się przyda.

Było to sugestywne ostrzeżenie. Do czego ona zmierza? Czy chce mu sprawić przykrość, czy prowadzi jakąś intrygę, czy też ma dobrą wolę? Dobra wola również niekoniecznie musi być pożyteczna, podobnie jak to, co trudne do osiągnięcia. Mężczyzna już się przyzwyczał do dobrej woli okazywanej mu przez obcych.

Na aluminiowej tacy przyniesiono gotowe posiłki dla dwu osób. Zamiast odpowiedzi szybko wziął do ust łyżkę zupy i wtedy poczuł, że nawet nie rozróżnia smaku, ponieważ jest bardzo głodny. Przez chwilę skoncentrowali się na żuciu. W końcu, gdy po gotowanej wieprzowinie z jarzynami pozostał prawie sam rosół, kobieta spojrzała na zegarek, następnie wysunęła nadgarstek w jego stronę i uśmiechnęła się oczyma. Czerwona szrama wielkości trzech centymetrów biegła równolegle do paska zegarka.

Mężczyzna puścił wodze wyobraźni. To może mieć związek z gwałtem, o którym dwa razy wspomniała. Czy chciała wzbudzić jego współczucie napomykając o próbie samobójstwa? Na pierwszy rzut oka jej stosunki z kierownikiem straży wyglądały na bardzo harmonijne, ale możliwe, że nie układają się tak zgodnie, jak na to wygląda. Prawdopodobnie kat i ofiara prowadzą tylko niebezpieczną grę balansując na linie. Jeśli wystąpiła z inicjatywą pokazania mu szczeliny, przez którą mógłby precyzyjnie się, powinien aktywnie tę szansę wykorzystać.

Jako pierwsza wykonała następny ruch.

- Czy wyglądam na nieszczęśliwą, czy też szczęśliwą?

- Nie wyglądasz na szczególnie nieszczęśliwą.

- Dlaczego?

Chyba powinien odpowiedzieć, że wygląda na nieszczęśliwą. Wtedy nastąpiłoby ciche porozumienie i zgoda na to, że oboje mają sobie coś do zaoferowania.

- To tylko wrażenie, tak jakoś wyszło...

Lekko się uśmiechnęła wywracając górną wargę, następnie gwałtownie pchnęła krzesło i wstała.

- Nie wstąpiłbyś do mojego pokoju?

Podnosząc się z miejsca odpowiedział z rezerwą:

- Czy będą z tego jakieś korzyści dla mnie?

Palący ból przeszył mu kostkę. Kopnęła go czubkiem sandałka. Spod zdartej skóry popłynęła krew.

- Czy ty troszczysz się tylko o siebie? To wstrętne.

- A cóż mogę na to poradzić?

Ruszyła przodem nie oglądając się na niego. Mężczyzna dotknął ranki papierową serwetką, którą wcześniej wytarł usta, i poszedł za nią klucząc wąskim przejściem między stołami, starając się zatopić w bólu narastający gniew. Zachowywała się jak rozwydrzony małpiszon. Z jakiej racji tak się zachowuje wobec niego?

Przy ścianie na zewnątrz stołówki zebrało się około dwudziestu osób. Patrzyli na dwójkę ogolonych do łysa mężczyzn w spodenkach treningowych, bijących na zmianę człowieka w średnim wieku, ubranego w lekarski biały płaszcz. Byli to chyba ci sami faceci, których poprzednio spotkali, ale równie dobrze mogli być inni. Ofiara siedziała na podłodze w rozpiętym płaszczu bez guzików. Krew płynęła mu z nosa strumieniem, tworząc siatkę na podkoszulku wpijającym się w tłuszcz pod sflaczałą skórą. Jeden z łysych o nabrzmiałej twarzy podobnej do bułki zerwał okulary ofierze i rozdeptał na kawałki. Jego współnik z wytrzeszczonym szklanym okiem kopnął kolanem w zniekształcony nos przypominający już dojrzałe winogrona. Nikt nie zrobił ruchu, aby interweniować. Może istniały jakieś szczególne okoliczności zabraniające wtrącania się w spór? "Bułka" zobaczyła sekretarkę. Rękami założonymi za głowę pomachała jak słoń uszami. A "Sztuczne Oko" uśmiechnęło się ukazując równe piękne zęby. Kobieta przemówiła nie wiadomo do kogo.

- Powiedz tabliczkę mnożenia.

"Bułeczka" zasznurowała usta, dumnie szturchnęła siebie palcem w policzek. Rozległ się odgłos podobny do kłapięcia w otwór butelki. Zaczęła recytować na jakąś melodię:

"Dwa razy dwa cztery, dwa razy trzy sześć, dwa razy pięć jest dziesięć, dwa razy sześć dwanaście..."

Widzowie odwrócili oczy - stali jakoś sztywno i pokracznie. Każdy z nich miał niezadowoloną i nadętą minę. Nie wiadomo, czy niezadowolenie kierowali w stronę kobiety, czy też dwójki łysych, a może kierowali je w stronę ofiary. W tym czasie "Szkłane Oko" podejrzliwie wpatrywało się w Mężczyznę jednym zdrowym okiem. Mężczyzna czuł się niezręcznie, jakby zmuszano go do załatwiania się w obecności ludzi.

Nie czekając na skończenie recytacji tabliczki mnożenia kobieta opuściła to miejsce. Mężczyzna poszedł za nią raczej niechętnie. Wyszli inną drogą niż przyszli. Stopniowo oświetlenie stawało się coraz rzadsze, a zamiast sklepików czy kawiarni zaczęły się rzucać w oczy zamknięte drzwi biur i magazynów. Za każdym razem, gdy mijali kolejny zakręt drogi podziemnej, liczba ludzi wyraźnie malała, w końcu znaleźli się u stóp wąskich schodów. Nagle odwróciła się i powiedziała:

- Czego chcesz?

Miał wrażenie, że wpadł w pułapkę.

- Wciąż myślałem, że pokazujesz mi drogę...

- Dokąd?

- Sam tu zbłądzę.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się, w rezultacie Mężczyzna nie miał innej możliwości jak tylko iść za nią. Wyszli na powierzchnię. Gdy się obejrzał, zobaczył główny budynek szpitala, wznoszący się w ciemnofioletowe chmury zapadającego zmierzchu. W świetle brudnych rtęciowych latarni ukazało się wiele set rowerów, których koła przeplatały się z kierownicami. Wyciągnęła pierwszy lepszy z brzegu, wsiadła i pojechała. Mężczyzna pobiegł za nią. Teraz mógł się popisać zaletami swych *jump shoes*. Dopóki rywalem nie jest zawodowy kpiarz, na pierwszym kilometrze nie powinien przegrać w wyścigu. Odwróciła się w stronę mężczyzny i widząc, że trzyma się blisko niej jak we śnie, zwiększyła szybkość. Poły jej płaszczka powiewały na wietrze, a nogi obnażone aż po same uda rozdrapywały ciemność.

Poruszali się ścieżką w gęstej trawie rosnącej między drewnianymi piętrowymi budynkami. Tutaj znajdował się chyba oddział szpitala dla długoterminowych

pacjentów - mijął go, gdy prowadzony był do gabinetu wicedyrektora po owym wypadku z lekarzem dyżurnym. Gdy koła roweru skosiły kilka mieczyków barwy zeschłej krwi, wjechała na zbocze góry. Nacisnęła hamulec, a mężczyzna z trudem zdołał uniknąć zderzenia. Dwupiętrowy żelbetowy gmach zablokował im drogę. Była to dość stara budowla o szaroniebieskich ścianach pokrytych bluszczem, oknach ozdobionych dokoła czerwoną cegłą. Podobno była to część głównego gmachu dawnego szpitala. Teraz wisiał drewniany szyld, poplamiony tuszem, z napisem "Pawilon Specjalny - Chirurgia Chrzęstkowa".

Mężczyzna odetchnął z ulgą, że nie było to jej mieszkanie. Na razie pozostał więc z karą w zawieszeniu.

(7.43. Ciemność za oknem zwinęła zasłony, pęknięcia chmur zajaśniały, po trzech sekundach zagrzmiało i spadły wielkie krople deszczu. Wkrótce Koń przyjdzie na spotkanie. Licznik taśmy nadal wskazuje 582. Wie, że to mu się nie spodoba. Deszcz wpada przez okno, pokój wypełnia się zieloną wonią. Proszę, niech to szybko się skończy).

Minął wąski podjazd przy wejściu do budynku, pchnął ramieniem ciężkie drzwi i znalazł się w przestronnym holu wyglądającym na poczekalnię. Woń środka dezynfekcyjnego zakłuła w nozdrzach, buczenie wentylatora pełzało po podłodze. Wyczuwał czyjaś obecność, ale nikogo nie dostrzegł. Ciężko dysząca kobieta rozchyliła kołnierzyk białego płaszcza i wpuściła powietrze, Mężczyzna również dyszał starając się wytrzeć pot z szyi.

Kobieta zwróciła się w stronę windy obok frontowych schodów i powiedziała:

- Poczekaj tutaj. Porozmawiam z wicedyrektorem i przyniosę klucz do twego pokoju.

- Jakiego pokoju?

Gwałtownie odwróciła się, wyciągnęła ręce z mocno zaciśniętymi pięściami i gniewnie tupnęła sandałkiem o podłogę.

- Nie mam zamiaru ci szkodzić, więc rób to, co mówię. Możesz oszczędzić dużo czasu zatrzymując się w tym szpitalu, zamiast za każdym razem przychodzić tu z domu.

Niech mówi co chce, ale Mężczyzna i tak wróci do domu. Przecież można przypuszczać, że nikt nie odpowiadał na jego telefon, ponieważ żona - zamiast



siedzieć w domu - biega po mieście i szuka go podobnie jak on jej. A przy tym nie jest wykluczone, że nieoczekiwanie odkryje jakiś ślad za szufladą w szafie. Jednak teraz nie miało najmniejszego sensu spieranie się z nią o cokolwiek. Powstrzymać się od nierozważnych kroków i oszczędzać siły na później, na czas, gdy już mgła się rozwieje - to oczywista, podstawowa zasada działania detektywa. W milczeniu przyglądał się, jak kobieta wchodzi do windy, a następnie przysiadł na wąskiej drewnianej ławce, pokrytej czarnym winylem. Był bardzo zmęczony. Praca polegająca na wyszukiwaniu źródła głosu na sześciu ścieżkach dźwiękowych, bezsensownie przypadkowo atakujących uszy, była chyba cięższa niż przypuszczał.

Senność spadła na niego jak kurtyna. Nim usnął wydało mu się, że usłyszał cichy głos, jak czyjś oddech, wołający go sponad schodów. Miał sen. Śniło mu się, że umył ręce dziurawym mydłem, przeżartym przez "mydlane robaki" i wtedy jego ręce też zostały podziurawione. Stoczył się z ławki i obudził.

Przebudzenie było tak nagłe, że nie miał jasnego poczucia upływu czasu. Wydawało mu się, że minęła chwila, ale równie dobrze mógł przespać kilka godzin. Skoczył na równe nogi, przerażony bezsensowną obawą, że sekretarka najprawdopodobniej go porzuciła. Niecierpliwił się, gdyż pragnął wrócić do pokoju strażników i szybko przystąpić do opracowania taśm z podsłuchu. Spadając z ławki chyba uderzył się łokciem, a w całej lewej ręce czuł odrętwienie.

Obok windy był korytarz prowadzący w głąb budynku, świeciło tylko niebieskie światło awaryjne, po obu stronach korytarza, w okienkach drzwi były wygaszone wszystkie światła. Mężczyzna podszedł na palcach do schodów. Obok była palarnia, a na ścianie po lewej stronie wiszące w ramce kolorowe zdjęcie parzących się koni. W porównaniu z obrazem zawieszonym w pokoju wicedyrektora, tutaj wyraźnie powiększono tę część, w której łączyły się ze sobą organy płciowe. Obraz sprawiał wrażenie ilustracji naukowej. Na wprost przed nim na wysokości piersi znajdowały się przeszkłone drzwi, a za nimi pomieszczenie oświetlone tak jasno, że znajdujące się tam przedmioty nie rzucały cieni; ludzi nie dostrzegł. Na biurku leżały w nieładzie jakieś dokumenty i różne instrumenty z nierdzewnej stali i szkła, były też węże gumowe, butelki i wiele innych przedmiotów mówiących o bólu - na pierwszy rzut oka wiedział, że jest to dyżurka pielęgniarek.

Z prawej strony za dwuskrzydłowymi drzwiami był korytarz, a na podłodze tłuste plamy. Przy końcu czerwonoszkarłatnej lamperii znajdowały się inne drzwi,

spod których sączyło się światło. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Pchnął je lekko, myśląc o jakimś wytłumaczeniu. Na łóżku w dużej sali leżała dziewczyna.

Dziewczyna uniosła głowę znad poduszki i spojrzała mu w oczy. Zamierzał się wycofać, ale wstrzymał kroki, ponieważ wyczuł w jej wzroku pytanie, a zarazem coś, co mówiło o tym, że czekała na niego.

- Jeszcze nie można... proszę...

Błagała głosem jakby przytłumionym pastelowym pudrem. Może powodem nieporozumienia był jego pożyczony biały płaszcz. Pacjent dobrze zorientowany w warunkach szpitalnych rozpoznaje chyba bez trudu płaszcz noszony przez strażników bezpieczeństwa. Lecz wargi dziewczyny uśmiechały się. Był to uśmiech niewinny, jakiś dziwnie pokraczny i przezroczysty jak skórka pomidora.

- Nic ci nie zrobię.

Mężczyzna odsunął łokcie od ciała, podniósł otwarte dłonie na wysokość ramion, by jej jasno pokazać, że nie ma złych zamiarów.

- Lecz to tata cię przysłał, prawda?

Mówiąc to dziewczyna przeniosła wzrok na krzesło przy łóżku. Zupełnie tak jakby tam miał siedzieć jej przeźroczysty ojciec.

- Paliło się światło, więc wszedłem. Słuchaj, czy możesz mi powiedzieć gdzie jest... właśnie szukam wicedyrektora...

Dziewczyna znów skierowała wzrok na Mężczyznę. Teraz uśmiechały się również kąciki jej oczu.

- Proszę, naprawdę, wciąż jeszcze mam zawroty głowy, gdy chodzę.

- A kto jest twoim ojcem?

- Jak to, nie udawaj, że nie wiesz.

- A ty wiesz kim ja jestem?

- Nie wiem.

Pomyślał, że może ona nie jest zwykłą pacjentką. W porównaniu ze zwyczajną salą chorych jej pokój był duży i bardzo dobrze urządzone. Łóżko jakby zrobione na specjalne zamówienie, koc z długim włosiem. Zasłony w kolorze kości słoniowej były z nylonu, a nie zwyczajnej białej bawełny. Zapach przypalonego mleka to pewnie woń ciała dziewczyny. Mężczyzna poczuł, jak mięknie mu serce. Być może dlatego, że przypomniała mu zapach ciała żony.

- Ciekawe, kto jest twoim ojcem, skoro ja mam go znać...

Dziewczyna jeszcze raz wskazała palcem na krzesło obok łóżka i ściągnęła wargi. Początkowo pomyślał, że po prostu wskazuje miejsce, w którym powinien siedzieć ktoś, kto przychodził w odwiedziny. Lecz gdy prześledził wzrokiem linię, którą wytyczała palcem pod dziwacznym kątem, wydało mu się, że jednak wskazuje określony punkt na nodze krzesła. Przyszło mu coś na myśl wraz z odgłosem jakby prztyczka w głowę. Jeśli jego biały płaszcz pożyczony od strażnika jest dla niej dowodem, że musi znać jej ojca, to przychodzi mu na myśl tylko jeden człowiek. A mianowicie kierownik strażników.

Zrobił to automatycznie. Podniósł krzesło i odwrócił je do góry nogami. Jak się spodziewał, w jednej nodze był wydłubany otwór, a w nim znajdował się mały nadajnik krótkofalowy. Wyjął baterie i wrzucił je sobie do kieszeni spodni.

- Oburzające, zakładać podsłuch nawet własnej córce!

- Straszne, prawda?

Odpowiedziała głosem żywym, a wokół niej zawrzało, jakby ktoś zdjął kapsel z butelki z wodą gazowaną. Mimo że przyzwyczała się już do podsłuchu, to doświadczenie musiało ją chyba wciąż podniecać.

- Na co chorujesz?

Zamiast odpowiedzi uniosła się do połowy, łokciem oparła o poduszkę i uśmiechnęła. Gdy się obróciła, odsłoniły jej się kolana. Była znacznie młodsza niż wydało mu się na początku. Miała najwyżej piętnaście lub szesnaście lat. Zarys jej ciała pod kocem sprawiał wrażenie, że jest dojrzalsza. Widząc ją wyciągniętą na łóżku przypuszczał, że nie była już dzieckiem. Lecz wyraz twarzy był strasznie dziecienny, a zakrzywiona linia ud również wskazywała na niedojrzałość.

- Czy ojciec chce cię wypisać ze szpitala?

- Przecież wiesz.

Dziewczyna obróciła się, położyła na plecach i podciągnęła kolana. Nad lekko ugiętymi nogami powstał z koca namiot. Patrząc na Mężczyznę z miną jakby pytającą zaczęła rytmicznie poruszać ręką pod kocem. Ręki nie mógł zobaczyć, lecz po drzeniu ramion i falowaniu koca dotykanego łokciem mógł jasno wyobrazić sobie rytmiczne ruchy nadgarstka niby macki owada. Poczul się zażenowany. Twarz mu nabrzmiała, jak kupka piasku wsysająca wodę, i poczerwieniała.

- Przestań.

Głos chrypiał, jakby zatkano mu gardło kapslem.

- Ale podobno w ten sposób wyglądam najładniej...

- Kto to powiedział?
- Doktor.
- Czy mówisz o wicedyrektorze?

Dziewczyna zmarszczyła swój ładny nos i uśmiechnęła się, a przez zwięzione wargi wycisnęła banki śliny i rozmazała je na czubku cieniutkiego palca wyjętej spod koca ręki.

- No, powiedziałem przecież, przestań.

Odepchnął jej dłoń. Ślina dziewczynki pozostała na przegubie jego ręki. Sądził, że dobrze zrobił wyłączając podsłuch, ale z drugiej strony obróciło się to również przeciw niemu. Bez wątplenia szef służb strażniczych miał ucho przy słuchawkach. Gdyby urządzenie było włączone, nie stałby się przedmiotem podejrzeń, a dziewczyna bardziej by nad sobą panowała.

- Dlaczego...

Prawie przezroczysta skóra dziewczyny zaczerwieniła się. Cała siła ekspresji napłynęła i pozostała w lewej połowie twarzy. Tylko prawe oko było pustą dziurą bez wyrazu.

- Nie musisz tego robić. Nawet jeśli on jest doktorem...
- Tata też tak mówi...
- Oczywiście, dlaczego ktoś miałby kazać ci robić coś, czego nie lubisz.
- Ależ ja lubię.
- Kłamczucha.
- Mówi, że na tym zdjęciu w ramach to ja i doktor.
- Na jakim zdjęciu?
- Przecież na tym, które wisi w poczekalni, zdjęcie, na którym koń to robi. Zachichotała, a gdy na nią nie patrzył, znów wsunęła rękę pod koc.
- Powiedziałem, przestań!
- Ale to na pewno chciałbyś zobaczyć...
- Ile masz lat?
- Trzynaście.

Gdy to mówiła, wystawiała go chyba na próbę; jej ręka powoli przesuwała się w stronę ud, jak ślimak pełznący ku gniazdu. Chyba prowadzi z nim swego rodzaju grę. Ktokolwiek przyuczył w ten sposób tę trzynastoletnią dziewczynę jest strasznym draniem. Nie miał zamiaru potwierdzać, jednak w uczuciu odrazy i gniewu krył się słabiutki cień zazdrości. Dziewczynę na pewno cechowała wyjątkowa delikatność. Co

takiemu impotentowi w średnim wieku dawało prawo do przeżywania smaku świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy i trwonienia go w ten plugawy sposób?

Dziewczyna przestała poruszać ręką, jakby wyczuła gniew Mężczyzny.

- Jeśli przestanę, to mnie stąd nie zabierzesz?

Od początku nie miał takiego zamiaru. Byłoby zresztą lepiej, gdyby nie znalazł się w tej przymusowej sytuacji, chociaż i tak byłby podejrzany. Nie miała chyba specjalnego bagażu, a przy tym podniecająca stała się zbieżność z szyfrem "uprowadzenie". Na półce w głowie jej łóżka stała miedniczka, szklany kubek z obrazkiem truskawki, szczoteczka do zębów o różowej ręczce, tubka pasty do zębów, czasopismo komiksowe w ostrych kolorach, a poza tym w szafce na pewno jest wata higieniczna, serwetki papierowe, obcinak do paznokci, mleczko kosmetyczne itp. Koc też chyba do niej należał, więc jeśliby wszystko zebrać w koc, powstałby tylko jeden pakunek. Mężczyzna gapił się w przestrzeń spod na wpół przymkniętych powiek. Pomyślał, że nie byłoby źle trochę pobawić się w teatr i przyznać, że godzi się po długim namyśle na jej propozycję, i w ten sposób uczynić ją dłużniczką.

Jakby niechętnie i powoli skinął na zgodę.

Niepokojąco niewinnie dziewczyna przygryzła dolną wargę i uśmiechnęła się. Następnie podskoczyła jak ryba. Koc się zsunął, a piżama rozchyliła. Sutki zaokrąglających się piersi były jeszcze płaskie. Wydawało się, że się skrywają lekając się upływającego czasu. Wyciągnęła rękę i wskazała ponad jego ramieniem w przeciwną stronę pokoju. Pod pachami zabielało jak we wnętrzu muszli.

Zapach przypalonego mleka wypełnił pokój.

- Jeśli chcesz pić, w lodówce jest cola.

Wisiała tam zielona wzorzysta kurtyнка szerokości drzwi. Początkowo przypuszczał, że to tylko zasłonka np. nad umywalką, ale zrozumiał, że znalazł się w kompletnie urządzonym pokoiku z prysznicem i kuchenką gazową. Małą lodówkę wypełniały pomarańcze, melony, papaje. Stanowiły one odpowiednie barwy dla takiej nieletniej prostytutki. Wyjmując butelkę coli zauważył drabinkę przy wyjściu. Była to drewniana, przymocowana pionowo do ściany drabina, prowadząca prosto do otworu w suficie. W górze dostrzegł padające z głębi wątle światło.

Wydało mu się, że w zasadzie wie, jakim celem służy to tajne przejście. Uderzając butelką coli o ścianę, jakby chciał pokazać, że ma pewne kłopoty z jej otwarciem i dlatego to wszystko tak długo trwa, zaczął wchodzić po drabince. Pierwszy szczebel lekko zaskrzypiał, następne nie wydawały żadnych odgłosów, gdy

się po nich wspinał. Otwór prowadził do niewielkiego pomieszczenia około jednego metra kwadratowego, ale gdy dotknął głową, deski się poruszyły. Może pułapka. Po stronie drabiny, to znaczy prosto w kierunku pokoju dziewczyny znajdowała się dziesięciocentymetrowa szpara szerokości pięciu milimetrów. To stamtąd padało światło.

Nie od razu mógł pojąć sens tego, co tam się działo. Dopiero teraz może to wyjaśnić, gdy zamienia myśl w słowa, ale wówczas z trudem mógł uwierzyć własnym oczom.

Tuż obok dostrzegł łydki kobiety. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dotknąć. Mimo że były gołe, błyszcząły jak wypolerowane. Przeniósł wzrok i ujrzał obcas sandałka wwiercającego się w podłogę. Należał do sekretarki. Naprzeciw dwa łóżka. Otwór znajduje się nisko, nie ma więc dostatecznego pola widzenia, ale mimo to można stwierdzić, że jest tam jeszcze dwu mężczyzn leżących na oddzielnych łóżkach. Jednym z nich jest ów dyżurny lekarz, który podczas masturbacji wypadł przez okno z piętra i stracił przytomność, a drugi to wicedyrektor. Lekarz dyżurny leży nagi na plecach. Jego penis - jak przedtem - jest w stanie erekcji. Być może tylko mu się wydawało, ale teraz chyba posiniał. Wicedyrektor, zwrócony plecami do lekarza, leżał na boku. Miał na sobie koszulę, ale dół ciała był obnażony. Jego penis zwisał niby rybi pęcherz.

Dziesiątki cienkich kabli, splątanych i tworzących niemal sieć, łączyły biodra obu mężczyzn. Końce kabli, przyklejone do ich skóry barwnymi taśmami samoprzylepnymi, wychodziły z jakiegoś urządzenia ustawionego między łóżkami. Jedna pielęgniarka wpatrując się w urządzenie robiła notatki, druga energicznie masowała penis lekarza polewając go oliwą z butelki - rozlegało się rytmiczne mlaskanie, jakby dziki kot chleptał mleko.

Wicedyrektor mocno marszczył czoło między brwiami i od czasu do czasu mówił szeptem: "N 13...K14..." i temu podobne rzeczy zginając i prostując uniesiony palec - dawał chyba komuś jakiś znak. W odpowiedzi obsługująca urządzenie pielęgniarka manipulowała tarczą i zmieniała położenie taśm samoprzylepnych. Pielęgniarka odpowiedzialna za penis zwalniała i przyspieszała ruchy rąk.

Czy mógł oczekiwać pomocy w szukaniu żony od takich ludzi? Przecież zachowują się zupełnie jak zbiegłe ze śmieciarki i przeżarte przez robaki lalki teatralne na balu szaleńców.

(Później dowiedział się, że właśnie wtedy przeprowadzali dziwaczne doświadczenie polegające na próbie przełożenia doznań w ustawicznie stojącym penisie na sygnały elektryczne, a następnie przeniesienia ich do mózgu wicedyrektora, by w ten sposób umożliwić mu osiągnięcie ejakulacji i pełnego orgazmu).

“Uwaga, uwaga, gość w pokoju osiem na piętrze. Uwaga, gość w pokoju osiem na piętrze! Wchodzenie do sal chorych bez zezwolenia jest zakazane. Natychmiast zgłosić się do dyżurki pielęgniarek. Powtarzam, gość w pokoju osiem...”

Głos kobiety w średnim wieku, ostry i zniekształcony przez mały głośnik, ale pobrzmiewający profesjonalną groźbą, dochodził od stóp drabinki. Dziewczyna zaśmiała się i coś odpowiedziała. Wicedyrektor i inni z za judasza też zareagowali natychmiast. Zatem ostrzeżenie w głośniku rozległo się nie tylko w pokoju dziewczyny, lecz po całym budynku.

Jego spojrzenie skrzyżowało się z oczyma pielęgniarki. Łydki sekretarki zmieniły położenie. Instynktownie zakrył otwór lewą ręką.

Przejmujący ból...

Ześlizgnął się z drabinki. Ukłuła go w rękę jakąś ostrą szpilką. Na skórze ukazała się kropla krwi. Wściekła suka! Przyłożył usta do rany i wessał, i wtedy wrócił do pokoju dziewczyny.

- Nie ma już sprawy, bo wyłączyłam.

Z jedną ręką włożoną pod poduszkę dziewczyna tryumfalnie zmrużyła oczy. Drugą ręką powiewała przed twarzą czymś podobnym do cienkiej łądyżki kwiatu. Rzeczywiście trzymała imitację lilii, prawie jak żywą, ze zwisającym pąkiem - pod spodem krył się bowiem głośniczek interkomu przewodowego, służącego podsłuchowi. Czy wobec tego cały czas podsłuchiowano jego rozmowę z dziewczyną? O czym mówił? To gorsze niż ukryty mikrofon, ponieważ w tym wypadku dokładnie znali tożsamość rozmówców.

Nim przyszedł do siebie, w sąsiednim pokoju coś zaszleściło. Było to jakby skrzypienie źle dopasowanych drzwi. Rana na ręce doskwierała. Mężczyzna zdecydował się uciekać. Jednak ktoś mógłby go gonić. Z jednej trony czuł, że nic tak złego nie zrobił, żeby się tego wstydzić, z drugiej jednak, z jakichś powodów - nie wiadomo dlaczego - popychało go do ucieczki poczucie konspiracyjnej winy.

(Nagle w myśli pojawił się pewien scenariusz.

Gdy mikrofon podsłuchowy został rozmontowany, a uszy zatkane, szef strażników musiał znaleźć się w niezłym kłopotcie. Na pewno od razu skontaktował się z pokojem pielęgniarek i kazał przełączyć na przewodowy interkom.

Mógł w ten sposób wszystko podsłuchiwać do chwili wyjścia Mężczyzny po cołę do sąsiedniego pokoju.

W tym momencie rozmowa ucichła, nastąpiła nienaturalnie długa cisza. W rzeczywistości nie była znowu taka długa, lecz dręczony podejrzliwością szef - nie mogąc się opanować - postanowił przekazać mu ostrzeżenie za pomocą ogłoszenia przez głośniki.

Można chyba przyjąć, że dla mężczyzny, który był ojcem trzynastoletniej maniaczki seksualnej, było to postępowanie oczywiste).

Nagle dziewczyna zaczęła naśladować miauczenie kota. Po chwili odchyliła jedną nogę i wcisnęła koc między uda. Jej nogi, niby zbyt długie pałeczki landrynek, nie miały jeszcze kobiecej pulchności, ale za to sprawiały wrażenie tak wyjątkowej czystości, że miał ochotę je polizać. Jej krągła pupka, okryta węglanoszarymi majtkami, miała siłę magnetyczną, rozbudzającą zmysł dotyku w jego palcach.

Miauczenie jednak było trochę nie na miejscu. Czy tego też nauczył ją wicedyrektor? Poczul ból w piersiach, gdy wyobraził ją sobie grającą wicedyrektorowi rolę kotki w okresie godów.

- Wkrótce postaram się znowu tu przyjść...

W głosie kryła się czułość, jakiej nie spodziewał się po sobie. Pewnie kiedy już żona zostanie szczęśliwie odnaleziona i wszystko trochę się uspokoi, rzeczywiście będzie mógł ją odwiedzić.

Gdy wyszedł na korytarz, rozległ się trzask zamykanych drzwi. Kilka osób w pizamach nie zdążyło skryć się w salach. Chyba byli to pacjenci, którzy usłyszawszy ogłoszenie z głośnika wyszli zobaczyć co się dzieje. A teraz, jak kraby pustelniki, wystraszyli się odgłosu kroków.

Dyżurka pielęgniarek nadal była pusta. Komunikat nadawano więc skądinąd. Jednak nie zaszkodzi chyba pokręcić się tu kilka minut. Nie miałoby teraz większego sensu wracać do poczekalni przed sekretarką. Poza tym uniemożliwili mu podglądanie eksperymentu. Ważniejsze teraz jest znalezienie środka dezynfekcyjnego na jego ranę. Choć ranka była mała, musi pamiętać, że kluta jest bardziej zagrożona ropieniem niż rana cięta.



Pół ściany w głębi zajmowały półki z kartami pacjentów. Były uporządkowane według alfabety. Spróbował poszukać karty swej żony, lecz nie znalazł. Zresztą nie oczekiwał tego, więc nie czuł się rozczarowany.

Żałował tylko, że nie zapytał dziewczyny o nazwisko. A może by wrócić i zapytać? Zna numer sali. Sala chorych numer osiem na piętrze. Niewątpliwie gdzieś musi być kartoteka ułożona według sal chorych. Gdy rozejrzał się po dużym biurku, które stało pośrodku pokoju tak, aby można było korzystać z niego z obu stron, za papierami usłyszał plusk lejącej się wody przez cienką szyjkę butelki.

Wraz z chichotem pojawił się biały czepiek pielęgniarki. Sądząc po czterech czarnych paskach wokół czepka, była chyba przełożoną lub kimś o równorzędnej pozycji. Czarny pieprzyk przy nosie. Ustaje plusk lejącej się wody. Siedzi nadal przed niskim pulpitem, wyposażonym w mały aparat nadawczy, rozkraczona na okrągłym stołku, ledwie wystającym nad podłogą.

- Podejrzałeś mnie, co?

- Chciałbym znać nazwę choroby pacjentki z pokoju numer osiem.

- Przykro mi. - Szefowa pielęgniarek, dłubiąc dziurkę w boku stolika, zaśmiała się i spuściła ociężałe głowę. - Gdybym wiedziała, że jesteś ze straży, nigdy bym nie ogłosiła tego ostrzeżenia.

W jej oczach wpatrzonych w biały płaszcz mężczyzny krył się niewątpliwy respekt. To uświadomiło mu jeszcze raz, jaką władzę ma wydział bezpieczeństwa, i przepełniło większym niepokojem.

- Myślałaś, że kim jestem?

- Często tu przychodzą. Słuchają nagrań z taśm i dostają szalu, i wtedy chcą ją "uprowadzić".

- Z jakiej taśmy?

- Z jej taśmy. Co prawda nie widzę niczego specjalnego w jej głosie, który dla mnie brzmi jak kocia czkawka. Dla nich może jest miły. Na przykład taki wicedyrektor całkowicie mięknie, gdy jej słucha.

- To znaczy, że ojciec ją sprzedaje...

- Ale nie wiem, jak ją wywachuują. W końcu nikt chyba nie rozpowiada wciąż i wszędzie o tym, jaka ona jest.

- Czy naprawdę jest chora?

- Och, chora, chora. Właśnie poprzednim razem gdy ktoś ją "uprowadził", do powrotu, w ciągu niecałych trzech dni skurczyła się o osiemnaście centymetrów.

- Skurczyła się ?

- Osteoliza to straszna choroba. Kości się rozpuszczają. Jesteś skaleczony?

- Nic takiego.

Zwilżył śliną zakrzepłą na nadgarstku krew i wytarł rękawem płaszcza.

- Tak nie można. Proszę pokazać.

Znów zaczęła pluskać lejąca się woda. Gdzieś obok niego. Nie zauważył tu ani przewróconej butelki, ani kubka. Przełożona pielęgniarek jakby zdrętwiała i popatrzyła spod rzęs na mężczyznę. W kącikach oczu dostrzegł lekkie zaczerwienienie się.

- Co to jest?

- Siusiam. - Podniosła spódnicę nad biodra odkrywając emaliowany basen otoczony gąbką, znajdujący się poniżej jakby szwu maszynowego na wielkim tyłku. - Nie działa mięsień zwierający mojego pęcherza. Nie słucha poleceń.

- To musi być niewygodne, zwłaszcza w czasie ruchu...

- Oczywiście. Teraz tu na drugim piętrze przeprowadzają jakieś ciekawe doświadczenie. Wszyscy poszli oglądać, tylko ja tu zostałam samotna... nie całkowicie, co prawda. Nie mogę przecież założyć pieluszki. Bardzo się pocę. To okropne, czy musisz się tak na mnie gapić?

Mimo to nadal chichotała i nie zamierzała opuścić spódnicy, widział więc, jak bańki krążą po powierzchni moczu.

- Może ja też pójde i popatrzę na drugim piętrze.

- W lodówce jest chłodzone piwo.

Mężczyzna pokrył zmieszanie uśmiechem i potrząsnął ręką przecząco, odwrócił się i wyszedł tak szybko, jak tylko mógł, starając się jednak jej nie obrazić.

Na środku poczekalni stała sekretarka na lekko rozstawionych nogach. Ciężar ciała równo rozłożyła na obu stopach, jakby gotowała się do ataku. W świetle padającym od tyłu wokół jej włosów powstała mgiełka, a okrągła twarz w cieniu jeszcze bardziej się zaokrągliła. Skierowany we własną pierś palec przewleczony przez kółko breloczka lekko zadrżał. Wokół palca błyszczały i obracały się stalowe klucze.

(Odgłos samochodu. W końcu Koń przyjechał po niego).

## **NOTATNIK III**

To pokój w podziemiach starego szpitala. Deszcz, który padał wczoraj w nocy, ustał, teraz przez szpary w wentylatorze wpadały oślepiające promienie południowego słońca. Właśnie teraz zdecydował się robić notatki używając kartonowego pudła zamiast stołu. Nie wie, jak długo będzie jeszcze pisać. Gdy zajdzie słońce, trudno będzie tu pracować, a jeśli prześladowcy wywąchają tę kryjówkę, gra się skończy.

Wraz z trzecim zeszytem zmienił się całkowicie cel i znaczenie notatek. Poprzednie dwa powstawały na zamówienie Konia, lecz tym razem nie ma klienta. Dzięki temu nie musi się wahać ani krępować, nie ma też potrzeby kłamać po to, żeby się bronić. Nieważne, jak bardzo zepsuje humor Koniowi, ostatecznie i tak nie można sobie wyobrazić gorszej sytuacji niż ta, w której znajduje się teraz. Tym razem na pewno obnaży prawdę do końca. Jeśli poprzednie dwa notatniki są sprawozdaniem ze śledztwa, to obecny pisze jako oskarżenie. Jeszcze na razie nie ma pojęcia, komu da go do czytania, w każdym razie nie chce tylko leżeć i nic nie robić.

Tuż za kartonowym pudłem znajduje się dziewczyna z pokoju numer osiem, trzyma między udami zwinięty koc i lekko oddycha we śnie. Zniknął zapach przypalonego mleka, przegrywając z drażniącą wonią szczurzej uryny. Odgłosy ogni sztucznych i muzyki elektrycznych gitar, ogłaszające wigilię świątecznej zabawy, która ma rozpocząć się za sześć godzin, odbijają się echem w podziemnym labiryncie, pulsując jak złowieszcze tchnienie. Wydało mu się, że usłyszał ludzkie szepty i powstrzymywany śmiech, zmieszany z pobrzmiwającym echem, ale może to tylko strach go obleciał.

W każdym razie rozpocznie od miejsca, w którym przerwał pisać drugi notatnik, po prostu będzie kontynuował.

Ostatniej nocy, gdy zgodnie z obietnicą przyszedł po niego Koń, by zabrać go na późną kolację, nawet nie starał się ukryć irytacji. Ledwie wsiedli do białego mikrobusu, niebo rozstąpiło się i zaczął padać deszcz. Przednią szybę pokrywała gruba warstwa wody, wycieraczki stały się prawie bezużyteczne. Koń milczał cały czas, przywarł do kierownicy, Mężczyzna też milczał i masował czubkami palców skronie. Pisał bez przerwy od rana, jego nerwy rdzewiały jak stare druty elektryczne. Koń przyjechał z prawie dwugodzinnym opóźnieniem. Wtedy przestawały już działać lekarstwa wzmacniające siłę jego ducha.

- Dokąd jedziesz?

- Pomyślałem, że może do mnie, tam moglibyśmy odpocząć.

W tłącym się popiele powiał wiatr, zapłonął ogień. Koń, który zachowywał się tak, jakby nie miał życia prywatnego, teraz nagle powiedział, że zaprasza go do swego domu. Wraz z ciekawością ogarnęło go poczucie zagrożenia. Gdy ziewnął szeroko otwierając usta, łzy popłynęły mu z oczu.

Padał tak straszny deszcz, że nie pamiętał, którądy i jak jechali. Niewątpliwie staczali się po długim zboczu, to znów wspinali się pod górę, w rezultacie wydawało się, że długim objazdem dotarli w inne miejsce na tym samym wzgórzu, na którym znajdował się szpital. Przypuszczalnie są teraz na poboczu po zachodniej stronie wzgórza. Droga biegnąca wzdłuż drewnianych zabudowań szpitalnych kończy się przed budynkiem oddziału chirurgii chrząstkowej. Samochód musiał tutaj się zatrzymać. Naprzeciw fundamentów zburzonego starego pawilonu wyrosły chaszcze na wysokość człowieka, ich gałęzie splatały się ze sobą, jak na terenach jakichś starożytnych ruin, a między nimi w prześwicie ukazywał się dół, z którego prowadziło wejście do piwnic. W jednym z pomieszczeń pod ziemią znajduje się kryjówka. Trochę dalej, po drugiej stronie rozciąga się opustoszały teren o powierzchni trzech boisk baseballowych; po środku znajduje się owa stara strzelnica wojskowa, którą Koń wykorzystywał do ćwiczeń w bieganiu. Kiedyż to było, gdy zanosił posiłek Koniowi? Gdy przeszedł przez to pustkowie, w dali poza dachem strzelnicy ujrzał, połyskujące w porannym słońcu konstrukcje jakiegoś wieloboku połyskujące w słońcu i pokiwał głową z podziwem. Dalej zalesione urwisko, nachylające się ku morzu, stanowi chyba naprawdę odpowiedni teren pod zabudowę dla nowej dzielnicy mieszkaniowej.

Na opasłym trawniku, niby na zielonej żelatynie wchłaniającej światło rtęciówek, stał dom mieszkamy ze szkła i płyt barwy kości słoniowej, wyglądający jak abstrakcyjny rysunek. Na każdym piętrze znajdowały się głębokie loggie, więc budynek stopniowo zwężał się ku górze i przypominał model małej piramidy. Zostawiwszy mikrobus na parkingu pod gołym niebem, pobiegł do wejścia, a szklane drzwi grubości chyba jednego centymetra, otwierają się przed nim bezszelestnie, ukazując jasnoniebieskoszary dywan, pokrywający całą podłogę od ściany do ściany, dywan tak gruby, że z powodzeniem mógł należeć do kociego świata.

Mieszkanie Konia znajdowało się na najwyższym piętrze. Tuż przy wejściu był obszerny salon. Naprzeciw, za pojedynczą taflą szkła okiennego panowała ciemność ozdobiona strugami deszczu, niby zadrapaniami na ciele. Po obu stronach okna

przymocowane były jakieś dziwaczne urządzenia oświetleniowe. Były to raczej rzeźby z akrylowego kauczuku, wielkości człowieka, zaprojektowane tak, aby mogły przepuszczać światło przez wycięcia. Na ścianach z prawej i lewej strony wejścia znajdowały się drzwi prowadzące do sąsiednich pokoi; jedną ścianę zastawiono oszkloną szafą, drugą - wielkimi urządzeniami stereofonicznymi i ozdobiono ogromnym, kolorowym zdjęciem. Fotografia przedstawiała konia, a właściwie ogiera stojącego na tylnych nogach z widocznym penisem w stanie erekcji, trochę zbyt dosadna w szczegółach jak na dekorację mieszkania.

Przy oknie stał okrągły stół z polerowanego lawendowego marmuru. Na nim leżała taca z ciemnoniebieską serwetką we wzory białych ryb. I krzesła, i tapety, i dywan na podłodze, wszystko utrzymane w kolorze kości słoniowej ze wzorami drobnych niebies-kozielonkawych kwiatków. Gdy o tym piszę, wystrój wydaje się bardzo elegancki, jednak w rzeczywistości sprawiał wrażenie raczej opuszczenia i zaniedbania. Farba na ramach okiennych odpadała, traciła kolor, wazon na półce nosił opaskę z kurzu dokoła ramion, a z rozerwanego obicia w oparciach krzeseł wyłaziło watowanie. Pokój zdawał się ucieleśniać gnuśne życie kawalera po zakończeniu etapu małżeńskiego, przypominającego jazdę po pijanemu.

Koń burknął coś oschle proponując piwo i podniósł granatową serwetkę. Ukazały się kostki ryżu z plasterkami surowej ryby ułożone gwiazdźście i ozdobione prawdziwymi liśćmi bambusa, jak przystało na drogą potrawę.

Mężczyzna nie odpowiedział. Przed przekazaniem notatnika chciał otrzymać zadowolające wyjaśnienie odgłosów przypominających kroki zarejestrowane na początku pierwszej kasety. Gdyby nie przywiązywał do tej części specjalnego znaczenia, nie włączyłby jej do materiału podczas redagowania.

Koń, jakby na uspokojenie, pokiwał lekko głową.

- Mamy mnóstwo czasu. No więc dobrze, nieważne, w każdym razie pierwszy notatnik, który od ciebie dostałem wczoraj, podobno w końcu jakoś dotarł do rąk pańskiej żony.

- To znaczy, że ją znaleźli?

- Niezupełnie. Powierzono to łącznikowi.

- Ale jeśli jest znany sposób nawiązania kontaktu, to przecież można wykryć miejsce jej pobytu. Spróbuję zrobić to sam, proszę tylko poznać mnie z tym łącznikiem.

- Nie wolno tak się spieszyć.

Chrzan na *sushi* był chyba za mocny, Koń zakrztusił się i wypuścił przez usta powietrze, które wciągnął przez nos.

- Nie możesz ich przyciskać. Jeśli wzbudzisz w nich podejrzenia, stracisz wszystko.

- Gdybyś tylko zechciał spróbować, znalazłoby się wiele sposobów.

Zamiast odpowiedzi Koń zmienił temat i zaczął wyjaśniać znaczenie początkowego odcinka tej problematycznej taśmy.

- Ach, tak - zaczął - było to rankiem tego dnia, w którym poprosiłem sekretarkę, żeby przygotowała dla ciebie taśmy, pewnie było to przedwczoraj. W związku ze zbliżającą się rocznicą założenia szpitala zwołano nadzwyczajne posiedzenie Rady Nadzorczej. W czasie obrad usłyszałem coś interesującego. Oto w tym samym czasie, w którym twoją żonę prawdopodobnie wywieziono karetką pogotowia, zdarzyła się kradzież z apteki obsługującej pacjentów pozaszpitalnych. Nie była to wielka kradzież, w rzeczywistości rozbito szybę okna wychodzącego na dziedziniec i zabrano trochę pigułek przeciwgorączkowych i usypiających, a jednocześnie antykoncepcyjnych, tych ostatnich na sumę ośmiuset tysięcy jenów. I to wszystko, takie straty w normalnej sytuacji nie stanowiłyby żadnego problemu. To nie znaczy, że przypadki kradzieży są tutaj sprawą codzienną. Uważa się powszechnie, że procent przestępstw w szpitalu jest bardzo niski. Może swobodnie spadać albo wzrastać w zależności od definicji przestępstwa. Gdyby zastosować ogólnie przyjętą definicję, można by przyjąć tezę, że szpital jest siedliskiem przestępstw. Lecz kiedy już raz zostaniesz pacjentem, wszystkie uprzednie poglądy ulegają głębokim wpływom nowych warunków życia. Gdy poglądy się zmieniają, rozumie się samo przez się, że zmienia się pojmowanie przestępstwa. Widzisz, w miejscu, w którym nie ma szkody, nie ma też przestępcy.

Lecz tego dnia na kradzież w aptece zwrócono szczególną uwagę właśnie dlatego, że chodziło o nowy produkt działający opóźniająco, który wiązał się też z niezwykle popularnym punktem programu wieczoru poprzedzającego rocznicę. Tym punktem jest konkurs dla kobiet na liczbę i czas trwania orgazmu; fama głosi, że podniecenie tym konkursem jest bardzo duże, a ponieważ wszyscy pacjenci z oddziału ogólnego będą w nim uczestniczyć, po kryjomu wyposażają się w pigułki i podobno namiętnie się przygotowują.

- Usłyszawszy o tym nagle doznałem olśnienia. Wypadek zniknięcia twojej żony z zamkniętego pomieszczenia i splądrowanie apteki oraz zgodność miejsca i czasu

tych zdarzeń, wcale nie muszą być przypadkowe. Gdyby założyć, że twoja żona zetknęła się ze złodziejem pigulek, to by się wszystko wyjaśniło. Mówiąc szczerze miałem pewną niechęć do traktowania zniknięcia twojej żony jako wypadku. Czy wobec tego nie należy sądzić, że tylko wtedy byłoby to możliwe, gdyby ktoś wcześniej umówiony z personelu szpitalnego jej pomógł? A jeśli nie, to albo ty kłamiesz, albo oszukała cię żona. Tak czy owak, z tego powodu nie mogłem traktować tej sprawy poważnie.

- Wobec tego dlaczego załatwiłeś mi oddzielny pokój i dałeś wolny dostęp do wszystkich taśm w pokoju strażników?

- To nie ja chciałem cię tu zatrzymać.

- Wobec tego kto?

- Moja sekretarka.

- Dlaczego?

- Ona nie poddaje się łatwo, to dlatego. Gdy zdecyduje się, że czegoś chce, nie spocznie, póki tego nie dostanie.

- Czy to nie jest dziwne?

- Podobno jesteś typem, który jej bardzo odpowiada.

- Raz mnie nawet kopnęła w nogę do krwi, innym razem mocno ukłuła igłą w dłoń, a jeszcze innym razem ugryzła w rękę, że omal nie wyrwała kawałka ciała.

- Jest dzieckiem z próbówki.

- I co z tego?

- Po prostu jest dziewczyną zupełnie samotną na tym świecie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jest kobietą syntetyczną czy coś w tym rodzaju?

- Jej matka umarła. Wychowała się z dojrzałego jaja, wydobytego z ciała po śmierci tej kobiety. Ojcem była pewna jednostka z mieszanego nasienia z banku spermy. Nie zna więc żadnych rodzinnych uczuć. Pozbawiona została tego, co można nazwać poczuciem stosunków międzyludzkich.

- To brzmi raczej niesamowicie.

- Na przykład poczucie samotności jest swego rodzaju manifestacją instynktu powrotu do gniazda. A zmysł dotyku skóry może być źródłem wszystkich uczuć i nastrojów. Podczas gdy dla niej, jak widać, chyba nigdzie nie ma gniazda, do którego mogłaby wrócić.

- To nie moja wina.



- Ani jej. W każdym razie ona też chyba nie może tego zrozumieć. Na przykład dlatego biegasz dokoła nieprzytomnie, w poszukiwaniu swej żony, podczas gdy ona musi siedzieć na miejscu z palcem w buzi.

- Tu już przesadzasz. To zupełnie co innego.

- Ale jej chyba trudno to zrozumieć.

Koń dopił piwo i zdjął kapsel z następnej butelki.

Pięć lat temu pod kierownictwem Konia przeprowadzano pewien eksperyment, ściślej mówiąc, pomysł eksperymentu był jego, czy raczej jego żony, z którą jest w separacji (ona pracuje w Instytucie Psycholingwistyki). Eksperyment nazwano "Podniecenie wywołane symbolami seksu oraz wstrzemięźliwość", a chodziło po prostu o to, żeby za pomocą danych liczbowych przedstawić mechanizm wywierania wpływu na obserwatora za pomocą aktów seksualnych reprezentowanych przez symbole- znaki (np. nagrania na taśmach magnetofonowych). Wśród uczestników eksperymentu - oprócz zwykłych ludzi pragnących zdobyć nagrodę, byli pacjenci wybrani w drodze rekomendacji poszczególnych oddziałów, zwłaszcza pacjenci cierpiący na różne dziwne choroby, którym towarzyszyła dysfunkcja zmysłu dotyku. Nie będę o tym szczegółowo mówić, ponieważ odbiegam od tematu, w każdym razie w rezultacie okazało się, że podniety głosowe mają dużą siłę pobudzania, przewyższającą wszystkie inne. Zmysł powonienia u ludzi jest niedorozwinięty, a zmysł wzroku rozwinięty nadmiernie, i właśnie dlatego zmysł słuchu znajdujący się w połowie drogi między nimi, wydaje się funkcjonować najefektywniej.

Sekretarka należała do wybranych uczestników eksperymentu. I jako jedyna przejawiała reakcje całkowicie inne, nietypowe, co prowadziło do nieporozumień. Oczywiście, reakcje uczestników do pewnego stopnia różniły się od siebie, ale zasadniczo zgodne były z zasadami, a ich rozbieżności nigdy nie wykraczały poza granice dopuszczalne dla poszczególnych jednostek. Jedynie sekretarka nie przejawiała żadnej reakcji. (Nie tylko żadnej reakcji, co więcej, gorzej przejawiała fizjologiczne odrzucenie negacji). Gdy zmuszano ją do słuchania, dostawała wysypki na szyi albo zakłóceń wzroku.

Prawdę mówiąc, właściwym celem tego doświadczenia była pomoc w leczeniu Konia, cierpiącego na chroniczną impotencję. A ponieważ nie miał on jakichś specjalnych ułomności cielesnych, uznano, że przyczyną impotencji musi być jakiś bodziec zewnętrzny, więc jego leczeniem zajął się Instytut Psycholingwistyki.

Tak więc Koń był lekarzem, a jednocześnie pacjentem swej żony, z którą był w separacji, był więc w dość kłopotliwym położeniu. Jego chorobę określano jako "neurozę na tle relacji interpersonalnych". Przewidywano, że większa anonimowość w stosunkach międzyludzkich może dać pozytywne wyniki w leczeniu. Założono, że gdyby taśma była nagrana przy użyciu ukrytego mikrofonu spełniając warunki dużego stopnia anonimowości, przy odpowiednim dawkowaniu, efekt byłby w znacznym stopniu pozytywny. W zasadzie rezultat był zgodny z oczekiwaniami. Ale mimo że był jeden jakby przypadkowo wplątany wyjątek sekretarki, zepsuł on jednak rezultaty poważnego doświadczenia.

Zdecydowano się poddać ją próbie stymulacji ośrodka doznań przyjemnych. Reakcja okazała się normalna. Miała nawet krótki, ale silny orgazm, któremu towarzyszyły konwulsje maciczne. Podobnie jak Koń, nie cierpiała na szczególne wrodzone schorzenia. Była też najprawdopodobniej innym przypadkiem "neurozy na tle relacji interpersonalnych".

To podobieństwo z symptomami Konia zwróciło uwagę środowiska, więc eksperyment stopniowo koncentrowano wyłącznie na niej. Podejrzewano nawet, że jej przypadek chorobowy dodatkowo skomplikował się o nadwrażliwość na eksperymenty. Tylko dlatego, że była dzieckiem z eksperymentalnej próbówki, budziła duże zainteresowanie - niemal wszystkie instytuty badawcze zgłaszały na nią zapotrzebowanie. W celu złagodzenia napięcia miejsce eksperymentu przeniesiono do pokoju w luksusowej dzielnicy mieszkaniowej; w tym pokoju w srebrnym naczyniu na stole stała cała góra czekoladek potajemnie nasyconych lekiem pobudzającym psychikę. Chcąc znaleźć za wszelką cenę rozwiązanie problemu, zatrudniono nawet inżyniera elektryka, specjalistę od podsłuchu, po to, by zebrać dane o różnorodnych aktach seksualnych. Przypadkowo był nim ojciec dziewczyny przewlekłe chorej z sali numer osiem na oddziale chirurgii chrząstkowej w pawilonie chorób specjalnych. A mimo to - jakby chciała wykpić cały ten wysiłek - nawet nie drgnęła żadna wskazówka w podłączonym do niej instrumencie.

Pewnej nocy doświadczenia prowadzono do późna; w końcu inżynier został sam z dziewczyną. Z głośników stereo tryskał krzyk orgazmatycznych doznań i wypełniał cały pokój szaleństwem. Chcąc nie chcąc inżynier poczuł perwersyjny napad podniecenia. I właśnie wtedy ją zgwałcił. Noc była parna, co najmniej taka jak dzisiaj, a ponieważ dziewczyna miała na sobie tylko cienką bieliznę, więc zniewolenie jej przyszło mu bez trudu, podobno w ciągu zaledwie kilku minut wszystko się

skończyło. Choć poplamiona krwią dziewczyna nie stawiała prawdziwego oporu i nawet nie krzyczała, to jednak uważnie przyglądała się ruchom inżyniera. A ponieważ właśnie od tego zdarzenia stawała się coraz bardziej chłodna wobec wszystkich podnieć seksualnych, trudno było odrzucić przypuszczenia, że poważne zakłócenia miały nie tylko emocjonalny charakter, lecz także fizyczny.

Tę sprawę przedstawiono na posiedzeniu Rady Nadzorczej. W rezultacie w śledztwie zgodzono się z opinią, że jej chorobowy przypadek zasługuje na dalsze badanie, ale nie dostrzeżono oznak przestępstwa. W końcu ona sama z własnej inicjatywy i bez sprzeciwu nie tylko przyznała, że robiła to sama od początku do końca, wystąpiła też z wnioskiem, że chce kontynuować eksperyment razem z inżynierem. Trudno więc było oprzeć się podejrzeniu, że pokładała duże nadzieje w leczeniu swej oziębłości.

Respektując jej życzenia Rada powierzyła ją Instytutowi Psycholingwistycznemu z zaleceniem dłuższej obserwacji. Inżynier oczywiście nie miał nic przeciwko temu. Unikał konsekwencji swego przestępstwa, a co więcej, zaczął do dziewczyny żywić namiętą miłość.

Lecz Koń w duchu miał chyba inne zdanie na ten temat. Choć jako jeden z członków Rady wrzucił głos za przyjęciem wniosku, to jednak głosowanie nie wyrażało jego prawdziwej opinii. Zbyt nienaturalna była jej chęć współpracy, jak na to śmiałe i szalone dziecko z próbówki. Niewątpliwie, musiał być jakiś ukryty powód. Czego pragnęła więc w zamian aż tak bardzo, żeby zgodzić się na znoszenie pracy twarzą w twarz z gwałcicielem? Na pewno czegoś, co on miał, na przykład umiejętności technicznych. Jak na tak młodą dziewczynę, wydawało się to trochę nazbyt chytre, ale taśma z nagraniem stosunku płciowego była chyba pretekstem, natomiast celem nadrzędnym mogła być sama operacja podsłuchu.

Przecucie go nie myliło. Nim się zorientowano, podsłuch zastąpił eksperyment i zaczął iść własną drogą. Rozrastał się, rozmnażał, został przeorganizowany i stał się niezależnym przedsięwzięciem. Ona została sekretarką Konia, a inżynier elektryk - kierownikiem straży bezpieczeństwa. Z perspektywy czasu mogło się nawet wydawać, że to ona zaplanowała ten cały ciąg wydarzeń w tajemnicy i wprawiała w ruch.

(Dziewczyna w sali numer 8 obróciła się w śnie. Możliwe, że światło padające przez wentylator było zbyt silne. Zwolniłem blokadę przy fotelu na kółkach i zmieniłem położenie wózka. Uchyliła powieki i uśmiechnęła się. Spokój zatrzymał się

na końcu szpilki. Gdy dotknął palcem jej ust, wessała go głośno. Deszcz poprzedniej nocy zmoczył podłogę, zaczęło parować i powietrze zrobiło się ciężkie i duszne. Dziś również chyba będzie gorąco).

Już wiele razy mimochodem dawałem do zrozumienia bez słów, że wicedyrektor i Koń to ta sama osoba. Koń jest wytworem filozofii wicedyrektora, który głosił, że "dobry lekarz jest dobrym pacjentem", a zgodnie ze standardami szpitalnymi powinien już mieć nową osobowość, ale na zdrowy rozsądek między nimi nie ma większej różnicy niż między mną przed czyszczeniem i po czyszczeniu zębów. Chodzi tu po prostu o to, że penis wicedyrektora nie słuchał jego woli i dlatego zdecydował się on na wypożyczenie dolnej części ciała innego mężczyzny, by następnie impulsy od tego pożyczonego penisa elektrycznie przekazać do własnego ośrodka zmysłu płciowego; celem jego było bowiem osiągnięcie podnieć płciowych w sposób zastępczy. Ten koszmarny eksperyment, który przez szparę w suficie pokoju numer 8 w oddziale chirurgii chrząstkowej podejrzalem tej pierwszej nocy, gdy wtargnąłem do szpitala (szczegóły zobacz w "Notatniku drugim"), był właściwie tylko próbą. To zastępcze doświadczenie podobno okazało się lepsze niż się spodziewano. Kiedy zajrzałem przez dziurkę (lekarz dyżurny był nadal nieprzytomny), wicedyrektor miał wtedy wytrysk dzięki masażowi pielęgniarki. Było to właśnie po osiągnięciu przez niego pierwszego orgazmu. Podobno przez krótką chwilę miał erekcję w jakichś osiemdziesięciu procentach. I jakkolwiek koszmarnie to było, eksperyment jest w końcu tylko eksperymentem. Myślę, że w tym wypadku nic specjalnego się nie wydarzyło. Obciążony niecierpiącym zwłoki, przykrym problemem zniknięcia żony, nie miałem ani czasu, ani chęci zajmowania się kłopotami obcych.

Tego samego dnia dowiedziałem się o pomysle wicedyrektora przeistoczenia się w człowieka-konia. Słaba widoczność nie oznacza całkowitej niemożności widzenia; oznacza tylko, że jakaś przeszkoda jest widoczna zbyt dobrze. To tak jak z widzeniem wielu kolorów rozsmarowanych na soczewce lornetki, przez którą trudno cokolwiek zobaczyć.

Właśnie w scenie, o której jest mowa w Notatniku II - to znaczy tuż po tym czasie, w którym sekretarka otrzymała klucz do pokoju lekarza dyżurnego - poprowadziła mnie niemal pod przymusem do pawilonu H 4. Weszła razem ze mną, jak gdyby to było całkiem naturalne, i wskazując na fotografie aktów wiszących wokół łóżka nagle przerwała milczenie przygnębionym głosem.

- Na którą z tych kobiet chciałbyś patrzeć podczas masturbacji?

Wahał się z odpowiedzią, więc ona nadal go naciskała.

- Pytam się o to, jaki typ lubisz.

- To zbyt zaskakujące pytanie, żeby tak od razu... Chyba masz o mnie fałszywe pojęcie. Ja tylko...

- Słyszałeś o wyniku badań rentgenowskich? - Nagle zmieniła temat. - Mówią, że to pęknięcie czaszki z tyłu głowy... Gdy do jutra nie odzyska przytomności, będzie po nim.

- To niemożliwe, żeby do tego doszło...

- No trudno, ostatecznie to tylko kawaler. Jediną jego krewną jest ciotka cierpiąca na chorobę Ménière'a, która pracuje w fabryce szyjącej białe płaszcze. Więc jeśli jutro stan jego się nie zmieni, podobno go przetną.

- Co?

- O, tutaj - ruchem cięcia w poprzek pokazała ręką na wysokości pępka. - Rozdzielą dół od góry, bo chcą dolną część ciała wykorzystać na substytut penisa dla wicedyrektora.

- Nie wierzę.

- On bardzo się z tego cieszy.

- To chyba zbrodnia robić takie rzeczy...

- Może pokażesz mi, jak się onanizujesz?

- Co takiego?

- W Instytucie Psycholingwistyki jest test na odpowiedniość. Oni uważają, że jeśli ktoś potrafi wyobrazić sobie kogoś w czasie masturbacji i nie poczuć odrazy, oznacza to, że może się spodziewać idealnej więzi ducha i ciała z tą osobą.

- Nie żartuj!

- Nigdy jeszcze takiego partnera nie spotkałam. Zaczęłam już tracić nadzieję, ale teraz kiedy ciebie zobaczyłam, wydało mi się, że mogłabym popatrzeć, jak to robisz.

- Ale ja nie mógłbym.

- Co? Dlaczego nie, gdy ja tego chcę?

- Poważnie, powiedz, co zamierzają zrobić z dolną częścią ciała?

- Przyłączą mu do bioder z tyłu i będzie wyglądał jak koń.

- Koń...

- Chodź, pokaż mi, jak się onanizujesz.

- Nie!

- Dlaczego nie?

Wciąż nie mogłem pojąć jej sadystycznego wybuchu irytacji. Nie mogłem inaczej tego przyjąć jak chęci dokuczenia mi czy jak złośliwego żartu. Posługując się wymówką, że chciałbym jeszcze trochę posłuchać taśmy w pokoju przesłuchań, z trudem udało mi się wyrwać z tego miejsca. Zastępczy penis, test odpowiedzialności - nie mogłem w to wszystko uwierzyć, w każdym razie ściskając nos chciałem jak najszybciej uciec od dziwnej, okropnej atmosfery.

Jak już wielokrotnie o tym pisałem, wicedyrektor jest istotnie człowiekiem-koniem.

Nie wiedziałem, czy zgodnie z przewidywaniami sekretarki lekarz dyżurny został przecięty w pół, a jego dolna część przyłączona do Konia.

A rzecz miała się tak. W nocy pielęgniarki urządziły sobie niezłą zabawę z penisem lekarza dyżurnego - były podobno takie, które próbowały mieć z nim stosunek, ale najczęściej bawiły się nim wciskając do gumowego węża odkurzacza, to znów poddawały go testowi twardości, sprawdzając ile kartek kopiiowego papieru może przebić. W końcu do rana zamieniły go w kawałek okrwawionego mięsa i odtąd nie miały już z niego żadnego pożytku. Ktoś powiedział, że podobno był jakiś podżegacz, ale nie jest to pewne. Później rozeszła się pogłoska, że potem odwieziono go na inny oddział, lecz nikt dokładnie nie wiedział, co się z nim stało.

Mimo to wicedyrektor jest faktycznie Koniem. Zatem musiał dostać innego nieboszczyka, któremu skradziono dolną część ciała.

Tak, istotnie, od chwili, w której zaczął pisać Notatnik I, szef straży bezpieczeństwa już nie żył. To oczywiste. Nie można przecież żyć bez dolnej części ciała. W ciągu tego dnia poddano kremacji górną część ciała i pogrzebano z należyтым szacunkiem na cmentarzu szpitalnym. Zgodnie z buddyjskim rytuałem nadano mu imię pośmiertne i opublikowano oficjalny nekrolog jako zasłużonemu pracownikowi. W oczach wszystkich umarł godną śmiercią.

Zdarzyło się to drugiego dnia po południu. Wicedyrektor w osłupieniu bez słowa wpatrywał się w ciało lekarza dyżurnego, którego najważniejsza część została przez wybryki pielęgniarek z maltretowana tak, że nie nadawała się do naprawy. A

ciało szefa straży bezpieczeństwa wpadło mu w ręce właśnie wtedy, kiedy tak go potrzebował razem z tym ogromnym członkiem, z którego on był tak dumny (muszę powiedzieć, że miał chyba 7,2 cm w obwodzie, 19 cm długości) - tylko na to czekał. Jediną jego chorobą chroniczną była łagodna epilepsja, więc pominięto autopsję i od razu, póki było jeszcze ciepłe, przecięto w pół. Posłużono się specjalnymi środkami do zaleczenia ran na dolnej części po to, by Koń mógł korzystać z tej dolnej części jako zapasowej, umieszczono ją na przechowanie w urządzeniu podtrzymującym życie.

Ale czy można uznać ten przypadek po prostu za śmierć? Nie wiem, jak to się nazywa w terminologii szpitalnej, ale w moim języku było to zabójstwo. Myślę, że również na ten teren rozciągają się kompetencje policji. Jeśli więc policja zechce, żebym zaświadczył, mogę to uczynić w każdej chwili.

Właśnie wtedy w celu wymiany na nową rolkę (już dwudziestą trzecią), odwiedziłem gabinet szefa straży. Był pochylony nad księgą rachunkową, porządkował dane o dochodach ze sprzedaży tygodniowej. I wtedy nagle bez pukania wpadło do jego pokoju pięciu łysych chłopaków w dresach. Czterech skrępowało mu nogi i ręce, jeden przycisnął do twarzy poduszkę z krzesła. Nikt z nich nawet się nie odezwał - działali niezwykle sprawnie. Uduśnienie za pomocą poduszki stało się modnym sposobem, chętnie stosowanym przez zawodowych zabójców. Jakies dwa tygodnie temu czytał o tym w gazecie. Gdy pomyślałem, że teraz kolej na mnie, moje mięśnie, którymi tak się szczyciłem, teraz zdrętwiały i zeszywniały jak suszone sardynki i odmówiły ruchu. Lecz oni mnie zignorowali. Do tego stopnia, że jeden z nich nawet mrugnął porozumiewawczo jak do współnika. To tym bardziej mnie przerażyło. Energicznie dźwignęli martwe ciało i wynieśli. Położyli na łóżku z kółkami, czekającym na korytarzu, wyrównali krok i pobiegli. Od razu zadzwonił telefon od sekretarki.

- Poszło bardzo dobrze.

- Więc to ty zrobiłaś...

- W tej sytuacji musimy zdecydować, kto będzie następcą. Chcesz, żebym ciebie rekomendowała?

Z tamtej strony słuchawki napłynęła lawina tryumfalnych okrzyków mężczyzn, jakby biegnących w ciemności podczas jakiegoś nocnego festynu. Dzwoniła chyba z pokoju strażników. Czy to możliwe, żeby ta banda morderców dowiozła już tam ciało zabitego? Kobieta odkrzyknęła coś i rozmowa została przerwana. Właściwie jej głos

nie brzmiał tak, jakby naprawdę się na nich gniewała, sprawiał raczej wrażenie zmywy, więc jej odmowa była przez wszystkich oczekiwana.

Jak ich zmusiła do tego, żeby to zrobili? Miała osobisty motyw, niewątpliwie, zemściła się za gwałt. Mimo to zrobiła to trochę późno, przy tym jak mogła dopiero teraz ni stąd, ni zowąd nagle zaskarbić sobie ich współczucie? A może ostatnio w zachowaniu kierownika było coś takiego, co wywołało gniew młodych? Ubrani w dresy treningowe, ostrzyżeni na łyso jak dynie, wyćwiczeni w karate, zdyscyplinowani w ruchach... Jeśliby ktoś ich zmuszał do działania wbrew ich woli, mogli się zbuntować. Jak słyszałem, wszystkie reguły ich działania stworzył chłopiec występujący jako ich przywódca (pacjent z chorobą wola, syn pierwszego szpitalnego kwiaciara) bez ingerencji z zewnątrz. Początkowo uważałem kierownika za człowieka sztywnego, chłodnego, przy którym trzeba było mieć się cały czas na baczności. Ale teraz widzę, że były to objawy nietowarzyskości często charakteryzujące techników. Utrzymywał kontrolę nad całym systemem podsłuchu i zajmował się powiększaniem organizacji sprzedaży kaset, a poza tym miał tylko jedno w głowie, a mianowicie pragnienie pozyskania względów sekretarki, myślę więc, że był mężczyzną tak bardzo prostolinijnym, że wręcz nieporadnym. Znałem go ledwie dwa dni, ale wydaje mi się, że chciałbym dłużej utrzymywać z nim znajomość.

Sprężynujące krzesło kierownika nadal obracało się spokojnie i cicho. Szczerze mówiąc byłem przerażony. Kiedy odkryłem, że nie stał za tym wicedyrektor, tym bardziej czułem lęk. Jakże ja mogę wyjaśnić okrutny los jej ojca - tej biednej dziewczynie z sali numer 8, teraz przede mną mruczającej coś bezgłośnie przez nos i zrywającej cienką suchą skórkę na wargach. W każdym razie nie jestem w tej przymusowej sytuacji, w której muszę kontaktować ją z wicedyrektorem, teraz już Koniem, po prostu nie ma żadnych powodów, żebym musiał coś takiego robić.

Koń zwymyślał mnie za to, że opóźniam sporządzanie notatek i że działam na zwłokę. To chyba oczywiste. Nie mam powodu, żeby pisać o takich wariackich sprawach po to tylko, aby w ten sposób nie zepsuć im humoru. Pewnie myślą, że mógłbym zapewnić alibi Koniowi, ale czy ja mogę coś takiego zrobić? Nawet ja nie przyszedłem tu z pustymi rękami.

Może trudno w to uwierzyć, ale teraz - jak mi się wydaje - doszedłem już do miejsca znajdującego się o krok od przejęcia w swe ręce władzy w całym szpitalu. Oto



rano następnego dnia po wypadku zabójstwa zostało zwołane posiedzenie Rady Nadzorczej, w czasie którego bez własnej woli zostałem mianowany kierownikiem straży. Oficjalnie jeszcze nie przyjąłem nominacji, ale sekretarka bez mojej zgody przywróciła trzy czarne paski na moim białym płaszczu, więc wszyscy myślą, że to już postanowione, a ja nic na to nie mogę poradzić. System podsłuchu tak się rozrósł, że trudno było nad nim panować; ustawicznie, bez odpoczynku wchłaniał informacje, i chociaż już nikt nim nie kierował, to jednak sam fakt możliwości istnienia kierującej osoby budził lęk i wymuszał uległość. Zwłaszcza wśród pacjentów wzbudzał chyba masochistyczne poczucie ulgi. Jednak są też inne reakcje - niektóre osoby zwracają się ku niewidocznym mikrofonom i wygłaszają długie, szkalujące siebie wyznania; a są też tacy, którzy nawet w ruchu przez własne stacje radiowe nagłaśniają wszelkie odgłosy, jakie wydają, jak na przykład wydalania czy publicznie wykpiwanej masturbacji. W ciągu trzech dni, gdy przesłuchiwałem nagrania, zapoznałem się z setkami takich stałych klientów, mężczyzn i kobiet.

Nie mogę powiedzieć, że już wiem, jak posługiwać się władzą. Ale gdybym tylko chciał ją wykorzystać, mógłbym od razu rzucić cały szpital do stóp. Mój poprzednik chyba nie rozumiał tego, ale nawet bez specjalnych działań władza jest władzą. Teraz każdy stara się czytać w mojej twarzy, a ja po prostu odwracam głowę. Odtąd nawet z wyprzedzeniem przynoszą mi projekt obrad Rady Nadzorczej. Nie ma też końca donosicielom czy pismom błagalnym.

Dziś również w czasie przerwy obiadowej przy wejściu do stołówki od jednego z "kolektorów" otrzymałem ręcznie napisaną ulotkę. Kolektor to taki szpieg, który nosi na plecach odbiornik hi-fi i wychwytuje fale radiowe wypadające z systemu podsłuchu. Zapanowała bowiem moda na aparaty podsłuchowe zakładane pod okapami domów, pod łózkami, na dnie kosmetyczek, w obcasach sandałów, w rękojeściach parasoli itp., dlatego można uważać, że na całym terenie rozstawiono je dość równomiernie, ale mimo to w zależności od położenia czy kierunku część z nich wypadła z sieci systemu kontrolnego, skoncentrowanego w pokoju strażników, zwłaszcza z podziemnych pokoi pod żelbetonowymi murami z małą liczbą otworów, albo spoza specjalnych magazynów otoczonych cynkową blachą. Takie miejsca są dla kolektorów terenami udanych łowów. Nawet zmarły kierownik - przed przyjęciem do współpracy inżyniera z Instytutu Psycholingwistyki - był jednym z tych zwykłych kolektorów. Od momentu rozpoczęcia prób podpisano umowy z czterema

czy pięcioma sprawnymi kolektorami, potem przyjmowano zgłoszenia na taśmy z nagraniami.

Chociaż prawie każdy po kryjomu przysłuchuje się czyimś rozmowom, dlaczego jednak tylko oni są traktowani jak donosiciele i są znienawidzeni? Być może dlatego, że czynią to dla władzy.

W treści ulotki nie ma nic specjalnego. W górnej połowie kartki jest rysunek wykonany kropkowaną linią. Oto w czarnej kuli jest kilka dziur, a w każdej dziurce tkwi głowa człowieka. Działa tu chyba jakaś siła odśrodkowa, ponieważ wszystkie ciała unoszą się na zewnątrz promieniście. Przedstawieni są w codziennych sytuacjach. Są ludzie biegnący, siedzący na sedesach, namiętnie robiący koronki lub też spółkujący z sąsiadami... Cała rzecz wygląda tak, jak mina ziemna starego typu lub jak zbiór ludzi mających wspólną, ogromną głowę. W dolnej części zwisa zdanie, chyba to jakiś slogan. "W istocie każdy jest samotny. Czy boisz się zdrowia? Czy nie potrafisz powiedzieć »zwolniony ze szpitala« bez przyciszenia głosu? Dawniej witano je bukietami kwiatów. Zwolniony ze szpitala. No, spróbuj zdecydowanie krzyknąć. Szybko zdrowiejmy i opuśćmy szpital! Liga Popierania Zwolnień ze Szpitala".

Mogę się mylić, ale nietrudno wyobrazić sobie, w jaki sposób wynagrodziła tych pięciu zabijaków, ogolonych do łysa morderców kierownika straży.

Od tego czasu jeszcze się nie pokazała, a potem gdy się zjawiała następnego ranka, a właściwie było to blisko południa, w jednej ręce trzymała kopertę, która zawierała skrócony akt nominacyjny, książeczkę bankową i pieczęć, jej powieki i nos były wyraźnie przybielone, choć tryumfujące. Natomiast cera wyglądała jakoś szaro. Poza tym, nie wiem, może to tylko złudzenie, ale jej biodra jakby się obniżyły, zmienił się nawet jej sposób chodzenia, stał się jakiś powłóczysty. Puściłem wtedy wodze fantazji. Jeśli kobieta nie przyzwyczajona poszła do łóżka po kolei z pięcioma młodymi mężczyznami, mogło to mieć wpływ również na sposób chodzenia. Jeśli słusznie przypuszczałem, to oznaczało, że ta kobieta miała nieograniczone możliwości wynagradzania. Tak, dosyć niebezpieczny ładunek wybuchowy krążył wokół mnie.

Poczekam aż się ściemni i odejdę stąd, chyba lepiej zrobię, jeśli zostawię notatnik, ściany i sufit są popękane, wszędzie można go schować. Mógłbym narysować plan i wskazać miejsce, w którym się ukrywam, a następnie włożyć do koperty z listem i wysłać do kogoś godnego zaufania...

(Dziewczyna się obudziła. Podniosłem oparcie pod plecy w wózku. Zmiana w wyglądzie jej ciała jest już wyraźna, wydaje się, że wygląda lepiej, gdy zachowuje dziewczęcość i krągłość kształtów. Kiedy podałem jej basen, zarzuciła mi ręce na ramiona. Jej włosy pachniały świeżo ugotowanym zielonym groszkiem. Zjedliśmy po bananie i napiliśmy się gorącej wody z termosu. Na moim zegarku była 2.46. Ale wyjąca syrena chyba ogłaszała trzecią. Orkiestra zamilkła, a po chwili znów zaczęła grać. Dźwięki nieregularnie odbijały się w podziemnych krętych korytarzach, więc nie mogłem zrozumieć, co grają).

No dobrze, zobaczymy dokąd zaszedłem. Ach tak, jestem w momencie, w którym Koń akurat wepchnął do ust ostatnią kostkę *sushi*.

- Tak, teraz ona ma oko na ciebie. Powiedziała mi, że wyobrażała sobie, jak się onanizujesz, i okazało się, że jesteś jedynym mężczyzną, którego się nie brzydzi.

- A co to ma wspólnego ze mną?

Resztką piwa Koń popił ostatnią kostkę *sushi* i mokrą serwetką głośno uderzył się po brzuchu.

- Stymulowanie mięśni brzucha rozjaśnia w głowie.

Następnie wziął z nowej półki przygotowaną wcześniej kasetę i włożył do dużego, chyba bardzo drogiego, stereofonicznego magnetofonu.

- Och, przestań. Nie mam na to ochoty.

Przez chwilę Koń wydał się zaskoczony, a następnie zakrył dłonią usta i czekał długo i głośno.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. To kopia części początkowej tamtej pierwszej taśmy. Jest to miejsce, w którym ów złodziej pigulek i twoja żona się spotkali... Oczywiście, zakładając, że coś takiego miało miejsce... Może jednak jeszcze raz wsłuchamy się w każdy dźwięk po kolei i ponownie wszystko przemyślimy.

Włączył. Usłyszeliśmy jakiś powtarzający się hałas w tle... zbliżające się kroki, chyba stóp w sandałach na gumowej podeszwie... kroki nagle stały się wyraźne... znika hałas w tle.

- Co sądzisz o tej zmianie jakości dźwięku? Jest takie zjawisko... Gdy pracuje automatyczny mechanizm kontroli poziomu, o, słuchaj, milknie głos znajdujący się blisko mikrofonu, a wtedy odległe dźwięki wchodzą lepiej, czy nie mam racji?

- Wygląda na to, że tak.

- Mikrofon, który wychwytuje te głosy, znajduje się w aptece, a co więcej, jest w tylnej części półki, na której trzymano te pigułki.

- Co tam się działo?

- To chyba wymiana leków. W każdym razie jest za blisko tego superczułego mikrofonu, więc powstają szумы.

- Sądysz, że usłyszał kroki i znieruchomiał? Tak, dlatego słychać tylko kroki. Odgłos zbliżających się kroków... zatrzymuje się... nagły ostry brzęk metalu...

- Czy to drzwi?

- Wiesz, od strony apteki można je otworzyć bez klucza.

Krótki, suchy pogłos uderzenia... następnie głucho dudnienie czegoś ciężkiego.

- Może zaatakował ją jakiś przestępca?

Koń wyłączył magnetofon i potarł się ręką po brodzie. Siwiejący zarost nabrał połysku.

- Niestety, ta możliwość jest najbardziej prawdopodobna.

- Ale musiałaby wtedy krzyczeć.

- Hm, mnie też to niepokoiło. Jednak nie mogę odrzucić takiego toku rozumowania, w którym zakładam, że oboje mogli się znać.

- Jak to wytłumaczyć, że odgłos, który słyszymy zaraz potem, przypomina upadek ciała człowieka?

- Bardzo podobny efekt można otrzymać przez zrzucenie torby z dwuwęglanem sodu czy krochmalu.

- Mam inne wyjaśnienie, równie dobre. Żona mogła wtedy chodzić i szukać kogoś, kto pożyczyłby jej dziesięć jenów na telefon. Ujrzała kogoś w aptece, najpierw odczuła ulgę, dlatego gdy przestępca otworzył powoli drzwi i zaprosił do środka...

- Możliwe, że nie przeczuwając niebezpieczeństwa weszła spokojnie i została wzięta przez zaskoczenie.

Koń zamachnął się wysoko uniesioną ręką z góry na dół, uderzył palcami o brzeg stołu i zmarszczył brwi, kubek spadł na podłogę, ale się nie rozbił. Widocznie dywan był dostatecznie gruby.

- Co do tego złodzieja pigulek, czy jeszcze nie trafiono na jakiś ślad?

- Dlaczego mnie o to pytasz? Teraz ty jesteś kierownikiem bezpieczeństwa.

- Przestań kpić sobie ze mnie. Musisz jeszcze coś wiedzieć na ten temat.

- Mam pewne przypuszczenia. Ale domysły i fakty to dwie różne rzeczy. Mówiąc o oczywistych faktach, to wiadomo tylko tyle, ile jest na tej taśmie, którą przesłuchaliśmy.

- Myślę, że poprzedni kierownik miał już pewne informacje.

- Dlaczego?

- Nie sądzisz, że to dlatego został zamordowany, żeby nie mógł nic powiedzieć?

- Możliwe, a ona zabiła dwa ptaki jednym kamieniem. To ma pewien sens.

- Będzie chyba zebranie jakiejś komisji wykonawczej albo czegoś takiego w związku z wigilią święta.

- Od tego rodzaju informacji jestem raczej daleko.

- Przecież omawiano to na posiedzeniu Rady.

- To jakieś pogłoski. Rzeczywiście, w dniu uroczystości jak zwykle wygłoszę krótkie przemówienie. Po to też zostałem Koniem. Ale nic nie wiem o tym, co będzie poprzedniego dnia. Rada podtrzymuje linię niewtrącania się do spraw organizacji obchodów przedświątecznych.

- Przecież jest to święto oficjalne. Musi być człowiek, który panuje nad całością.

- Dlatego jeśli ktoś taki rzeczywiście jest, to oczywiste, że to ty nim jesteś.

- Proszę ułatwić spotkanie z dyrektorem.

- Nie żądaj za wiele.

Deszcz padał coraz silniej. Koń zwrócił twarz do ciemnego okna, rozluźnił mięśnie pleców, połączył palce rąk za plecami. Smugi deszczu, jak języki ognia, migotały na tle szyby, a razem z nimi drgał obraz odbitej twarzy Konia.

- Kto mógł kiedykolwiek poznać cały szpital? Oczywiście, chciałbym, żeby to było możliwe. Bardzo chciałbym poznać, tak bardzo, że omal nie zwariuję. Ale trzeba mieć niemałą odwagę, żeby tylko to wypowiedzieć. A tym bardziej pytać o dyrektora... Już wiele lat nikt nie zadawał pytań o niego. Czasem późną nocą, kiedy jestem zupełnie sam, zamyślam się nad tym. Wyobrażam sobie dyrektora, który gdzieś w środku tego szpitala z niepokojem snuje myśli o mnie, a przecież mnie nie zna, ani miejsca pobytu, ani specjalizacji, nawet nazwiska...

- Teraz z większą uwagą przesłucham taśmę i sprawdzę, czy są jakieś wiadomości o uroczystościach w przeddzień rocznicy.

- Dobry pomysł. - Uspokoił się i obejrzał za siebie. - Biorąc pod uwagę pozycję, nie możesz przesłuchiwać do woli i wtykać nosa wszędzie. Bo jesteś kierownikiem wydziału bezpieczeństwa. Wszystko powinno docierać do ciebie wprost. A nawet jeśli

tak się nie dzieje, to ty musisz udawać, że tak jest i sprawić, by ludzie myśleli, że wiesz o wszystkim.

- Są jednak granice. Kimkolwiek jest ten, kto zaopiekował się czy też schwytał moją żonę, to znaczy kimkolwiek są ludzie, którzy ją przetrzymują, z pewnością przejrzą mnie, domyślą się, że udaję.

- Mogą wręcz uważać, że dałeś im milczącą zgodę.

- Też coś.

Koń wziął z kąta na półce butelkę whisky i dwie małe szklanki. Nalał do pełna, jedną podniósł do góry i zaproponował toast, wlał jej zawartość do gardła, jakby połykał pigułkę wielkości dwu centymetrów.

- Poczęstuj się również. Wody możesz chyba napić się ze szklanki po piwie. No więc spróbujmy obejrzeć notatnik.

Uznałem, że już nic nie zyskam targując się z nim dłużej.

Koń rzeczywiście dostarczył obiecanych informacji. Dzięki temu przynajmniej zniknięcie żony z poczekalni przestało być tajemnicą. Ale moje podniecenie w związku ze znalezieniem tropu było zdumiewająco wątle. Zalał mnie raczej niepokój, jak woda przedziurawioną łódź tonącą powoli, lecz pewnie. Jej kontakt ze złodziejem pigulek był raczej przypadkowy, więc na podstawowe pytanie, dlaczego przyjechała karetka, której nie wzywał, nie ma odpowiedzi. Przy tym kwestia miejsca pobytu mojej żony jakby dopiero teraz - przez tę przypadkową szczelinę - zapadła się na dno ciemności niespodziewanej jaskini.

- Po dwu nocach zaledwie do tego miejsca - powiedział złośliwie Koń przeczytawszy końcowy fragment. - Nawet nie doszedłeś do twego pokoju. Czyżby dalej było coś, o czym ci trudno jest pisać?

Nie ustępując odbiłem piłeczkę w jego stronę.

- Dalej jest pewnie coś, co bardzo chciałbyś poznać, co? Koń uśmiechnął się obojętnie i dolał sobie whisky.

- Oczywiście, dziś wieczorem będziesz dalej nad tym pracować.

- Nie wiem.

- Proszę cię. Jutro jest uroczystość, wszyscy będą zajęci.

- To nieprawda.

- Co?

- To, co mówiłeś o dostarczeniu notatnika mojej żonie.

- Dlaczego?

- To takie nonsensowne, to wszystko.

- Nie byłoby takich problemów, gdybyś lepiej współpracował z nami od początku.

Nagle ton jego głosu się zmienił. Jakby żuł całą paczkę gumy naraz, ruchy brody stały się powolne, a czubek nosa zbladł. Ten rodzaj podniecenia jest chyba zaraźliwy, ponieważ poczułem się tak, jakby iskry elektryczne przebiegły po skórze.

- Żartujesz? Za bardzo współdziałałem, teraz tego żałuję.

- Proszę cię. Jeśli ciężko ci pisać, wystarczy, że opowiesz o tym.

- O czym?

- Wiesz chyba. Przynajmniej tyle, ile chcę wiedzieć.

- Czy chodzi ci o grubość mojego penisa?

Koń nagle chwycił butelkę whisky za szyjkę i uderzył w stół.

Przedtem chyba zaboląły go palce, więc tym razem postanowił posłużyć się butelką. Nie wiem dlaczego, ale butelka nie pękła, tylko na marmurowym blacie powstała rysa w kształcie litery U. Ścisnąłem płytę i ślad zniknął.

- Ostatnio nawet na stacjach benzynowych sprzedają bardzo mocny klej do ceramiki.

- Nie możesz udawać, że nie wiesz. - Koń poruszył ramionami, odetchnął płytko i zazgrzytał zębami. - Chodzi przecież o pacjentkę z sali numer osiem. Było to w dniu, w którym dolna część ciała twego poprzednika odzyskała swe funkcje i jego nerwy z powodzeniem połączono z moimi. Miałem spotkanie i obiad z kilku osobami z oddziałów sztucznych organów i inżynierii neurologicznej, którzy zrobili wszystko, żeby mi pomóc, a więc obiad trwał dłużej niż się spodziewałem, i jak myślę, na obchód do sali osiem wyruszyłem dopiero po dziewiątej wieczorem. Łóżko było jednak puste. Stało się to w tym dniu, w którym ja odrodziłem się jako Koń. A przecież ta dziewczyna powinna była na mnie czekać. Kto ją uprowadził, wiadomo.

- Chcesz powiedzieć, że to ja jestem tym przestępcą?

- Oczywiście pierwszym podejrzanym jest twój poprzednik. Był jej ojcem i nie zachowywał się jak dobry pacjent, on nie był szczęśliwy z powodu naszych stosunków. Lecz człowieka, z którego została tylko dolna połowa, nie można podejrzewać, nawet jeśli się bardzo chciało, prawda? Poza tym on ma alibi. Tego dnia większość czasu był przywiązany do końcówek moich nerwów motorycznych, przywiązany za pomocą pokrytych krzemem platynowych drutów.

- Mówisz o stosunkach, a przecież dziewczyna ma zaledwie trzynaście lat.

- W twoich słowach jest coś podejrzanego.
- Jeśli mnie podejrzewasz, to dlaczego wtedy jasno tego nie powiedziałaś? To głupota. Zmuszać mnie, żebym tracił czas na przygotowanie tego sprawozdania z poszukiwań.
- Po prostu nie wierzyłem na sto procent, miałem wątpliwości.
- Niestety, ale już pójdę.
- Nie, nie możesz. Bo nie ma najmniejszej wątpliwości, że ty jesteś tym przestępcą.
- Masz jakiś dowód na to?
- Mam, pewny. - Koń uderzył notatnikiem o stół, ale uczynił to z pewnym umiarem. - Zobaczymy, wszystko jest tu napisane.
- A skądże.
- W obu notatnikach zawsze podawałeś miejsce, w którym pisałeś. To tani chwyt. Dziś, gdy zadzwoniłem, aby powiedzieć, że idę do ciebie, akurat byłeś w pokoju, więc musiałeś już tam zostać. Ale ty nawet nocą gdzieś się włóczyłeś. Ja i sekretarka wciąż cię szukaliśmy, nie próbuj więc mnie zwodzić.
- Jednak nie udało się wam mnie śledzić?
- Zaskoczyłeś nas, bo tak szybko chodzisz.
- Czy panu doktorowi zamówić parę takich butów do skakania?
- Poddaję się. Proszę cię, ona potrzebuje troskliwej opieki medycznej. Minęły już trzy dni.
- Nie, zaledwie dwa pełne dni.
- Ona cierpi na chorobę zwaną osteolizą, to okropna choroba, kości się rozpuszczają, zamieniają w płyn. Wystarczy trochę zaniedbać leczenie, a pod działaniem ciężaru zaczną się zmniejszać. Będziesz odpowiedzialny za okropne zniekształcenia jej ciała. Proszę cię, błagam. Tyle starań, żeby zostać koniem, i wszystko pójdzie na marne.
- Nie dam się nabrać na twój płacz, zresztą nie pasuje do ciebie.
- Podczas porannego testu mój penis zachował się wspaniale. Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć, w każdym razie w obwodzie miał siedem centymetrów, a długość dziewiętnaście. Nawet asystującym pielęgniarkom zatkało dech.
- Przecież nie brak ci partnerek, masz żonę, sekretarkę, a teraz nawet pielęgniarki.



- Masz brudne myśli. I nic z tego nie rozumiesz. Nie wiesz, jak bardzo droga jest mi ta dziewczyna.

- Przecież ty nic nie robisz, patrzysz tylko, jak się masturbuje.

- Słuchaj, ja nie mówię o członku ani waginie. Gdyby chodziło tylko o masturbację, to mógłbym oglądać to podczas striptizu. Dla mnie to problem filozoficzny. "Dobry lekarz dobrym pacjentem". Czy tego nie rozumiesz?

- Myślałem, że chodzi ci tylko o członek.

- Każdy lekarz jest skazany na swego rodzaju zwężenie duchowego pola widzenia - zaczął mówić szybko, pospiesznie, jak pająk zbliżający się do ukończenia pajęczyny. Ale wydało mi się, że między słowami, które wypowiadał, a tym, co myślał, zachodziła niezgodność. - Człowiekowi rannemu potrzebne jest nie tyle współczucie z powodu bólu, co zatamowanie krwawienia, dezynfekcja czy zaszycie rany. Uważa się, że rannego należy traktować nie jako kogoś z raną, lecz jako ludzką ranę. Lekarza przyzwyczajonego do takich stosunków nic tak nie gniewa, jak oglądanie pacjenta z ludzką twarzą. Pacjenci, którzy starają się lekarza nie rozgniewać, robią wszystko, żeby nie sprawiać ludzkiego wrażenia. Lekarz jest osamotniony, z tego powodu irytuje się i tym bardziej oddala od człowieka. Myślę, że nie będzie przesady, jeśli powiem, że tego rodzaju uprzedzenie do pacjentów jest warunkiem zostania wybitnym lekarzem. To paradoks, ale właśnie ta samotność jest najbardziej ludzką cechą lekarza. Tylko człowiek odwrócił się od zasady, zgodnie z którą przeżywają tylko najlepsi i najsilniejsi, zaopiekował się słabymi i chorymi i zagwarantował im prawo do przetrwania. Tak więc bohaterowie umierają, słabeusze żyją długo. I w istocie miarą cywilizacji jest procent tych nieodpowiednich ludzi w społeczeństwie. Podobno jest nawet taki politolog (anonim), który współczesność nazwał "epoką pacjentów, przez pacjentów, dla pacjentów". Więc ludzie nie powinni chodzić i skarżyć się mówiąc, że są to chore czasy. Innymi słowy, samotność lekarzy jest prawem przysługującym pacjentom. Ale jeśli lekarz chce uciec od samotności, nie ma innego wyjścia, jak zostać pacjentem i prowadzić podwójne życie. Taką postawę przyjmują cały czas. Dlatego nigdy naprawdę nie martwiłem się szczególnie tym, że jestem impotentem. Nie kłamię. A nawet jeśli o tym pomyślę, że jestem impotentem, to raczej cieszę się, ponieważ impotencja jest oznaką przybliżenia się do pacjentów.

- Jak możesz coś takiego mówić? To przecież - nie pamiętam kiedy to było - ty mówiłeś, że pacjent wraz z upływem lat pobytu w szpitalu odczuwa coraz większy głód seksualny. Ta tendencja narasta.

- Właśnie o tym chcę ci powiedzieć. Na pewno wraz ze wzrostem liczby aparatów podsłuchowych ta tendencja stała się faktem. Wśród prawdziwych pacjentów nie ma podobno impotentów. Zresztą impotencja nie jest nawet zaliczana do chorób. Ale dlaczego? Możliwe, że ma to związek ze strukturą społeczności chorych. W więzieniach i koszarach szczerze i brudne rozmowy są kluczem do kontaktów towarzyskich. A w nieoficjalnych zakulisowych transakcjach handlowych dobre efekty dają sex-party. Znużone sobą małżeństwa mogą przezwyciężyć kryzys pobierając opłaty za wstęp do sypialni. To są sposoby na wykorzystywanie seksu do rekonstrukcji stosunków międzyludzkich. Oczywiście, społeczeństwo chorych niewątpliwie różni się od społeczności więziennej czy koszarowej. Lecz gdzieś w strukturze tego społeczeństwa musi być ukryta tajemnica ulżenia centralnemu obciążeniu stosunków międzyludzkich. Co to jest pacjent? Co w ogóle składa się na istotę pacjenta? Nagle zrozumiałem. Przynajmniej ta dziewczyna pozwala mi zapomnieć o mojej impotencji. Otwiera drzwi do klatki, jaką jest zawód lekarza, i zaprasza na terytorium pacjentów. Dzieje się tak dlatego, że na pewno ona ma ducha doskonałego pacjenta. Ducha o takiej gęstości, że może się nim podzielić ze mną. Chcę za wszelką cenę zrozumieć jej serce. Przynajmniej spróbuję zrobić wysiłek, aby mój duch upodobił się do jej ducha.

- Przykro mi, ale nie ma ani odrobiny podobieństwa.

- Idealny pacjent... pacjent wśród pacjentów... dni spędzone we śnie w sąsiedztwie śmierci... pasożytujące wino przerosło drzewo-gospodarza... deformacja personifikowana... i Człowiek-Koń.

- Czy ty nie rozumiesz? Przecież ten dodatkowy penis należał do ojca tej dziewczyny!

- Ach, niestety, muszę cię rozczarować, przecież stosunków nie utrzymuje się tylko za pomocą genitaliów, a raczej - ośrodka stosunków międzyludzkich.

- Cokolwiek to znaczy, to i tak wiadomo, że mówisz to, co jest wygodne dla ciebie.

- Oczywiście, że genitalia pełnią funkcję wywoływania pożądań. Pewien amerykański lekarz o nazwisku Brash, czy coś w tym rodzaju, odkrył, że uczucie wywołane przez tarcie genitaliów jest podobne do swędzenia. A mianowicie swędzenie powstaje wokół tego miejsca, w którym jakiś rodzaj obcej fizjologicznie materii zaczyna osiadać lub też się akumuluje, wtedy za pomocą tarcia (innymi słowy drapania) rozprasza się tę obcą materię. Najpierw organ czucia w skórze, który

otrzymał impuls od tej obcej materii, obudowuje to miejsce, tworzy substancję ATC (o ile mnie pamięć nie myli), następnie posyła do mózgu, który wywołuje uczucie swędzenia. Z kolei to uczucie wyzwala chęć drapania. I znowu w wypadku impulsów seksualnych również substancja podobna do ATC osiada na błonie śluzowej genitaliów. Lecz ta sprawa nie jest tak prosta jak w wypadku swędzenia, ponieważ rodzi się również uczucie niezbyt jasne, które można nazwać gorączką lub nawet ostrym bólem. Można więc powiedzieć, że warunki podyktowane przez mózg mają tu duże znaczenie. Dopóki warunki powściągliwości nie zostaną usunięte, ani gorączka ani ostry ból nie może być pomostem do konkretnego stosunku płciowego. Innymi słowy, dopóki centralny ośrodek stosunków międzyludzkich, który gra tu rolę strażnicy, nie da przyzwolenia na włączenie mechanizmu ruchu, niemożliwe jest wejście w odpowiedni stan umysłu.

- Jeśli tak bardzo chcesz to robić, to dlaczego po prostu nie wysadzisz w powietrze tej strażnicy?

- Słuchaj, muszę ci przypomnieć, że to ty zabrałeś mi tę dziewczynę, a ja nic ci nie zabrałem, nie zapominaj o tym.

- To wszystko jedno. Przecież szpital mi zabrał...

- Jeśli chodzi o żonę, to o ile wiem, ona sama wystąpiła z prośbą.

- O co?

- O udział w zawodach orgastycznych w przeddzień jubileuszu. No tak. Gdy się o tym pomyśli, to wszystko się wyjaśnia. Podobno dość szeroko reklamowano ten konkurs. Musiała też wcześniej dogadać się ze złodziejem pigulek, nie mam racji? Mimo to niezłe to wymyślono, żeby posłużyć się karetką pogotowia; możliwe, że wszystkim pokierował ktoś, kto dobrze znał stosunki panujące w szpitalu.

- Przykro mi, ale oboje byliśmy w wyjątkowo dobrym stanie zdrowia, nic nam nie brakowało. Nie mieliśmy żadnych związków ze szpitalami.

- Granica między szpitalem a światem zewnętrznym nie jest tak sztywna jak sobie wyobrażasz. Zastanawiam się, jeśli twoja żona zgłosiła się na ochotnika, to nawet gdy wytropimy jej miejsce pobytu, mogą być kłopoty.

- A co z tą dziewczyną z sali numer 8? Jeśli ona zbiegła z pokoju z własnej woli, to nawet jeśli znajdziesz jej miejsce pobytu, tu też mogą być kłopoty.

- Muszę cię uprzedzić, że ja nie znam miejsca pobytu twojej żony.

- Muszę również cię uprzedzić, że ja też nie mam pojęcia o miejscu pobytu tej dziewczyny.

I ja, i Koń byliśmy głęboko urażeni. On stał cały czas, a ja cały czas siedziałem na krześle. Nawet nie starając się ukryć przyspieszonego oddechu uważnie wpatrywał się we mnie. Ja pierwszy odwróciłem wzrok. Odwróciłem, ponieważ bałem się, że wypadnie mi soczewka kontaktowa, a nie z jakichkolwiek innych powodów.

- Dlaczego tak sterczysz cały czas? Zasłaniasz mi widok.

Koń poluzował pasek, rozpiął zamek błyskawiczny, opuścił spodnie do kolan i podniósł koszulę. Obnażył czarny gorset z syntetycznej gumy grubości pięciu milimetrów, okrywający go od żeber do połowy ud. Na powierzchni gorsetu biegła skomplikowane splątana wiązka różnokolorowych kabli, a w miejscach połączeń znajdowały się elektrody pokryte złotą miką. W kroczu dostrzegłem szczelinę podobną do pionowego otworu w skrzynce na listy; w tym miejscu wśród włosów łonowych jak metalowa szczotka zwisał bezsilnie penis przypominający jakiś spleśniały surowiec do potrawy chińskiej.

- Widzisz, jest do niczego.

- Widzę, podciągnij spodnie.

Kiedy w gorsecie dopasował pas z czujnikami mikrokomputerowymi do wycięć i w ten sposób połączył się z zapasową dolną częścią ciała, wyposażoną w urządzenie służące podtrzymywaniu życia (rzecz przenośna, można ją odłączyć od głównego mechanizmu, działa przez sześć godzin), i tylko dzięki temu stało się możliwe połączenie przekazujące wrażenia zmysłowe. Gorset raz na trzy dni jest myty na oddziale sztucznych narządów, poza tym nie wolno go samodzielnie zdejmować, trzeba też stać albo leżeć. Gdybym kiedyś poczuł się dostatecznie wspaniałomyślny wobec niego, mógłbym mu przebaczyć (chyba nadziei na to nie ma), chciałbym wtedy zaprojektować mu takie krzesło, na którym mógłby wypoczywać na stojąco.

Podciągając spodnie Koń mówił:

- Dobrze, skoro śmiesz tak twierdzić, to zgodnie z obietnicą może jednak poddasz się testowi wykrywaczem kłamstwa?

- Dobrze, nie mam nic przeciwko temu.

Prawdę mówiąc teraz martwiłem się o dziewczynę z pokoju numer osiem i chciałem jak najszybciej odejść stąd. Już prawie pięć godzin minęło, odkąd zostawiłem ją w podziemiu. Co prawda zaopatrzyłem w wodę i pokarm. Lecz ona na pewno się nudzi i czuje osamotniona. A przy tym istnieje obawa, że deszcz zaleje piwnice. Wiedziałem, że wokół tego budynku z polecenia sekretarki w ukryciu czuwa

kilku owych łysych i czeka na mój powrót. Nie znałem dobrze geografii tych okolic i nie miałem pewności, czy będę w stanie ich zgubić. Na szczęście samotna żona Konia, specjalistka od wykrywania kłamstw, mieszkała teraz w domu obok Instytutu Psycholingwistyki. Urządzenie do wykrywania kłamstw znajdowało się w tym samym instytucie, test musiałby więc być przeprowadzony u niej. Instytut znajdował się w kwadratowym białym budynku, stojącym na wschód od głównego podwórka za szosą i za cmentarzem szpitalnym. Nie miał okien z powodu konieczności izolacji od dźwięków i światła, w ogóle od świata zewnętrznego, tak został zaprojektowany, żeby wejście do niego znajdowało się w podziemiu. Stamtąd będę chyba mógł wyjść i wykorzystać ukształtowanie terenu na cmentarzu, żeby zgubić każdego prześladowcę. Oczywiście, wcale nie myślałem poważnie o poddaniu się testowi. Zamierzałem znaleźć odpowiednią wymówkę i pozbyć się Konia, potem uwieść jego żonę i poprosić ją o odwołanie lub przełożenie testu.

Dotąd chyba poważnie się myliłem, jeśli chodzi o żonę wicedyrektora. W końcu myślałem, że jest dostatecznie inteligentna, żeby nagle zyskać kwalifikacje naukowca, awansować wprost z pozycji maszynistki i zwykłej pacjentki tylko dzięki jednemu artykułowi pt. "Logika kłamstwa: przystosowanie się do struktury przez rywalizację". Wiedząc, że była dostatecznie skoncentrowana na sobie, żeby zostawić swego męża z powodu jego impotencji, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest kobietą podobną do ubranego manekina w kształcie trójkąta równobocznego.

Gdy ją zobaczyłem, całkowicie zmieniłem wyobrażenia o niej. Z wyjątkiem pewnej przebiegłości, dowcipu i zdecydowania widocznych w zarysie nosa i górnej wargi, sprawiała sympatyczne wrażenie; jej podskórna tkanka tłuszczowa była rozproszona w doskonałej proporcji po całym ciele. Miała oczy smutne i ciężkie jak dojrzałe winogrona, głos miękki i stonowany oddechem, a kołnierzyk białego płaszcza wciąż sztywny i świeży mimo popołudniowej pory, jakby krochmal się w nim jeszcze trzymał.

Zmieniłem więc swój plan i w zasadzie postanowiłem poddać się testowi. Teraz myślę, że wtedy ona aż dyszała z pragnienia normalności jak z braku powietrza pod wodą. Nie była to jedynie reakcja na nienormalność Konia czy też tego wszystkiego, co go tu otaczało. Ufność w niezawodność mojego wewnętrznego zwierciadła zaczęła się chwiać.

Kiedy wreszcie przystąpi do niebezpiecznych pytań, nie będzie miał innego wyjścia jak tylko odmówić odpowiedzi.

Przyjęła mnie tak serdecznie, jak się spodziewałem. Powiedziała mi o powodach separacji z mężem. Od dnia ślubu przyjęli dziwaczne ustalenia, że będą potwierdzać swe rozmowy za pomocą wykrywacza kłamstw. To postanowienie nie wynikało z zazdrości czy podejrzeń wzajemnych. Był to ich wolny wybór mający tylko potwierdzać szczerą, naiwną miłość. Starali się po prostu wyeliminować sztukę okłamywania się nie po to, żeby się oskarżać, lecz raczej żeby wybaczać.

Rezultat okazał się odwrotny od oczekiwań. Z upływem dni zmalało napięcie między nimi, w końcu pozostała pustka, jak na nie wywołanym filmie.

- Nie o to chodzi, że coś się szczególnie zmieniło. Można powiedzieć, że to, co pozostało, przypominało żarówkę bez prądu. A wykrywacz kłamstwa miał chyba działanie uboczne w postaci efektu zmrzającego. I jeśli prawda jest przodem, to kłamstwo okazuje się tyłem rzeczy. W końcu zaczęłam myśleć o wszystkim w kategoriach przodu i tyłu.

- To brzmi ponuro.

- Nawet komputery myślą w kategoriach binarnych. *yes* lub *no*. Miałoby to jakiś sens, gdyby przyjąć, że nie ma sprzeczności między uczuciem a rozumem. Co więc pozostałoby człowiekowi, gdyby zabrać mu tę sprzeczność. Gdyby zniknęło kłamstwo i prawda...

- Byłoby bardzo logicznie.

- Tego u siebie najbardziej nie lubię.

Między małżonkami, którzy stracili potrzebę dialogu, zniknął też magnetyzm. Nic już ich nie łączyło, ani nie rozdzielało; pozostały tylko wysuszone serca, jak sztywne odwłoki martwych owadów. Wicedyrektor popadł w straszną impotencję, dlatego dyrektor Instytutu Psycholingwistycznego przepisał im separację.

- Więc twój artykuł "Logika kłamstwa" oparty jest na własnych przeżyciach?

- Czytałeś?

- Za trudne jak na moją głowę.

- Na przykład są społeczne kłamstwa, takie jak ogłoszenie, że dwoje ludzi rozpoczyna stosunki seksualne; posługują się wtedy nazwą "ślubu" albo nazywają "miesiącem miodowym" okresowe odsunięcie się od świata po to, żeby oddawać się tylko seksowi.

Wraz z tymi nazwami znika uczucie nieprzyzwoitości, prawda? Gdy akt płciowy staje się rytuałem, centralny ośrodek stosunków międzyludzkich może się uspokoić i wydać odpowiednie zezwolenie.

- Dziś już drugi raz usłyszałem nazwę "centralny ośrodek stosunków międzyludzkich"

- Chcesz powiedzieć, że gdybyś usłyszał trzeci raz, zaszkodziłoby to sercu? - Roześmiała się i skończyła ustawiać maszynę do pracy. - Czy mogę zaczynać?

- Proszę.

Zacząła zadawać cały szereg prostych monottonnych pytań: Czy lubisz psy?... Czy teraz jest ranek?... Czy jadłeś kiedykolwiek pomidory?... Czy zęby czyścisz przed umyciem twarzy?... Czy dzisiaj miałeś kolorowe sny?

I dopiero teraz zadała cios.

- Czy chcesz się ze mną przespać? - Gdy nie mogłem nic odpowiedzieć, żona wicedyrektora patrzyła na wykres na rolce papieru, zagryzła dolną wargę białymi zębami i roześmiała się. - O, widzisz, skłamałeś!

- Jeszcze nic nie odpowiedziałem.

- Cokolwiek powiesz, będzie kłamstwem.

- To nie jest w porządku.

- Jednak cudzołóstwo jest największym wrogiem centralnego ośrodka stosunków międzyludzkich.

- No to zapytaj mnie jeszcze raz.

- Czy chcesz przespać się ze mną?

- Tak.

- To dziwne.

- Wyszło, że mówię prawdę...

- Może źle pracuje twój centralny ośrodek... A może wykrywacz kłamstwa pełni rolę rytualizacji.

- Zadasz może w końcu ostatnie pytanie?

Lecz zamiast pytać, przekreśliła wyłącznik i zaczęła zdejmować ze mnie elektrody.

- Przecież i tak nie miałeś zamiaru odpowiadać na nie - powiedziała ze ściśniętym gardłem, jakby rozmawiała z kimś innym, bardzo odległym. Pomyślał, że jest świadoma podsłuchu. Testowanie przerwała niekoniecznie ze względu na mnie, ale żeby wyrazić swego rodzaju deklarację skierowaną do wicedyrektora, który został

Koniem, wyleczył się z impotencji i powinien już do niej wrócić. Z pewnością gdy wyobraziłem sobie scenę stosunku płciowego między nią a Koniem posługującym się zastępczym penisem, wydało mi się, że ich seks jest bardziej nieprzyzwoity niż jakkolwiek inny. I nie wiem, dlaczego tylko w tej sytuacji słowo "nieprzyzwoity" miało sens pozytywny jako zarówno "przyjemny" i "dojrzały".

- Czy nadal chcesz się ze mną przespać?

Nie wiem dlaczego, ale tym razem nie mogłem odpowiedzieć. Pewnie wraz ze zdjęciem elektrod skończył się rytuał. Nie czekając na odpowiedź wstydliwie powiedziała, że chciałaby mieć moje zdjęcie, i sfotografowała mnie cztery czy pięć razy za pomocą pola-roidu z różnych stron, gdy byłem jeszcze w samych szortach. Gdy wyobraziłem ją sobie, jak nocą w samotności wpatruje się w te zdjęcia, zrobiło mi się trochę smutno. To zbyt niesprawiedliwe, żeby tak dorodne ciało miało pozostawać samotne. Nie wiadomo dlaczego wydało mi się również, że to do niej pasuje.

Z żalem odprowadziłem ją do mieszkania, następnie wróciłem na ulicę przed cmentarzem. W słabym świetle nielicznych latarni mokra prosta linia szosy asfaltowej wyglądała tak czarno, jak stojąca woda w kanale. Nic nie mogło być od niej czarniejsze, dlatego nawet czarne kociątko przebiegające przez jezdnię odróżniło by się jaśniejszą barwą. Powoli przeszedłem na stronę cmentarza, przelazłem przez betonowy murek sięgający do ramion i patrzyłem uważnie przez gęste gałęzie wiśni. Jak tego się spodziewałem, jakieś trzy sekundy później drogę przebiegło pięć ludzkich cieni. Czy byli to ci sami, którzy załatwili mojego poprzednika, czy też piątka była ulubioną liczbą sekretarki?

Przez chwilę szedłem starając się zwrócić na siebie uwagę prześladowców, kopałem kamyczki leżące pod nogami, to znów szeleściłem gałęziami krzewów. I nagle zerwałem się do biegu. Owszem, biegłem, ale nie drogą. Przyjąłem taktykę biegu z przeszkodami, przeskakiwałem nagrobki kierując się prosto przed siebie i nie zwracając uwagi na drogę. Na szczęście przy tej pogodzie nie miałem obawy, że zderzę się z jakąś parą, która umówiła się tu na schadzke. Deszcz przestał padać, a półksiężyc biegnący między popękkanymi chmurami oświetlał mokre głowy nagrobków. Każdy kamień miał tu wysokość akurat odpowiednią dla skoków *jump shoes*, w normalnych tenisówkach trzeba by było wspinać się i zeskakiwać. Choćby tylko dzięki temu powstawała różnica w czasie między mną a nimi. Kamienie nagrobne ułożone były w szachownicę, jednak każdy z nich miał lekko zmieniony kierunek ustawienia.



Ponieważ droga biegła wzdłuż nagrobków, wiła się w sposób skomplikowany, jak linia w powiększonej arabesce. Ten, kto to zaprojektował, musiał bardzo nie lubić wszelkiej komunikacji między zmarłymi. Po przeskoczeniu przez jeden nagrobek nawet żywy nie potrafił zdecydować, który grób leży na linii prostej. Ponieważ dystans między mną a nimi chyba stale wzrasta, muszą więc powoli tracić poczucie kierunku, a rozpraszać i gonić się nawzajem powinni już zgubić mnie.

Wyrównałem oddech, uregulowałem sprężystość kolan, biegłem równo i szybko. Wkrótce odgłosy kroków całej piątki powinny tracić rytmiczność i oddalać się. Mimo to ich odgłos szedł za mną bez zmian, tak blisko jak przedtem. Gdziekolwiek biegłem, był jak nakładający się cień. Wydało mi się, że to tylko złudzenie i starałem się przyspieszyć. Kroki za mną również przyspieszały. Próbowałem zmienić kierunek, one też zmieniały momentalnie, jak rybki *medaka*. Musieli więc jakoś zdobyć takie same *jump shoes*. Może komuś z mojej firmy udało się je sprzedać? Chyba pozwoliłem, żeby ktoś je nam ukradł. A może sami poszli i zamówili? Ponieważ ja zajmuję się sprzedażą, wolałbym, żeby zamówienie było złożone na moje ręce. Miałem prawo do określonego procentu od utargu, a poza tym wpływało to na ocenę moich osiągnięć w pracy.

Stopniowo zacząłem tracić oddech. Widocznie domyślili się, co chciałem teraz zrobić, bo utworzyli rodzaj tyraliery i zaczęli posługiwać się taką samą metodą, jaką stosują psy goniące zająca. Wraz z każdą zmianą kierunku biegu zmieniał się mój prześladowca. Ponieważ byłem jedynym uciekającym, więc moje możliwości były ograniczone. Jednak chyba nie mieli zamiaru mnie schwytać, przyjęli taktykę przedłużania tej zabawy pościgu za zającem do czasu aż stracę cierpliwość i wbiegnę do mojej kryjówki. Co by się stało z dziewczyną z sali numer osiem, gdybym nie wrócił? Rozczarowana moją zdradą i lękająca się szczurów, zaczęłaby płakać głośno, zaczęłaby wzywać ludzi. Tylko na to czekają prześladowcy. Zbliżałem się do ślepego zaułka.

Ale chwileczkę, czyż nie jestem szefem bezpieczeństwa, noszącym trzy belki? To znaczy, że jestem ich przełożonym, chcą tego czy nie. Nie wiem, co im powiedziała sekretarka wicedyrektora, ale nie zaszkodzi, jeśli teraz wypróbuję moją władzę. Nawet jeśli się nie powiedzie, to i tak nie może być już gorzej.

Wskoczyłem na kamień grobowy (rozległ się brzęk podobny do dzwonka) i odwróciwszy się wydałem rozkaz tak głośno jak tylko mogłem.

- Stać, nie ruszać się!

Nie miałem potrzeby powtarzać. Moment i ton musiały być właściwe. Prześladowcy zamarli wtopieni w mrok, zmienili się w nieruchome cienie i zniknęli z pola widzenia. Rozległy się głosy owadów. Było to nowe doświadczenie dla mnie. Wydało mi się, że dla nich również. Kto wie, może gdyby poprzedni kierownik wiedział, jak wydawać rozkazy, nie zostałby tak łatwo i potwornie zamordowany.

Biegłem drogą w ciemności, minąłem blok szpitalny i dotarłem do ukrytego w kępach trawy miejsca po starym szpitalu. Chwilę wsłuchiwałem się w głosy owadów, upewniłem się, że już mnie nikt nie ściga i wcisnąłem się w kanał do połowy wypełniony wodą, następnie wyszedłem przez miskę klozetową. Po omacku przeszedłem korytarzem prawie zasypanym gruzami rozwalonej ściany. W końcu dobrnąłem do stalowej rury, której szukałem (wystawała z sufitu; gdy przyłożyłem do niej ucho, słyszałem odgłosy robót prowadzonych na torach kolejowych) i dopiero wtedy zapaliłem latarkę.

Przecisnąłem się przez wąską szczelinę w ruinach i szedłem jakiś czas, aż w końcu znalazłem się na dość bezpiecznym betonowym korytarzu. Za drewnianymi drzwiami na końcu korytarza znajdowała się kryjówka. Wydało mi się, że słyszę jęki cierpiącej, zapomniałem o ostrożności i zerwałem się do biegu. Gdy odgłos moich kroków nie wywołał reakcji, jakiej się obawiałem, tym bardziej się zaniepokoiłem. Pchnąłem drzwi łokciem i wpadłem do środka w momencie, gdy dziewczyna przeżywała orgazm. Udając, że tego nie zauważam, nachyliłem się i mocno chwyciłem jej ręce pracowicie poruszające się między udami. Nie byłem pewien, ale miałem wrażenie, że nie były już tak elastyczne. Może rzeczywiście nieubłagane postępuje proces przemiany jej kości w płyn? Ręce zamarły w bezruchu i dziewczyna od razu przyłgnęła do mnie z całych sił. Zaczęła szlochać i drżeć tak mocno, że trudno było ją powstrzymać.

Właśnie wróciłem ze wzgórza na terenie dawnego szpitala po lustracji miejsca, w którym mają się odbyć uroczystości w przeddzień święta jubileuszowego. Było tam więcej ludzi niż przedtem, ale nadal w zasadzie panował zupełny spokój. Czulem jednak, że coś będzie się działo, ponieważ na poboczu drogi wzdłuż parku stało kilka straganów, a przy nich rozpalano piecyki. W ten sposób przygotowywano się do rozpoczęcia sprzedaży.

Robię coś do zjedzenia z bułeczki, curry i soku jabłkowego. Żeby dziewczyna nadal nie malała, położyłem oparcie wózka poziomo i zacząłem masować jej plecy wzdłuż kręgosłupa, lecz po trzech minutach pojawiły się u niej oznaki podniecenia. Dzięki zewnętrznej antenie, którą umocowałem na wentylatorze, teraz odbiór radia był znacznie lepszy. Założyła słuchawki i zaczęła zasypiać.

Teraz mogę jeszcze trochę popisać.

Nie potrafię przekonująco wyjaśnić tego sprzecznego zachowania, a mianowicie ukrywania się razem z tą dziewczyną z sali ósmej przed wzrokiem ludzi, a jednocześnie poszukiwania żony. Chyba nie tylko ja nie pojmuję tego. Na pewno każdy by drwił sobie z takiej obłudy.

Ale, niestety, dopiero wczoraj dowiedziałem się o kontaktach mojej żony ze złodziejem pigulek. Myślę, że zdrada Konia, który dotąd udawał, że nic o tym nie wie, nie zasługuje w ogóle na uwagę. Choćby z zemsty nie mogę mu teraz zwrócić dziewczyny. Wcześniej rano zadzwoniłem do strażników i wydałem rozkaz, żeby skoncentrowali się na zbieraniu wiadomości na temat złodzieja pigulek. Tak, wydałem rozkaz. Doświadczenia ubiegłej nocy przekonały mnie o efektywności rozkazu. Od tego czasu co dwie godziny wychodziłem na ulicę i wykorzystując automat telefoniczny słuchałem raportów. Niestety, jak dotąd nie nadeszła ani jedna wiadomość budząca jakąś nadzieję.

A może to ta okropna sekretarka ingeruje i zakłóca? Wystarczy trochę pomyśleć, żeby zrozumieć, że nawet zabójstwo mojego poprzednika miało na celu nie tylko wyświadczenie przysługi wicedyrektorowi w postaci nowego ciała, zamiast uszkodzonego ciała lekarza dyżurnego, mogło raczej chodzić o zamknięcie ust kierownikowi, który coś zwąchał na temat złodzieja pigulek. Mimo różnych wątpliwości nie mogłem oprzeć się tego rodzaju podejrzaniom. Skoro tyle starań włożyła, aby mnie schwytać, to raczej wolałaby widzieć mnie martwego aniżeli puścić wolno.

Chodząc po ulicy korzystam z okazji, żeby trochę podsłuchać. Nikt zresztą nie odmawia współpracy, może dlatego, że coś znaczącego kryło się w tym białym płaszczu z trzema czarnymi belkami czy choćby w kroju tego uniformu szefa bezpieczeństwa. Lekarze, pielęgniarki, inni pracownicy, pacjenci z własnej woli starali się przekazywać mi rozmaite informacje. Ale okazywało się, że na ogół były to czyste wymysły. Albo beładne gadanie o kradzieży w ogóle, albo przypuszczenia na temat możliwości szerzenia się nowego przestępstwa związanego z pigułkami.

Na podstawie takich raportów nie mogłem podejmować żadnych konkretnych kroków, choćbym bardzo chciał. Interpretując je z dużą dozą dobrej woli, można by powiedzieć, że wykonując bezpośredni rozkaz kierownika straży nie mieli odwagi powoływać się na swoją niewiedzę. Gang złodziei pigulek działa chyba w ścisłej tajemnicy.

Nieważne w jak ścisłej tajemnicy mogą prowadzić swą działalność, ponieważ wykrycie jest tylko sprawą czasu. Gdy zostanie podniesiona kurtyna na rozpoczęcie uroczystości poprzedzającej jubileusz, nawet oni nie będą mogli się ukryć. Ponieważ przygotowali się do pokazów, więc będą musieli się pokazać, chcą czy nie. Co roku o piątej po południu wicedyrektor zwyczajowo przecina wstęgę, a werbliści biciem w specjalnie zamówione bębny ogłaszają rozpoczęcie uroczystości, więc po godzinie lub dwóch niemal automatycznie dojdzie do walki z nimi. Nawet teraz w czasie czekania sekunda po sekundzie zbliżam się do nich. Nikt już nie może zatrzymać biegu czasu.

Lecz ja od dzieciństwa nie mogłem polubić tego rodzaju festynów. Zawsze napełniały mnie złowieszczym przecuciem. Zbyt dobrze rozumiałem, że poza zewnętrznymi, widocznymi oznakami festynu *matsuri* kryło się jeszcze jedno święto, w którym uczestniczyły uparcie wpatrujące się we mnie złe duchy.

(Wypiłem buteleczkę wzmacniającego toniku i zapaliłem czwartego dzisiaj papierosa. Wyjmuję soczewki kontaktowe i ręką masuję gałki oczne. Gruczoły łzowe popiskiwały jak żabki na drzewie. Śpiąca dziewczyna oddychała cicho. Chyba za długo śpi. Mam nadzieję, że nie jest to oznaka postępowania choroby...)

Tak, było to następnego ranka po mianowaniu mnie kierownikiem bezpieczeństwa szpitala. Nie chciałem zostać oskarżony o współudział w zbrodni dlatego, że milczałem i tylko patrzyłem na śmierć poprzedniego kierownika, postanowiłem osobiście powiedzieć wicedyrektorowi, że byłem świadkiem zbrodni, chciałem po prostu od początku postawić jasno sprawę odpowiedzialności. Ale ponieważ wicedyrektor w ogóle nie pojawił się w głównym budynku szpitala, sam wybrałem się na oddział chirurgii chrząstkowej.

Ósma rano to czas, gdy wszyscy są najbardziej zajęci. Dzieci, którym pobierają krew, płaczą, pielęgniarki w niedopiętych białych płaszczach biegają z termometrami z sali do sali, pacjenci z pojemnikami moczu w rękach kręcą się po korytarzu, siostry

gospodarcze kłócą się z pacjentami o to, czy otworzyć okno, czy nie, lekarki pstrykają czubkami palców w stojące penisy młodych pacjentów.

Poszedłem prosto na drugie piętro i zapukałem do drzwi gabinetu wicedyrektora, ale mimo wywieszki "obecny" nie otrzymałem odpowiedzi. Przekręciłem gałkę, drzwi się otworzyły. W środku nie było nikogo, ale stały tu obok siebie dwa łóżka, które widziałem pierwszego dnia przez otwór w suficie z sali numer 8, leżały tam również porozrzucane w nieładzie różne urządzenia elektryczne i pomiarowe. Przy ścianie stało biurko. Miałem wrażenie, że boazeria na dole jest nieco poluzowana. To chyba tam był wycięty otwór prowadzący do sali numer 8. Zamknąłem drzwi na zasuwkę. Następnie wchodzę pod biurko i sprawdzam boazerię. Zrobiono to po amatorsku. W rogu przypięte było druciane kółko. Pociągnąłem za nie i boazeria na szerokość biurka pochyliła się do przodu. Od tej strony łatwo więc było nią manipulować, ale mogło to być nieco trudniejsze od tamtej strony.

Wpadło światło. Pochyliłem głowę i powoli wcisnąłem się do otworu. Woń starego rdzawego kurzu uderzyła w nozdrza, starałem się opanować kichanie, więc poczułem silny ból w piersiach. Nie chcąc narobić hałasu chwyciłem się obu rękami i schodziłem głową w dół szczebel po szczeblu drabiny, w końcu rozszerzonymi kolanami oparłem się o ścianę i zawisłem. Przez szparę w kurtynie z trudem mogłem zobaczyć dolną część pokoju. Leżała tam naga dziewczyna. Uda miała rozchylone, a drobnymi rączkami pocierała kolana, potrząsała głową z góry na dół i dyszała jak biegacz długodystansowy. Wicedyrektor pieścił dłonią uda, a drugą ręką przez spodnie masował swe krocze. Coś chyba mówił, ale nie mogłem go usłyszeć. W każdym razie nie był to widok, jaki chciałbym oglądać i znosić o ósmej rano.

Szybko wycofałem się z tej dziury i zacząłem głośno stąpać przy boazerii. Niewątpliwie usłyszawszy hałas wicedyrektor nie będzie mógł wykorzystać tajnego przejścia wiedząc, że ktoś tu jest i będzie zmuszony wrócić do biura od zewnątrz. A ponieważ zamknąłem na zasuwkę od środka, drzwi się nie otworzą. Minie dwadzieścia albo trzydzieści minut zanim zrezygnuje z prób wejścia do swego biura i wezwie pomoc.

Stało się, jak przewidywałem. Usłyszawszy pisk otwieranych i zamykanych drzwi do sali numer 8 poczekałem chwilę i szedłem po drabinie nogami w dół. Gdy dziewczyna mnie zobaczyła, była trochę zaskoczona. Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała wstydliwym uśmiechem ssąc palec.

- Pospieszmy się. Gdzie twoja walizka?

- Nie mam.
- Potrzebujesz jakiegoś ubrania.
- Nie mam żadnego.

Palcami stóp podniosła w górę piżamę. Nogi miała długie i zgrabne, aż trudno uwierzyć, że cierpiała na chorobę kości.

- No dobrze, włóż to.

Dziewczyna nadal leżała, lecz posłusznie zaczęła wciskać ramiona w rękawy piżamy. W tym czasie sprawdzałem szafkę przy łóżku. Dwa banany, na pół przecięta papaja, suszarka do włosów z grzebieniem, dwa długopisy, dwa czasopisma dla dziewcząt, nie skończona robótka koronkowa, skórzany portfel z dzwoneczkiem. Zatrzask portfela był zepsuty, a zawartość rozsypana po podłodze. W gotówce sześć tysięcy trzydzieści jenów, znaczek z wypisaną grupą krwi, karta rejestracyjna chorej, trzymilimetrowy złoty listek i osiemnastokaratowy złoty pierścionek z małym kamieniem niby ściętą kropelką krwi, i inne rzeczy. Rozłożyłem ręcznik, postawiłem na nim jej miedniczkę i spakowałem do niej wszystko co się dało i luźno związałem ręcznik na krzyż. W ten sposób można bagaż zarzucić na ramię i pomóc dziewczynie obu rękami.

- Możesz chodzić?

Dziewczyna siedziała na brzegu łóżka i kończyła właśnie wciągać spodnie. Przechyliła głowę na bok, wyrzuciła przed siebie ręce i ześliznęła się powoli z łóżka. Gdy nagle się wyprostowała, od razu się przechyliła i omal nie upadła. Zdążyłem podać jej ręce, lekko się chwyciła, odzyskała równowagę i roześmiała się tak radośnie, że rozbłysły jej przednie zęby. Trzymając się mojej ręki zrobiła krok do przodu wysuwając język. W fałdkach małżowiny uszu dostrzegłem zaschnięty brud.

- To tak wysoko.
- Co?
- Jakbym patrzyła przez okno z piętra.
- Chcesz powiedzieć, że przedtem nigdy nie wstawałaś i nie chodziłaś sama?
- Dawniej byłam tłusta i gruba.
- Sama nie dasz rady.
- Gdy ciało się wydłuża zbyt nagle, naciągane nerwy łatwo się męczą.

Nie mieliśmy wiele czasu. Gdyby okazało się, że jest inna droga do gabinetu kierownika na drugim piętrze poza tymi drzwiami, wicedyrektor w każdej chwili mógłby zauważyć, że zniknęły deski zasłaniające dziurę i przejrziałby nasz plan.

- Czy interkom jest włączony, czy wyłączony?

- Wyłączony.

Pakunek przerzuciłem przez głowę i umieściłem na piersi, dziewczynę wzięłem na plecy i wyszedłem na korytarz. Spodziewałem się, że mogę w ten sposób zwrócić na siebie uwagę przechodniów, ale widocznie w szpitalu wszelkie dziwactwa są normalne i nikt nie przywiązuje do nich wagi. I rzeczywiście, nikt nam się nie przyglądał podejrzliwie. Fakt, że była to ósma rano, działał na naszą korzyść.

Mimo to uznałem, że winda może być miejscem niebezpiecznym. Dziewczyna przylegała do moich pleców tak szczelnie jak guma, więc prawie nie czułem jej wagi. Biegłem po schodach ku wyjściu, chciałem przejść przez poczekalnię, lecz mimo woli zatrzymałem się. Ratował mnie instynkt. W grupce czekających na windę stała sekretarka wicedyrektora. Na pewno przyszła mnie szukać. Każdy ze stojących przy windzie wpatrywał się we wskazówki. Winda czeka gdzieś na wyładowanie bagażu. Sekretarka obcasami sandałów niecierpliwie i coraz szybciej stukała o podłogę. Co będzie, jeśli zrezygnuje z czekania i postanowi pójść schodami? Przecież jest głównym spiskowcem w zabójstwie ojca dziewczyny siedzącej teraz na moich plecach. W takich momentach oczy same automatycznie szukają drogi ucieczki i człowiek wybiera zaskakująco logiczne ruchy. Jak dotąd dzięki spiętrzonym drewnianym skrzynkom nie zauważyłem tego, dopiero teraz za skrzynkami spostrzegłem schody prowadzące na dół do podziemia.

Udało się jakoś wejść za skrzynki. Cicho stąpając zszedłem po schodach. Znalazłem się w ciemnym korytarzu, gdzie poza promieniami wpadającymi poprzez skrzynki nie było żadnego oświetlenia. Wiał zimny wiatr przesycony wonią starej, stęchłej piwnicy.

- Dokąd idziemy?

- Zobaczymy.

Chyba nie mogłem odpowiedzieć, że jesteśmy na najlepszej drodze do zblądzenia. W każdym razie zdecydowałem się iść dalej.

- Kiedy się zmęczysz, usiądziemy i zjemy po bananie.

Korytarz skręcił w lewo, robiło się coraz ciemniej. Ale gdy wzrok się przyzwyczaił, mogłem widzieć drogę pod stopami. Korytarz ciągnął się bez końca. Przywołując w pamięci zarys budynku, nie mogłem tego zrozumieć. Musiałem już wcześniej wyjść za budynek. Nie było odgałęzień ani pokoi po obu stronach. To nie korytarz, możliwe, że jest to raczej tunel prowadzący do jakiegoś innego budynku.

- Wracajmy już!
- Nie.
- Przecież zapomniałeś zabrać basen.
- Wkrótce kupię ci nowy.
- Dokąd idziemy?
- A gdzie chcesz?
- Tam gdzie jest widniej.
- Już zaraz.

Zmęczyłem się. Dosyć długo szedłem i nie wiem, gdzie jestem. Ponieważ poruszałem się wolno, więc chyba nie uszedłem zbyt daleko.

- Powiedz, gdzie twój dom?
- Przedtem był w trzecim bloku szpitalnym, póki mama nie została kołderką
- Czym została?
- Kołderką... No wiesz, czymś takim, czego używa się, gdy idzie się spać, jest watawana.
- A jak to robiła?

Dziewczyna znajdująca się wciąż na moich plecach nagle zadrżała i powiedziała głosem ledwie słyszalnym, że coś ją boli. Cały czas leżała w tej samej pozycji, a to niedobrze. Szybko zdjąłem ją z pleców, usiadłem przy ścianie, posadziłem ją sobie na kolanach i objąłem. Dziewczyna bezwolnie oparła się o mnie i potarła policzkiem o wierzch ręki, którą otoczyłem jej ramiona. Chyba nic poważnego jej się nie stało, ściany w tym kanale zbudowano z surowego betonu, były nierówne i wpijały mi się w plecy. Podłoga wilgotna, było mi źle. Ale też nie miałem ochoty wstać z miejsca i iść dalej. Ani wracać, ani też nie wiadomo było dokąd iść dalej. Miałem wrażenie, że zbłądziłem wcześniej nim znalazłem się na tej drodze prowadzącej wprost do zablądzenia.

- Czy już lepiej?
- Tak, lepiej.
- Dlaczego mama została kołderką?
- Czy nie słyszałeś o chorobie *watafuki* - porostania wata?
- Nie.
- Wtedy wyrasta wata z korzonków włosów.
- Nie chcesz powiedzieć, że jest to prawdziwa wata. To pewnie jakiś zepsuty tłuszcz czy coś takiego.



- Nie, bawełna. Sprawdzili to w laboratorium.

- To dziwactwo.

- Początkowo na wierzchu dłoni, o tu... - wzięła moją rękę, której dotykała policzkiem, i przesunęła po niej czubkami palców.

- To było w dzieciństwie, pamiętam. To było jak jakiś przerażający sen, po prostu wyłaziła, mogłeś ją zrywać, a rosło jej coraz więcej. Stopniowo na ręce powstawały duże dziury i odsłaniały kości, co prawda mówiła, że nic nie boli, ale tatuś się martwił i na próbę smarował maścią rtęciową. Ale była to bawełna, więc maść wsiąkała szybko, nie można było nadażyć. Nakładała i smarowała sobie, aż cały słoik się opróżnił. Ręce wyglądały jak czerwone rękawiczki. Pod światło dokładnie było widać kości. Następnego dnia poszła do szpitala, ale okazało się, że jest już za późno. Szyja, siedzenie, uszy, piersi pokryły się bawełną. Lekarz mówił, że należy ją szybko zebrać, zanim rozszerzy się na inne części ciała, więc z tatą zrywaliśmy codziennie tę bawełnę. Jej ręce i stopy wyglądały jak kości osłonięte zbyt luźnymi rękawicami i skarpetkami, to koszmar. W sześć miesięcy od pójścia do szpitala bawełna doszła do serca, i wtedy mama umarła, to było straszne. Bawełny zebraliśmy tyle, że wypełniła trzy pudła po piecykach naftowych, w końcu kazaliśmy zrobić z niej kłodrę. Chciałam ją zatrzymać dla siebie, ale mój głupi tata mówił, że to byłby zły znak, i oddał ją do muzeum. Na pewno liczył na jakąś nagrodę. Podobno nadal jest tam na wystawie, ale prawdę mówiąc to moja kłodra.

Gdy skończyła mówić, zmienił się jej oddech. Zapadła w sen.

Aby nie przeszkadzać jej w śnie, w ogóle się nie poruszałem, starałem się wytrwać w tej niewygodnej pozycji, oparty o twardą ścianę siedząc na wilgotnej podłodze.

Właśnie wróciłem po wykonaniu szóstego telefonu do Komendy Bezpieczeństwa. Nadal nie mieli żadnej informacji na temat złodzieja pigulek. Nic dziwnego, że byłem zaskoczony, kiedy syn właściciela kwaciarni słodkim, pieśzczotliwym głosem powiedział mi coś, czego nie mogłem raczej uznać za komplement, a mianowicie, że wicedyrektor i sekretarka martwią się o niego i chcą, żeby już jak najszybciej wrócił. Może w ten sposób złośliwie chciał dać do zrozumienia, że już dawno znaleźli moją kryjówkę?

Wracając bardzo się starałem, aby nikt mnie nie śledził, postanowiłem więc zawsze chodzić trochę inną drogą. Szedłem obok muzeum i spod Stawu Klatek (teraz

wyschniętego), gdzie podobno kiedyś hodowano zwierzęta, wszedłem do podziemi. Podziemne przejście było o wiele dłuższe i łatwo w nim zbłądzić, jeśli się nie uważa. Z tego powodu jest to trasa znacznie bezpieczniejsza. Zamierzam obrać tę samą drogę, gdy pójdę na wieczorne zabawy przedjubileuszowe, i jeśli potraktuję to jako rekonesans, czas nie pójdzie na marne.

Na tej trasie w jednym miejscu zawaliła się ściana i cegła blokowała drogę. Odsunąłem ją na bok, aby umożliwić przejazd wózka inwalidzkiego.

Z ogrodu przy muzeum można od tyłu patrzeć na plac planowanych na wieczór zabaw. Na razie nie było specjalnych oznak atmosfery świątecznej poza kilku pacjentami przyglądającymi się, jak po drugiej stronie ulicy przed fontanną posępnie ćwiczy zespół rockowy, któremu głośno wymyślał ich entuzjastyczny lider. A może wcale nie jest to tak poważna impreza jak mówią, że powinna być? Spotkałem parę staruszków ciągnących budkę wzdłuż drogi przed parkiem w kierunku bloków szpitalnych. Oboje byli podobno pacjentami - jedno z nich cierpiało na chroniczny niezbyt żołądka, a drugie na charłactwo przysadkowe (choroba Simmondasa). Z nieobecnyimi wyrazami twarzy jakby pogrążonych w śnie, który mi opowiadali w czasie przeszłym, mówili o corocznym entuzjazmie i podnieceniu, jakie wywołuje to święto. Opowiadając innym może po prostu spoglądali wstecz szukając siły w iluzjach? To dlatego nie można ufać świętowaniu *matsuri*.

Teraz prawie czwarta. Ja też chyba usnąłem. Obudził mnie głos dziewczyny.

- Co to za głosy?

- Chyba robaków.

- Na cmentarzu podobno są robaki zjadające zmarłych, to prawda.

- Przecież teraz wszystkie ciała palą.

- No tak.

Wszystko mnie bolało, zwłaszcza skrzyżowane nogi, gdy goleń wpijał się w łydkę. Spróbowałem zmienić pozycję. Dziewczyna krzyknęła i zaczęła uskarżać się wymawiając słowa jak dorosła osoba.

- Moje kości podobno powoli się rozpuszczają jak galareta. Gdy zmieniam pozycję, zmienia się chyba ciężenie i napinają się nerwy. Dlatego tak boli.

- W jakiej pozycji ci najlepiej?

- Nie sprawia mi to żadnej różnicy. Mogę przyzwycząić się od razu do każdej.

Spadły krople na rękę podtrzymującą plecy dziewczyny. Kształt jej ciała bardzo się różni od spodziewanego. Nie było dla mnie jasne, w jakiej była pozycji. Czy może cały jej szkielet przekształcił się dostosowując się do nierówności moich skrzyżowanych nóg?

- Wytrzymaj trochę, dobrze?

Przestraszony spuściłem ją z kolan i oparłem o ścianę tak ostrożnie, jakby była rozebraną, pozbawioną szkieletu lalką. Chyba uległa poważnemu zniekształceniu. Możliwe, że tylko takie odniosłem wrażenie, wyolbrzymione przez mrok.

- Bardzo się skurczyłam.

- Nie bardzo.

Trudno mi było odczytać godzinę na fosforyzującej tarczy zegarka. Dwie wskazówki nakładały się, musiało więc być między ósmą a dziewiątą. Chyba dochodziła 8.44. Myślałem, że dosyć długo spałem, a była to tylko chwilka.

Powoli, jak wygniatane między palcami masło, powróciło poczucie rzeczywistości. Nie, to musi być 8.44 wieczorem. Dziewczynę wyprowadziłem z pokoju o 8.40 rano. To niemożliwe, żeby odtąd minęły tylko cztery minuty. Miał wrażenie, że upłynęło przynajmniej pół godziny. W takim razie musiał spać przez prawie dwanaście godzin. Osłabienie fosforescencji tarczy potwierdza znaczny upływ czasu. Nic dziwnego, że ciało dziewczyny tak się zniekształciło. Wszystko bolało mnie coraz ostrzej. W pośladki powbijały się kamyki, coś ostrego wpijało mi się w zębra. Niewątpliwie dziewczyna czuła się chyba jeszcze gorzej.

- Jak myślisz, jak długo spaliśmy?

- Na pewno o wiele za długo, aż do znudzenia.

- Wczoraj prawie w ogóle nie spałem.

- Zostawiłam ci pół banana.

- Może zaprowadzę cię, żebyś zrobiła siusiu.

- Sama już zrobiłam.

Próbowałem wstać, lecz się przewróciłem. Lewa noga tak zdrętwiała, że nie czułem, gdzie ją mam. Po omacku rozścieliłem ręcznik dziewczyny, na nim położyłem biały płaszcz, potem spodnie i koszulę. Objąłem dziewczynę i położyłem ją na tym pośladku. Podłoga była równa, przynajmniej to nas ratowało.

- Poczekaj tutaj, zaraz przyjdę.

- Już chcę wracać.

- Nie możesz, dopiero co udało ci się uciec.

- Wcale nie chcę uciekać.
- Poszukam wózka dla ciebie.
- Chcę się wykąpać.
- Potem zaprowadzę cię do łazienki. Czy chcesz czegoś jeszcze? Nie możemy też zapomnieć o basenie. Jest ciemno, potrzebna też latarka.
- Jeśli nie położę się w łóżku, całe ciało mi się powykrzywia.
- Potrzebna jest kołdra.
- Jaka kołdra?
- Przydałaby się pasująca do wózka. Jaki kolor lubisz?
- Kołdrę mojej mamy.
- Czy mówisz o tej, która jest w muzeum? Ta jest na pewno spleśniała.
- Wobec tego szybko wracajmy.
- Dobrze, pójdę więc po kołdrę twojej mamy.
- Już nie, bo jest późno.
- O, dotknij, jakie bicepsy. W szkole byłem w drużynie bokserskiej.

Wierzch jej dłoni był zimny i suchy, spód gorący i mokry. Znajdowała się w stanie dużego napięcia. Pogłaskałem ją po twarzy, a następnie palcami kilkakrotnie przeczesałem jej włosy.

- Tu jest pchła.
- Zaraz wracam.

Jedną ręką dotykając ściany, drugą wyczuwając ciemność przed sobą zacząłem biec w samych majtkach.

Nie o to chodzi, że nie chcę pogodzić się z przegraną, ale po prostu uważam, że te działania, przeprowadzone bez planu, w efekcie wyszły mi na dobre. Gdybym tylko nie popełnił tego poważnego błędu i nie zasnął na blisko dwanaście godzin, sytuacja byłaby zupełnie inna.

To podziemne przejście było starym korytarzem między dawnym budynkiem szpitalnym, po którym teraz pozostały tylko fundamenty porośnięte chwastami, a skrzydłem oddziału chirurgii chrząstkowej, będącym częścią dawnego starego budynku. Suterena oddziału chirurgii miękkiej (dawniej był tu ogólny oddział chorób wewnętrznych) jest połączona z drugim piętrem starego budynku na tym samym poziomie, chyba dość często używanego.

Później zrozumiałem, że wtedy doszliśmy prawie do końca tego podziemnego korytarza. Gdybyśmy dalej szli w tym samym kierunku, po niecałych dziesięciu metrach musielibyśmy się zatrzymać i wybierać między schodami prowadzącymi na górę w lewo lub korytarzem w prawo. Nie mieliśmy jeszcze wtedy wózka inwalidzkiego, najprawdopodobniej uznalibyśmy, że większy sens ma wejście po schodach w górę, skąd padało słabe światło. Na górze korytarz skręcał w prawo i prowadził wprost ku próchniejącym drzwiom. Gdy zajrzałem przez dziurkę od klucza, nad gęstą letnią trawą ukazała się jasność błękitnego nieba, napawającego mnie poczuciem bezpieczeństwa. Pchnąłem drzwi i obaliłem je, zrobiłem krok do przodu i znalazłem się na zewnątrz. Byłbym pewnie powitany śmiechem. Po prostu znalazłbym się w betonowej klatce, schwytny bez możliwości ucieczki, a z obramowanego otworu, z góry patrzyliby na mnie "właściciele" owego śmiechu. Na wieży zegarowej starego pawilonu znajdowała się strażnica w sam raz dla moich prześladowców.

Ale minęło już dwanaście godzin, prześladowcy zapewne rozluźnili czujność. Prawdopodobnie przeszukali wszystkie zakątki pawilonów szpitalnych, dlatego stały się one chyba strefą bezpieczną; znalazłem tam szwedzki wózek najnowszego typu oraz wszystko, czego potrzebowaliśmy, poczynając od trzech rodzajów latarek (duża, średnia i mała), radia FM wysokiej klasy, aż po duży termos.

Dziewczyna była zachwycona wózkiem. Duże chromowane koła były piękne, elegancko też wyglądało siedzenie sprężynujące i pokryte czarnym skajem, uruchamiane jednym palcem hamulce okazały się bardzo wygodne, podobnie jak dźwignie do swobodnego regulowania obrotów lewego i prawego koła. A co najważniejsze wspinała, lekka rączka pozwalała precyzyjnie ustawić nachylenie oparcia nawet pod kątem 130 stopni. I z powodu tego krzesła na kółkach nie mogliśmy wybrać schodów, poszliśmy więc labiryntem pod ruinami starego budynku szpitalnego.

Słowo "labirynt" nie jest ani figurą retoryczną, ani przesadą. Pawilony zbudowane w stylu galeriowym wokół podwórek były połączone korytarzami i stanowiły trzy prostokątne skrzydła, stojące wokół jeszcze większego placu. Tworzyły one regularny trójkąt zrobiony jakby z zestawionych uli pszczelich. Była to więc struktura skomplikowana. Co więcej, ponieważ mury ceglane były tu pomieszane ze starym betonem, niektóre fragmenty zachowały dawny wygląd, podczas gdy inne rozpadły się i zostały przysypane zwałami ziemi i piasku. Gdybym nawet znał

wcześniej całą budowlę i tak trudno byłoby mi wyjaśnić, w jaki sposób tutaj dotarłem. Nawet gdybym spróbował wydostać się z tego podziemnego korytarza, zupełnie nie miałbym pewności, czy w ogóle mógłbym powrócić do punktu wyjścia.

Tego dnia najpierw sprawdziłem najkrótszą drogę prowadzącą na powierzchnię przez właz przy dawnej ubikacji, następnie badałem zakątek po zakątku, starając się znaleźć inną drogę wejścia i wyjścia. Większość tych dróg kończyła się ślepych zaułkami, musiałem więc po prostu zawracać; niezwykle rzadko zdarzały się drzwi łączące je ze światem zewnętrznym. Z wyjątkiem woni podobnej do smrodu ulegających zepsuciu wypchanych skór zwierząt, wszystko inne raczej sprzyjało idealnej kryjówce. Przy tym, ku mojemu zaskoczeniu, nie było tu nawet pcheł.

Tylko dwa razy zdarzyło się coś niepokojąco alarmującego. Następnego ranka w czasie mej nieobecności, gdy udałem się na spotkanie z Koniem w miejsce, w którym dawniej była strzelnica, po moim powrocie dziewczyna opowiedziała, że słyszała czyjeś głosy po drugiej stronie ściany, że dość podniosłym głosem ktoś krzychał na kogoś, ktoś odpowiadał zwięźle, a człowiek przy ścianie wybuchł kpiącym śmiechem i oddalił się. Czy to było możliwe? Po pierwsze, w tym pokoju nie ma czegoś takiego jak "druga strona ściany". Kilkakrotnie sprawdzałem dokładnie, dlatego z przekonaniem mogę powiedzieć, że jest to niemożliwe, z jednym wyjątkiem - tej ściany, w której są drzwi; za pozostałymi ścianami była tylko ziemia. Jeśli coś było za nimi, to tylko nory kretów. Jednak zdecydowanie twierdziła, że głos dochodził nie od strony drzwi. Ewentualnie mogę jej wierzyć. W korytarzu przy drzwiach przeciągnięte są druty potrójnego systemu alarmowego. Ale skoro słyszała, musiało to być we śnie albo słyszała dzwonienie w uszach lub granie wiatru w wentylatorze. Postanowiłem nie martwić się tym niepotrzebnie.

Drugi powód zaniepokojenia pojawił się przed chwilą. Właśnie szedłem tą najdłuższą trasą ku miejscu, w którym były klatki na zwierzęta przy muzeum. Gdy już byłem dość blisko naszej kryjówki, spostrzegłem na korytarzu leżący niedopałek papierosa. Potarło nim o coś, żeby zgasić, miał ze dwa centymetry do filtra. Naturalnie, nie było już śladu dymu ani nie był też ciepły w dotyku. Nie podobało mi się to, że jeszcze nie zwilgotniał ani nie wysechł, a biel bibułki była świeża. Oczywiście, są przykłady znajdowania mumii, które wyglądały tak dobrze, jakby były świeże, a papieros jest czymś znacznie prostszym od mumii i być może nie ma się czym tak bardzo niepokoić. Był tej samej marki co moje - Seven Starsy, to uwalniało mnie od niepokoju. Na tym można by zakończyć śledztwo pozostając z wątpliwościami w

stosunku do własnej pamięci i czynów, zresztą takie wyjaśnienie jest dla mnie łatwiejsze do zniesienia. Ale właściwie kiedy Seven Starsy weszły na rynek...

Powoli, z przerwami, jakby poszczekując, zadudniła ziemia.

Dwie minuty po piątej.

Wyjąłem plastikową torbę pęcherzykową, którą zatkałem wentylator i znów zacząłem nasłuchiwać. Niewątpliwie, były to odgłosy wielkiego bębna. Widocznie obchody rozpoczynają się zgodnie z tradycyjną. Pogłos załamywał się w podziemnym labiryncie, jak ryk morza. O tej porze Koń z wyprostowanym tułowiem przecina właśnie wstęgę, witany rzadkimi oklaskami.

Na tle wieczornego nieba, widzianego przez otwór wentylacyjny, płynące chmury wyglądały jak rozgotowane ryżowe placki. Mięiste i napęczniałe, zdawało się, że za chwilę popękają i trysną wodą.

W końcu nadszedł czas rozstania z naszą kryjówką. Chcąc zabezpieczyć notatnik przed zamknięciem wkładam go do plastikowej torby i szczelnie zaklejam taśmą celofanową. Pęknięcie w ścianie w kształcie czapki baseballowej będzie dobre na schowek. Na zewnątrz sterczał odłupany daszek, a w głębi znajdowała się kieszeń niby pieczara. Wykorzystam ją teraz na sejf i schowam w nim pieniądze, kolejowy bilet miesięczny, przekaźnik FM, który zdjąłem z nogi krzesła w pokoju numer 8.

Za pół godziny obudzę dziewczynę...

Z mego punktu widzenia byłoby najlepiej działać możliwie samodzielnie do czasu bezpiecznego wyprowadzenia stąd żony. Na razie zupełnie nie mam pojęcia, w jakim stanie znajdować się będzie żona, gdy ją odnajdę, ani też w jakich warunkach będziemy mogli się spotkać. W zasadzie wydaje się całkowicie pewne, że złodziej pigulek miał jakieś powiązania ze sprawą zniknięcia żony, ale od tego momentu, od poznania dowodów raczej ubocznych, nie zrobiłem nawet kroku na przód. Istnieje nawet możliwość, że zostałem tylko skłoniony do takiego myślenia wskutek sprytnych insynuacji Konia. A żona rzeczywiście mogła być chora i została hospitalizowana wcześniej nim z jakichś powodów zdążyła powiedzieć o tym. Z kolei patrząc na to z jej strony, to ja mogłem stać się wzorcowym przykładem człowieka, który tamtego dnia zaginął. I być może żeby mnie znaleźć przyjęła jakąś tymczasową pracę choćby w bibliotece w głównym budynku. Jednocześnie nie można zlekceważyć innej możliwości, a mianowicie utraty pamięci w następstwie pobicia przez złodzieja

pigułek. W najgorszym razie może być przetrzymywana siłą lub pozbawiona wolnej woli za pomocą leków lub hipnozy.

W każdym razie muszę podjąć nadzwyczajne kroki, odpowiednie do tych wszystkich możliwości. A gdy zajdzie potrzeba, to nawet bez wahania użyć siły. Dzięki skoczności moich butów i żelaznej dwudziestopięciocentymetrowej rurce pod pachą będę dysponować dostatecznie dużą siłą ataku. Dziewczyna nie lubi tych butów, podobno na sam widok kogokolwiek w butach do skakania kurczy się jej ciało. Na razie sama nie ćwiczyła, poza tym nie każdy, kto włoży tego rodzaju buty, może w nich skakać, po prostu trzeba urodzić się z odpowiednim refleksem.

Prowadzenie dziewczyny w wózku inwalidzkim stawia mnie jednak w niekorzystnej sytuacji. Jeśli popełnię jakiś błąd, nie unikniemy upadku.

Lecz im warunki były trudniejsze, tym mniejsze mieliśmy szansę na powrót do naszej kryjówki. Jakoś muszę się przebić i poznać drogę, żeby za wszelką cenę wyprowadzić żonę z tego szpitala. Gdybym tędy uciekał, musiałbym potem biec w dół po zboczu na północ w stronę miasta, przeciwnie niż idę teraz. Gdybym tutaj pozostawił dziewczynę i wyruszył bez niej, oznaczałoby to, że ją porzuciłem. Gdyby ona była notatnikiem, mógłbym zapomnieć o tym, że umieściłem go gdzieś w szczelinie ściany tak, żeby nikt już go nie znalazł i nie oglądał, mógłbym się na to zgodzić. Ale dziewczyna to co innego, nie jest notatnikiem.

Na wszelki wypadek spakowałem do walizki pod wózkiem odpowiedni zapas żywności.

Cztery butelki coca coli, pięć bułeczek, cztery krokiety, dwa ogórki, dwa gotowane jajka, trochę soli w folii, ćwierć funta masła, tabliczkę czekolady, cztery nadpsute brzoskwinie, papierowe serwetki...

Dziewczyna uśmiechnęła się, podniosła lekko powieki, wciąż miała słuchawki radiowe w uszach. Nadal jedną ręką przyciskała krocze. Zdecydowałem, że nie będę jej tego dotkliwie wypominał. Ledwie się uśmiechnęła, a już po chwili pogrążyła w sen. Jej ciało znów trochę się skurczyło. Poprawiam jej pozycję, by powstrzymać proces zniekształcenia (szwedzki wózek służy również temu, jest pomysłowo zaprojektowany), lecz im bardziej jej dotykam, tym bardziej zbliża się do kształtu kuli, jak ściskane ciastko ryżowe, cukierek czy pączek *manju*. Niestety, tu muszę uznać wyższość techniki Konia jako kierownika oddziału chirurgii chrząstkowej.



Obserwowanie dziecinniejącej dziewczyny pobudzało we mnie iluzję, że czas biegnie do tyłu. Jak dotąd nie straciła jedynie szczególnego wyrazu oczu. Jeśli czymkolwiek pociągała mężczyzn, to niewątpliwie skośnymi oczami, zwykle zapatrzonymi w dal i nie widzącymi nawet tego, co się dzieje u jej stóp.

Co zrobić z białym płaszczem? Wydaje się, że przydałby się wtedy, gdy wmieszamy się w tłum ludzi, ale z drugiej strony byłbym w nim łatwym celem podczas pościgu. Wszystko jednak zależy od sytuacji, w jakiej się znajdę podczas uroczystości poprzedzającej jubileusz, zdecydowałem się więc zabrać go ze sobą. Nawet jeśli go nie użyję, to i tak przyda się jako podściółka zamiast poduszki dla dziewczyny.

Najbardziej żałowałem swego nesesera handlowego, który pozostał w kryjówce w zrujnowanym domu. Nie było w nim nic szczególnego, jedynie trzynaście katalogów *jump shoes*, piętnaście formularzy zamówień, piętnaście kuponów na prezenty. Może to zabrzmieć małowartościowo, ale neseser był skórzany, włoski, znacznie bardziej imponujący niż zasługiwałem. Wiem, że powinienem z nesesera zrezygnować, ale nie mogłem pojąć przyczyny, nie rozumiałem, dlaczego akurat ja miałbym ponosić takie straty.

Szósta zero siedem.

Czas ruszać. Trasą 8484332. To numer drogi prowadzącej obok muzeum, której zakręty są w ten sposób zakodowane w celu lepszego zapamiętania.

- Śniło mi się zgniłe mydło.

- Mydło nie gnije.

- Dlaczego?

- Mydło, które gnije, nie jest mydłem.

Jednak pewnie powinienem zabrać ze sobą notatnik. Zamiast posyłać kogoś, żeby go przyniósł, gdy już będę poza szpitalem, najbezpieczniej samemu znaleźć odpowiedni sposób na wyniesienie go na zewnątrz.

Niewątpliwie gdy zajdzie taka potrzeba, a będzie to na pewno w sytuacji bez wyjścia, należałoby go mieć ze sobą, żeby móc się przystosować do sytuacji nadzwyczajnej. Zdecydowałem się wcisnąć go między sprężyny a spód siedzenia wózka. Dopóki nie będzie trzeba naprawiać ram wózka, nikt nie wpadnie na pomysł, żeby tam zajrzeć.

## **EPILOG**

Wspiąłem się między sztuczne skały trzymając wózek w rękach i zobaczyłem, że plac przed muzeum był już wypełniony samochodami widzów oczekujących na pokazy zorganizowane w przeddzień jubileuszu. Nie obawiając się, że ktoś nas zobaczy, dotarliśmy do kamiennych schodków.

- To muzeum. O, na dachu stoi maszt flagowy.

- To antena!

- Mówię, że to maszt.

- A może jedno i drugie.

Nagle rozległ się głos zza zaparkowanego samochodu.

- Kto słyszał o maszcie flagowym bez flagi w dniu święta?

Jak klej szybkoschnący, ten głos przykleił podeszwy moich butów i przyssał koła wózka do ziemi. Wszystkie siły bojowe odpłynęły ze mnie jak z beczki pozbawionej dna. To niemożliwe, żeby to była prawda - pomyślałem mając nadzieję, że był to ktoś inny, rozejrzałem się niespokojnie dokoła, ale nie spełniły się moje oczekiwania. Jednak była to sekretarka wicedyrektora.

Stała z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem trzymając w ręce podartą torbę z domu towarowego. Jej jasnobrązowa bluzka i spódnica w kolorze kakaowym, których przedtem nigdy na niej nie widziałem, świetnie maskowały zwykle jadowity wyraz twarzy, niby miecz w pochwie. Wyglądała nieźle.

- Więc wszystko się wydało?

- Wyglądasz coraz ładniej.

- To dla nas sprawa życia i śmierci.

- Więc oszczędziłem ci wielu kłopotów. Tego chciałaś, właśnie tego, prawda?

Sekretarka spojrzała na mnie zagryzając wargi, podniosła warstwę czasopism zakrywających zawartość torby. Znajdował się w niej walek gąbczastego szkarłatnego materiału. Dziewczyna zeszywniała jak niemowlę, które dostało skurczu.

- Boję się.

- Jeśli tego nie chcesz, po prostu mogę to wyrzucić. W końcu zadałam sobie tyle trudu, żeby stłuc szybę gabloty w muzeum i ukraść dla ciebie...

Rozgniewana sekretarka podniosła walek materiału końcem gałęzi i zaczęła nim machać. Materiał wyglądał jak szkarłatny martwy kot, przejechany przez samochód.

- Czy to z twojej matki, która chorowała na porosty watowe?

- Jest sztywny jak stary filc. Przy tym cuchnie jakby był trzymany w naftalinie, nie można tego używać bez maski przeciwgazowej.

Nagle dziewczyna chwyciła ten szkarłatny łach z trudem powstrzymując łkanie. Po chwili wydała z siebie jęk i rozplakała się. Sekretarka cofnęła się, ustępując przed tym wybuchem, a ja poczułem zazdrość.

- Ona jest szczęśliwa.

- Ja też pragnęłam, żebyś był tak miły dla mnie.

Z pomocą niezbyt chętnej sekretarki rozciągnęliśmy kołderkę między wózkiem a dziewczyną. Szkarłatna kołderka strasznie kontrastowała z funkcjonalnym pięknem wózka. Dziewczyna mocno chwyciła za oba rogi kołderki, odwróciła twarz w bok i nosowym głosem powiedziała:

- No trudno, to tylko zapach naftaliny.

Poczułem zmęczenie. Usiadłem na krawędzi kamiennego stopnia i razem z sekretarką piłem ciepłąwą coca colę. Z powodu tej kołderki dziewczyna zapomniała o całym świecie, nie miała czasu nawet na colę. Sekretarka gołą stopą, wystającą spod spódnicy, nacisnęła moją nogę.

- Zupełnie jak na pikniku!

Niebo pociemniało, jak przy wewnętrznym wylewie krwi, i zdawało się, że za chwilę spadnie deszcz. Pustą butelkę odrzuciłem w bok na trawę i usłyszałem jęk jakiejś kobiety. Bez żenady sekretarka odkrzyknęła jej:

- Zamknij się!

Był to bardzo przygnębiający początek. Skoro mój plan został zdemaskowany, chyba nie ma szansy na przeprowadzenie go do końca. Z drugiej strony nie ma sensu myśleć o odwrocie.

Przedostaliśmy się przez plac przed muzeum i ruszyliśmy w dół ulicą biegnącą wzdłuż parku; wkrótce chodnik zaczęły blokować szeregi stoisk handlowych, wokół których unosiła się woń acetylenu. Zdecydowałem się wejść do parku boczną bramą. Było tu pusto jak przedtem. Biały dym przesycił powietrze, dochodziły odgłosy sztucznych ogni, ogłaszających rozpoczęcie obchodów jubileuszowych.

- Wygląda, jakby wróciła do stanu sprzed umieszczenia jej w szpitalu.

- Czy to może jeszcze się pogorszyć?

- To zależy od tego, jak długo jej napięte kości wytrzymają nacisk organów wewnętrznych.

- Co to znaczy?

- Pytasz, jaki będzie miała kształt? Wyobraź sobie, co by się stało z parasolką, gdyby nagle stopiły się jej druciane żebra. Z nią byłoby podobnie.

Przy fontannie w parku nadal ćwiczył zespół elektrycznych gitar, ubrany w festynowe kurtki *happi*, robił to jakoś bez entuzjazmu, grał melodie rockowe, które brzmiały jak tańce zaduszne *bon*. W innym miejscu stał stolik, przy którym wybierano z wody złote rybki, a obok stoisko z małymi figurkami z ciasta ryżowego. Były to jedyne czynne sklepiki. Na ławce siedziała pielęgniarzka (nie wiadomo dlaczego miała na sobie służbowy czepek) ubrana w szorty rażąco obnażające jej uda, a obok niej jednonogi chłopiec z czarnym psem cierpiącym na jakąś chorobę skóry. Ich oczy skierowane były na wodę fontanny, wpatrywały się i śledziły bieg załamujących się i oddychających strumieni.

Krople wody spadały u moich stóp. Różowa ćma wielkości ptaszka wleciała do kałuży powstałej z wody przywianej przez wiatr.

- Zimno.

Zadrżały ramiona dziewczyny. Gdy owinąłem szkarłatną kołderkę wokół jej ramion, wyglądała jak kamienna statuetka bożka Jizo przy wiejskiej drodze, ze śliniaczkiem pod brodą. Pod kołnierzem poczułem pot.

Przez bramę główną znów wyszedłem na ulicę.

Odniosłem wrażenie, jakby nagle pękła ozdobna kula. Ogromny tłum ludzi wylewał się nie wiadomo skąd. W połowie długiej drogi pod górę znajdowało się wykopane dość wysoko wejście do rozległego podziemnego centrum handlowego. Wzdłuż łuku okolonego zielonkawym neonem widniał slogan wypisany wielkimi drukowanymi literami: "Gratulacje z okazji rocznicy założenia szpitala - Ulica Ginza Piękny Widok".

Dziewczyna zatrzepotała rączkami i krzyknęła z podniecenia. Wokół leżały setki porzuconych rowerów. W oczekiwaniu tłoczyli się tu najrozmaitsi ludzie - od urzędników, młodzieży w dzinsach, do osób wyglądających tak, jakby dopiero co uciekły z sal chorych. Nie była to normalna ulica.

A więc to tutaj odbywają się imprezy przed jubileuszem?

- Ginza - Piękny Widok. Co za nazwa na podziemną ulicę!

- Nazwa jak nazwa. Podobno ze szczytu urwiska widoczna jest góra Fuji.

- Czy nie jest tu niebezpiecznie? Wystarczy trochę dalej przekopać, aby wejść pod fundamenty starego budynku szpitalnego.

- Co mówisz, fundamenty są przecież zwykle najniżej.

- Ale ta ulica podziemna jest jeszcze niżej, prawda?

- Chyba nadal nic nie rozumiesz. Tam gdzie się ukrywałeś, było drugie piętro starego gmachu.

- To niemożliwe.

- Poprzedni dyrektor zbudował cały szpital pod ziemią. Cierpiał na manię nalotów bombowych czy na coś takiego...

Kropla po kropli zaczął padać deszcz, coraz mocniej uderzając wielkimi ziarnami o ziemię. Dziewczyna otworzyła buzię: rozkoszowała się smakiem i mówiła tak jakby śpiewała. A może wypowiadała słowa jakiejś pieśni.

- Nawet najgorsza pogoda w moich wspomnieniach zawsze jest piękna...

Spychani przez tłum, który zaczął wlewać się pod ziemię, by ukryć się przed deszczem, przeszliśmy pod łukiem. Chwilę później ujrzałem całkiem zwyczajną ulicę, biegnącą między rzędami ozdobnych latarni w kształcie konwalii. Ta ulica również chyba należała do szpitala: znajdowały się tu kwaciarnie, sklepy z owocami, meblami sypialnianymi, materiałami rzemiosła artystycznego i innymi; między nimi jak w kanapce wciśnięte sklepiki z butami, okularami, książkami, zabawkami, drogerią, ciastkami, materiałami piśmiennymi, makaronem gryczanym, papierosami i temu podobnymi. W końcu droga się zwężyła, ale wciąż się rozgałęziała wielokrotnie i nieregularnie wciągając gości coraz dalej i dalej w głąb miasteczka. Po drodze napotykaliliśmy schody, które sprawiały nam trochę kłopotu, lecz nie rezygnując parliśmy do przodu. Dziewczyna nie skarżyła się na niewygodę, nawet sekretarka dotrzymywała kroku idąc obraną przeze mnie drogą.

Gdy tak szliśmy, miałem wrażenie, że zmieniał się wygląd sklepów.

Akcesoria samochodowe, dżinsy, hurtownie surowców do chińskich lekarstw, płyty muzyczne, sprzedaż tanich urządzeń elektrycznych, salony gry w pachinko, w których podawano coli, ile kto chciał, skądś dochodziły głośne i budujące pieśni wojskowe; kioski z szaszłykami kurzymi, a przed nimi puste butelki po piwie blokowały drogę, sklepy fotograficzne, biblioteka, bar, gdzie podawano ryż z curry i sałatką, dalej specjalny sklep z aparatami podsłuchowymi, stoiska z lodami...

Tutaj kupiłem trzy lody czekoladowe. Dziewczyna z rozmarzonym wzrokiem nie puszczać jedną ręką rogu kołderki, język wbiła w lody. Smakowało smutkiem, zdawało się, że czas zaczął zamarzać.

Za wąską uliczką ujrzałem tabliczkę toalety publicznej. Poczynając od tego miejsca wygląd ulicy całkowicie się zmienił, światła neonów tańczyły po

prowokujących szyldach rozmaitych kącików gier, kabaretów, melin striptizowych itp. Stłoczone ciasno zdawały się walczyć o miejsce dla siebie. Pchając wózek z dziewczyną i mając inną kobietę, sekretarkę, przy sobie czułem się tu trochę nieswojo. Jednak coś mnie wciąż kusilo i ostro pobudzało zmysł powonienia. Czułem to nosem, że jeśli mam kiedykolwiek spotkać żonę, to prawdopodobnie tylko tutaj. Nie miałem żadnej pewności, jednak przeczucie wciąż naciskało na guzik alarmowy, dając znać, że najpewniej zbliżam się do celu.

Gdybym tylko mógł powierzyć wózek sekretarce i przez jakiś czas poruszać się samodzielnie...

- Czy naprawdę mogę ci zaufać?
- Oczywiście, jeśli tylko coś mi powierysz w zaufaniu.
- Gdybyś dotrzymała obietnicy, to co byś za to chciała w zamian?
- Coś takiego! Pomyśl sam.

Widziałem jak kurczą się jej źrenice i rozjaśniają błyskiem gniewu niby błyskawice przecinające niebo. Lecz jeśli nawet byłem zdecydowany jej zaufać, to najwyżej na czas spożycia rożka lodów z kremem. Nie mogłem zdecydować się na zostawienie dziewczyny pod jej opieką dłużej.

Nagle dziewczyna krzyknęła głośno.

- To pan doktor, patrz, o tam...

Koniec rożka lodów skierowała w stronę ulicy na stojący za jezdnią budynek, który wyglądał jak biuro agenta mieszkaniowego. Szyld szerokości okna głosił złotymi literami: "Porady w sprawie sprzedaży i kupna wszelkich organów wewnętrznych", a pod nim ponaklejane były najrozmaitsze ogłoszenia wraz z cenami, między innymi: Centrum Poboru Krwi, Bank Spermy, Ubezpieczenia Rogówki. Natomiast na drzwiach wisiała niezbyt widoczna drewniana tabliczka: "Biuro Ogólne Informacji o Rozrywkach".

Przez szpary między ogłoszeniami prześwitują wnętrza biur. Patrząc z wysokości dziewczyny w wózku widzę więcej, może dlatego, że spoglądam na przemian to prawym, to znów lewym okiem; w ten sposób udaje mi się poskładać mozaikę dającą się jakoś odczytać. Przy oknie stoi stół dla gości, a wokół niego siedmiu czy ośmiu lekarzy w bieli pije piwo. Jeden kołysząc ciałem w przód i w tył gładzi niedogoloną brodę, drugi śmieje się głupkowato pokazując więcej zębów niż to potrzebne, inny znowu dłubie zapalką w miseczce na fajkę. Każdy z nich zachowuje się tak, jakby udawał, że wypoczywa. Wydało mi się, że wśród nich znajdowała się

również lekarka, ale nie miałem pewności. W głębi był kantor, przy którym inny mężczyzna w bieli stał jakoś sztucznie wyprostowany i rozmawiał z kobietą o szerokiej twarzy i w okularach bez oprawki, głęboko wycięta bluzka podkreślała obfite piersi; wyglądała zupełnie jak Mano Kei z Agencji Mano znajdującej się przed szpitalem. Może więc ten mężczyzna o sztywno wyprostowanych plecach jest wicedyrektorem?

Wafel rozpadł się w ręce jak kawałek zmoczonego chleba. Resztki rzuciłem pod wózek i oblizując krem z palców popatrzyłem pytająco na sekretarkę, która - podobnie jak ja - przysiadła i uważnie wpatrywała się w mężczyzn.

- To chyba wicedyrektor?

- Tak. Pozostali są lekarzami biura medycznego, prawdopodobnie z oddziału sztucznych narządów.

- Jak sądzisz, co zrobią, gdy nas odkryją?

Gryząc brzeg wafla dziewczyna cicho powiedziała:

- Na pewno strasznie mnie skrzyczy.

- On nie ma prawa. Kto mu dał prawo robić takie rzeczy?

Ale sekretarka milczała. Nadal obserwowała dom naprzeciwko z takim wyrazem twarzy, jakby intensywnie kalkulowała, co jej się bardziej opłaci. Na pewno wie, co się dzieje. Wie, co oni robią, a także co zamierzają zrobić. Nawet ja miałem niejasne przeczucie, więc nie mogła nie wiedzieć sekretarka wicedyrektora. Po prostu rozważa korzyści i straty powiedzenia, co się dzieje i dlatego wciąż zachowuje milczenie.

- Wracajmy - powiedziała dziewczyna przestraszonym głosem, jakby wyczuwała nasze napięcie.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek.

Pogłaskałem ją po policzkach, wytarłem kąciki jej oczu. Na czubkach palców pozostało wrażenie rozgniecionego krochmalu. Sekretarka szybko wstała, rozejrzała się dokoła i powiedziała:

- Dopóki nas nie zobaczą, nic szczególnego nam nie grozi.

Widocznie zdecydowała się stanąć po mojej stronie. W kantorze mężczyźni w bieli właśnie wstawali od stołu. Ukryłem się za filarem razem z wózkiem i dziewczyną. Postanowiłem jeszcze zamówić po jednym pomarańczowym sorbecie z lodem.



Lekarzy razem z wicedyrektorem było siedmiu. Żegnani hałaśliwie przez kobietę podobną do Mano Kei szybko przeszli na drugą stronę ulicy i zniknęli w publicznej toalecie.

Gdy zniknęli, już się nie pokazali, nawet po dłuższym czasie. Mój sorbet zmałał do połowy. Tak długo w toalecie mogą siedzieć tylko z jednego powodu. Ale żeby siedmiu naraz robiło to w tym samym czasie, to raczej nienaturalne. Poza tym wicedyrektor w tym gumowym gorsecie nie mógłby chyba załatwiać się w zwykłej ubikacji. Może się zdarzył jakiś wypadek? Postanowiłem poczekać jeszcze dwie minuty, nie, jedną, następnie, jeśli w tym czasie nie wyjdą, wkroczyć do środka.

Obie kobiety zostawiam, żeby poczekały na mnie, i próbuję zajrzeć do toalety. Znajduję tam tabliczkę z napisem "zepsuta", a pod nią ledwie widocznym pismem "męska". Nikogo tam nie było. W jasnym świetle, w smrodzie amoniaku nie ma możliwości ukrycia się siedmiu ludzi naraz. Sześć wyblakłych pisuarów stoi wzdłuż lewej ściany. Jeden na wprost wypełniony jest żółtą cieczą, w której krąży owad utrzymujący się na spienionej powierzchni. Naprzeciwko trzy indywidualne kabiny. I tylko te są świeżo zbite z desek, chyba zostały postawione specjalnie na dzisiejszą noc. Nie mogłem w to uwierzyć, by w jednej mogły ukryć się trzy albo choćby i dwie osoby. Na wszelki wypadek pukałem i kolejno otwierałem. Wszystkie były puste.

W ostatniej było inaczej niż w poprzednich. Za drzwiami nie dostrzegłem sedesu. Natomiast ukazał się przede mną otwór, a w nim schody prowadzące w mroczne podziemie. Również w suficie znajdował się otwór, do którego prowadziła metalowa drabinka. Wyglądało to jak luk w pokładzie statku towarowego. Niewątpliwie zniknęli w jednym albo drugim otworze. Nie mogłem jednak wykryć tam żadnego śladu. Potrzeba dość dużo czasu, żeby siedem osób mogło stąd się wydostać. Żałowałem, że nie przyszedłem wcześniej. Przecież nie musiałem tłumaczyć się chcąc wejść do toalety publicznej.

Już chciałem wracać, gdy zderzyłem się z kimś, kto zaczął mi wymyślać.

- O co chodzi? Nie umiesz czytać? Napisane przecież, że zepsuta.

Była to kobieta z Biura Informacji. Wpatrywała się we mnie badawczym wzrokiem. Nie uległem, odpowiedziałem jej tym samym. Co tu jest zepsute? Na własne oczy dobrze widziałem, jak odprowadziła tu siedmiu lekarzy. Nie było jednak sensu klócić się z nią tutaj. Należało tylko się dowiedzieć, jaką drogą poszli.

- Pani Mano, prawda?

Nie uspokoiły jej moje słowa; podejrzliwość pogłębiła tylko zmarszczki na czole. Gdzie ja widziałem tę twarz? Może w sklepie przed szpitalem?

Sekretarka, która przysłała tu razem z wózkiem, powiedziała:

- To jest nowo mianowany kierownik... bezpieczeństwa...

Reakcja była natychmiastowa. Przypomniałem sobie, że wszystkie agencje na ulicy przed szpitalem są podobno pod bezpośrednią administracją kierownika bezpieczeństwa. Kobieta z Biura Informacji uśmiechnęła się z zakłopotaniem tylko górną wargą i przyjęła postawę obronną.

- Cieszę się, że tak dobrze idzie, co prawda nie najlepszy jest procent zakładów, ale wszystkie zostały sprzedane co do jednego. Ach, tak? Nowy pan kierownik? To musi być ciężka praca. Pan wicedyrektor przyprowadził sześciu młodych lekarzy, którzy wszystkie pozostałe bilety...

- Gdzie oni poszli?

- Przecież pan wie.

- Proszę dokładnie odpowiedzieć na pytanie.

- Odpowiem, odpowiem.

- W górę czy na dół?

- Na dole jest tylko maszynownia. Po co mieliby tam?

- Dziękuję.

Ale sekretarka jakoś dziwnie się zawahała. Powiedziała, że jako kobieta nie ma najmniejszej ochoty wchodzić do męskiej toalety. Nie chciała przyjąć żadnych argumentów, że i tak przecież jest zepsuta i nieczynna, dlatego ślad po napisie "męski" do końca wydrapałem przyniesioną tu metalową rurką. Wtedy dopiero się zgodziła.

Najpierw na drabinkę weszła sekretarka, potem przekazałem jej dziewczynę, a na końcu zamierzałem wejść z wózkiem na plecach.

Nie mówiąc o ciężarze wózka, kłopot miałem głównie z tym, że wózek na plecach nie mieścił się w otworze, musiałem więc najpierw wepchnąć na górę wózek, oprzeć koła o krawędź i głową wepchnąć go dalej.

W połowie drogi dziewczyna rozplakała się. Jej szloch był stłumiony, jakby starała się opanować ból. Zdenerwowana sekretarka próbowała ją jakoś pocieszyć. Zmagając się z wózkiem nie mogłem zorientować się, kto komu chciał dokuczyć. Postanowiłem żadnej z nich nie upominać i nie pogarszać jeszcze sprawy. Na przyszłość najlepiej nie stwarzać takiej sytuacji.

Korytarz był zimny, cuchnął ziemią. Drzwi po obu stronach były pozabijane deskami, nie widać było śladu ludzi. Co jakieś dziesięć metrów wisiały gołe dwudziestowatowe żarówki. Lecz za każdym rogiem pokazywały się strzałki zrobione z czerwonej plastikowej taśmy, więc wydawało się, że dokądś mogą nas zaprowadzić, jeśli pójdziemy ich tropem. Przy tym po czterech dniach życia w kryjówce nieźle poznałem plan rozmieszczenia budynków.

Pod stopami była chyba wyschnięta glina wchłaniająca odgłos kroków, czułem się tak, jakbym w uszach miał gumowe korki. A mimo to głosy rozmowy odbijały się echem jak od dna studni, dlatego musieliśmy szeptać.

- Słuchaj, na pewno wiesz, o co tu chodzi?

- W zasadzie.

- O co więc chodzi? - nawet dziewczyna przyciszyła głos.

- A co to za różnica? - nerwowo przerwała jej sekretarka. - I tak wkrótce załatwimy naszą sprawę.

Szliśmy dość długo, tym razem skręciliśmy nie pod kątem prostym, lecz na ukos, i przeszliśmy chyba do innego bloku. Nagle rozległ się gwar ludzi i korytarz się rozjaśnił. Wyszliśmy na zatłoczony teren. Była to chyba najmniejsza jednostka spośród sześciu otaczających podwórko, które składały się na każde skrzydło. Ujrzelśmy mnóstwo zwiedzających, jak w sali wystawowej, krążących wkoło powolnym krokiem z biegiem wskazówek zegara. Ponieważ po drodze nie widzieliśmy nikogo, ci wszyscy musieli tu przyjść jakąś specjalną trasą, przeznaczoną tylko dla upoważnionych.

Rozległ się monotony głos komunikatu, podobny do objaśnień reportera naukowego:

*Spośród sześciu osób, które przeszły w eliminacjach, w dalszym ciągu na czele utrzymują się dwie... już ukończyły dwadzieścia dziewięć stopni... właśnie teraz sześć razy wytrzymując przeciętną dziewięć lub więcej, łącznie sto czternaście sekund... nie wykazują... wprowadzono ochłodzoną palkę, trzy minuty... wraz z gwarancją Towarzystwa Lekarskiego... porównując je z wykresem prognostycznym na komputerze, jest znów różnica...*

Wmieszany między widzów postanowiłem przynajmniej raz obejść dokoła. Wśród widzów były też kobiety, chociaż raczej niewiele. Czemu trudno się nawet zresztą dziwić. Ale nikt nie przyprowadził tu dzieci.

W każdym pokoju wisiały tablice ogłoszeń, na których widniały zdjęcia nagich kobiet. Były to chyba fotografie kobiet występujących w tym konkursie. Obok nich kilka rodzajów liczb, zmienianych magnetycznie. Niektóre właśnie w tej chwili zmieniano, nie mogłem się jednak zorientować, co one oznaczają. Na drzwiach duże znaki w ostrych kolorach - nie wiadomo dlaczego składały się z dwu hieroglifów, jak na przykład Pawilon Lalek, Kobieta Fali, Magma, Jezioro Łabędzie. Były to chyba przydomki zawodniczek. Większość widzów trzymała w jednym ręku złożoną jednostronicową gazetę i porównywała przydomki i liczby i coś wpisywała, zupełnie jak na wyścigach.

Gdy mineliśmy salę Kobiety Fali, na wprost Magmy ujrzeliśmy poczekalnie, gdzie podawano napoje i lekkie potrawy. Wszystkie miejsca tutaj były zajęte. W środku przy stoliku siedziało pięć osób w bieli, chyba lekarze, popijali whisky z wodą i zagryzali czipsami. Nie było drugiej takiej grupy pięcioosobowej w białych płaszczach, więc niewątpliwie musieli to być towarzysze wicedyrektora. A on sam z powodu gorsetu nie mógł siedzieć na krześle, więc jest gdzieś w tłumie przy barku.

Wykorzystując tłok szybko przechodzimy dalej.

Przy następnym narożniku jest pawilon Kobiety w Masce. Zgodnie z nazwą kobieta miała twarz pomalowaną na biało na podobieństwo maski. Ale nie była to zwykła biel, miała połysk perłowego proszku, tak doskonała, że całkowicie zabijająca naturalny wyraz twarzy. Widocznie wszystkim bardzo się podobała, ponieważ panował tu największy tłok.

- Czy nie jest to pańska żona?

Również odniosłem takie wrażenie, ale nie miałem żadnej pewności. Czułbym się najlepiej, gdybym mógł przejść dalej bez potwierdzenia tej możliwości. Był tu jeszcze jeden pawilon. Szybko skręciliśmy za róg i doszliśmy do Ptaka Pożerającego Ogień. Zdjęcie na tablicy przedstawiało kogoś zupełnie obcego. Wobec tego może rzeczywiście Kobieta w Masce jest moją żoną? Miałem wrażenie, że z porów na całym ciele wypełza tysiące pajęczków. W zasadzie sądziłem, że jestem gotów na wszystko, lecz duchowa gotowość nie może równać się z szokiem ze strony rzeczywistości. Postanowiłem zrobić jeszcze jedno okrążenie.

Pawilon Lalki... Kobieta Fala... Magma... Jezioro Łabędzie... Żadnej z tych kobiet nie można pomylić z żoną. I znów pomyślałem, że Kobieta w Masce ma piękne,

proporcjonalnie zbudowane ciało. Prawdziwą żonę powinienem jednak intuicyjnie rozpoznać od pierwszego spojrzenia. Co więc jest przyczyną tego wahania?

- Jeśli nie ma już więcej kobiet, to musi być ona, prawda?

Możliwe, że tak. Ale przecież nie ma jeszcze żadnego dowodu, że pośród tych dzielnych sześciu kobiet, które zwyciężyły w eliminacjach, znajduje się moja żona. Tylko próbuję sobie wyobrazić przypadek najgorszy z możliwych.

- To jednak dziwne. Żeby tyle się zastanawiać nad tym, czy ona jest twoją żoną, czy nie...

Niewątpliwie, wygląda to dziwnie. Jednak żona to coś takiego, co zawsze istniało dla niego jako pewna całkowita osobowość. Nawet najpiękniejsza, w końcu na tym zdjęciu pokazana jest jedynie jako doskonale zestawienie różnych części ciała. Nie mógł więc w żaden sposób połączyć ze sobą obu rzeczy: jej obrazu w pamięci i realnej kobiety. Przy tym perłowa biel, jaką została tu wymalowana, przesyła obcą krew do koniuszków rąk i nóg. I chyba w ten sposób zmienia całkowicie jej osobowość.

- No, no, we troje razem w komplecie, to niezwykle. Słuchaj, czy skończyłaś przepisywanie notatek na czysto dla mnie?

Nagle wicedyrektor stanął tuż za jego plecami. Sekretarka tylko nieznacznie zmarszczyła twarz, ale jakby wcale się nie zdziwiła.

- Tylko tę część potrzebną na jutrzejszy odczyt przepisałam na maszynie z kopią. Jeden egzemplarz dałam komisji. Poza tym pięć odbitek powinno wystarczyć.

- Wystarczy!

Czy w końcu oboje razem spiskowali? Dziewczyna podniosła wzrok na wicedyrektora i patrzyła z bezradnym tłumionym uśmiechem. Czuję się zdradzony. Wyszło to całkiem naturalnie, w ten sposób dali mi po nosie, a ja nawet nie mogłem przypomnieć sobie żadnego pytania, mimo że przygotowałem pisemnie na wypadek takiego spotkania.

- Dobrze byłoby, gdyby dało się gdzieś sprawdzić nazwiska osób występujących...

- Prawda, wymyślili takie jakieś głupie pseudonimy. Musieli się tym zajmować ludzie związani albo z łaźnią turecką, albo z kręgami poetów współczesnych - powiedział oschle i gwałtownie chwycił palcami za ucho dziewczyny. - Biedne dziecko, jakże ty okropnie teraz wyglądasz!

Strumień widzów rozstał się - nagle pojawili się trzej łysi w trampkach, poruszający się krokiem skocznym, typowym dla chodzących w butach do skakania. Ujrzawszy nas wszyscy trzej jednakowo dotknęli rękami skroni i pomachali zamasyżycie uszami jak słonie.

Dyrektor zwrócił się do jednego z nich, niosącego na plecach gazety, przewiązane sznurkiem.

- Może dasz mi jedną?

- Nie mogę. To jutrzejsza gazeta.

Trójka pobiegła dalej, potok widzów wrócił do normy.

- Słuchaj, podobno interesujesz się jedną z tych kobiet?

Sekretarka odpowiedziała zamiast niego.

- Podobno jest tu jego żona.

- Rzeczywiście - dyrektor spojrział na zdjęcie wiszące na tablicy i zaśmiał ironicznie. - Ale pozostały ci jeszcze notatki do zrobienia.

- Co to znaczy "podobno"?

- Myślę, że to znaczy coś w rodzaju "być może". Zajrzymy do środka? Mam dodatkowe bilety, odstąpię ci. Tą kobietą w masce ja też się bardzo interesuję. - Odwrócił się i powiedział do sekretarki. - A ty weź to dziecko i zaprowadź do poczekalni, napijcie się kawy albo czegoś innego.

Sekretarka nacisnęła obcasem sandała mój but do skakania i wciskając z całej siły powiedziała:

- Mamy tylko pięć minut. Patrz dobrze na zegarek. Chcę, żebyś naprawdę ładnie mnie uściskał. Mam prawo do tego.

Z pchanego przez sekretarkę i oddalającego się wózka dziewczyna spoglądała w moją stronę, błagalnym wzrokiem. W kogo się wpatrywała, nie wiem. Jej oczy były już nie tylko daleko, ale miałem też wrażenie, że trochę zezowały. Wytarłem łzy. Pojawiły się na twarzy z powodu bólu zadanego przez sekretarkę, lecz wicedyrektor chyba źle to zrozumiał.

- Teraz nie zamierzam ciebie potępiać. Lecz czasem potrzeba trochę okrucieństwa. Lekarz staje się okrutny, a pacjent musi znosić to okrucieństwo. To prawo przetrwania.

Przepychając się przez tłum ludzi, którzy zazdrośnie gapili się na nasze bilety trzymane w ręku, pchnęliśmy drzwi pokoju Kobiety w Masce i weszliśmy do recepcji osłoniętej z czterech stron czarną kotarą. Rozsunęliśmy warstwy materiału, by znów

ujrzeć czarną kurtynę. Skręcając to w prawo, to w lewo i przeciskając się przez pasma zasłony w końcu znaleźliśmy się w miejscu przypominającym amfiteatralną salę wykładową anatomii, wyłożoną białymi kafelkami. Na wprost znajdował się półokrągły cylinder pokryty krzywymi lustrami i otoczony wachlarzem widzów wypełniających prawie wszystkie miejsca.

Z głośnika popłynęły suche słowa bez wyrazu: *Za chwilę skończy się trzypięciominutowa przerwa. Proszę zająć miejsca.*

Oczywiście wicedyrektor nie mógł zająć miejsca, zdecydowałem się więc stać razem z nim.

Światła zgasły, cylindryczne lustra również zniknęły. W zamian pojawiło się szerokie łóżko. Było chyba obudowane dwoistymi lustrami. Na łóżku leżała naga kobieta, dokładnie taka sama jak na zdjęciu, zwrócona nogami w naszą stronę. Drżenie idące z samego rdzenia ciała zaczęło się rozszerzać jak fale na wodzie. Starłem się opanować, żeby tego nie zauważył wicedyrektor, ale i tak zęby zaczęły mi szczekać jak elektryczna pralka.

- No jak, niczego sobie, co? Na pierwszy rzut oka jest delikatna, ale mówią, że znacznie wyprzedziła Dom Lalki i na pewno wygra.

Do krocza między lekko rozchylone nogi przy jednym uniesionym kolanie włożono jakiś metalowy aparat z przewodem. Do kolan, bioder, barku i innych części ciała przyklepiono elektrody połączone cienkimi przewodami z aparatem pomiarowym u węzłowia. W tej pozycji również była piękna, wręcz czarująca. Jak tancerka grająca rolę branki Marsjan.

Z głębi pokoju wyszli dwaj lekarze w białych fartuchach, wyjęli przyrząd z jej krocza i sprawdzili dane w aparacie pomiarowym. Jeden z nich ze swobodą bliskiego kumpla powiedział coś na zachętę, uszczypnął pierś kobiety i wyszedł. Kobieta skurczyła się odruchowo.

- Zdumiewające, prawda? Mówią, że u niej ciągle trwa stan przedorgazmowy.

- Czy da się wyleczyć?

- Jeśli to choroba, to jest to tylko choroba szpitalna, której pacjent nabawia się odrzucając swą osobowość, zresztą leczenie nie jest konieczne.

- To straszne.

- Czy naprawdę to twoja żona?

- Nie jest to jasne, z jakichś powodów...

- Co za beznadziejny mężczyzna! Co do twojej żony... lekarze z oddziału nerwic seksualnych mówią, że ona cierpiała na rodzaj urojonego gwałtu.

- Czy ją znałeś?

- O, razem to słyszeliśmy, to nagranie z poczekalni zewnętrznej, chyba pamiętasz ten odgłos jakby przewracanej torby krochmalu. Jednak był to głos padającej żony. Dostała łagodnego wstrząsu mózgu, a gdy odzyskała przytomność, była otoczona przez grupę mężczyzn w białych maskach. Prawdę mówiąc znajdowała się wtedy po prostu w sali zabiegowej, a twoja żona podobno odruchowo pomyślała, że zostanie zgwałcona przez grupę mężczyzn w maskach. Właśnie wtedy nagle rozpoczął się trwały stan podniecenia. Urojenie gwałtu to rodzaj podniecenia rodzącego się w celu samoobrony przed lękiem gwałtu. Jak mówią, na truciznę jest antidotum. Cierpi więc na rodzaj kompensacyjnego podniecenia seksualnego.

- To głupota.

- Jesteś strasznie pewny siebie, prawda? - wicedyrektor pochylił się i spojrzał na mnie jak wielbłądek w jakiejś komedii wydymając, to znów ściskając wargi. - Tak to bywa, gdy kota nie ma, to myszy harcują. Zaszyłeś się gdzieś w norze z dziewczyną z sali numer osiem i zabawiałeś się z nią od rana do wieczora.

- Wcale nie zabawiałem się.

- Nie musisz krzyczeć. - To wicedyrektor krzyczał, a nie ja. Kilka osób zwróciło się w naszą stronę i popatrzyło z wymówką. - Rób co chcesz z tą dziewczyną. Czy ją zjesz gotowaną, czy smażoną, mało mnie to obchodzi. Oczywiście, gdybym powiedział, że nic do niej nie czuję, tobym się mylił. Na pewno, była to śliczna i smaczna dziewczyna, jak świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy... Ale tym razem zdecydowałem się ją zamienić... na zwyciężczynię w dzisiejszym konkursie... Posiadaczka rekordu w długości orgazmu i Koń-Człowiek... to połączenie pozwoli znacznie lepiej przedstawić mój pomysł. Co o tym myślisz? Pytałem kilka osób i wszyscy się ze mną zgadzali...

- Nie znam żadnego pomysłu, nic o tym nie słyszałem...

- To niemożliwe. To jest w programie jutrzejszych obchodów. Po jubileuszowym przemówieniu Koń-Człowiek, którym się stałem, zamierza na oczach publiczności odbyć stosunek płciowy ze zwyciężczynią dzisiejszego konkursu. Chodzi tu o pokaz najwyższego etapu antyewolucji na własnym przykładzie.

- Taka zabawa w potwory, co?

- Dla człowieka takiego jak ty będzie to niezła próba, która wytrąci cię z równowagi i sprawi, że nie będziesz wiedział co począć. Kiedy ty wreszcie zrozumiesz



brzydotę zdrowia? Wiedz, że jeśli historia zwierząt jest historią ewolucji, to historia człowieka jest epoką antyewolucji. Hurra dla bestii! Bestia jest wielkim ucieleśnieniem słabych!

Zabrział dzwonek. Zgasła zielona lampa oznaczająca "gotowość". Zapaliła się czerwona na znak rozpoczęcia programu. Oto wprowadzony bocznymi drzwiczkami przez dużą ciemną pielęgniarkę - nieco otyły i łysiejący mężczyzna w średnim wieku wstydliwie zasłaniał rękami penisa ukrytego w kępie pokreconych włosów. Pielęgniarka odepchnęła jego rękę, połyskujący dotąd penis zaczął tracić blask.

Zastępca dyrektora lekko mlasnął językiem.

- Niedobrze, jest zbyt nerwowy.

Pielęgniarka posmarowała penisa oliwą i ścisnęła go na zachętę. Odzyskał połysk, publiczność ożywiła się. Kobieta na dany znak rozchyliła uda. Pielęgniarka za pomocą strzykawki wpuściła do krocza jakiś płyn o barwie nikotyny. Może to rodzaj oleju smarowniczego. Od podbrzusza po żebra kobiety kilkakrotnie przebiegł skurcz, jak zmarszczki na wodzie.

- Pan na pewno zna jakiś sposób, prawda? I może dokładnie sprawdzić, kim jest ta kobieta, jakie pędziła dotąd życie...

- Teraz już nie mam chyba obowiązku mówić na ten temat.

Podstarzały mężczyzna zwrócił swój okrągły tyłek w naszą stronę, wdrapał się na łóżko i ukląkł między udami. Kobieta skrzyła szyję w prawo i zacisnęła mocno obie dłonie. Wydało mu się, że gdzieś już widział taką pozycję, ale nie miał pewności gdzie. Mężczyzna niezdarnie poprawił ustawienie bioder, przechylił głowę w bok i w tej pozycji zaczął się onanizować. Widocznie jego penis uwiądnął całkowicie. Na widowni wybuchł śmiech i nawet kobieta uniosła głowę i spojrzała między nogi mężczyzny.

- Gdybym tylko mógł spojrzeć na nią z bliska, to na pewno bym rozpoznał.

- No, to może ty to zrobisz? - wtrącił nagle wicedyrektor dusząc się ze śmiechu.

- Jak dobrze ci pójdzie, to ciało sobie przypomni.

Przez boczne drzwi weszła pielęgniarka ze strzykawką w ręce i natychmiast wbiła igłę w pośladek, potarła watką z alkoholem dla dezynfekcji. Lecz uwaga publiczności zwróciła się już w moją stronę. Siedzący najbliżej w pierwszym rzędzie mężczyzna z szyją w gipsie sięgnął ręką w stronę mojego penisa i krzyknął:

- O, stoi! O jak dobrze stoi!

- Odczep się ode mnie!

Wicedyrektor popchnął mnie na dół w kierunku drabinki zrobionej z nierdzewnej stali. Stopnie były oddalone od siebie o jakieś czterdzieści centymetrów. Stopa ześliznęła się, ale jakoś z dużym trudem udało mi się podtrzymać ciało i nie upaść. Ktoś pociągnął mnie za róg koszuli i posypały się guziki. Aby się nie potoczyć, nie mogłem zbyt mocno opierać się i musiałem zejść po schodkach. Wyciągnięto mi pasek, więc spodnie zatrzymały się na stopach. Jakoś dobrnąłem do łóżka, a gdy odzyskałem równowagę, zrozumiałem, że jestem w wyjątkowo głupim położeniu, miałem na sobie tylko majtki, buty do skakania i strzępy koszuli na plecach. Lubieżne wycie i wojenne okrzyki zdawały się wciskać między lustra. Kobieta uniosła białą głowę, oparła się na łokciach i przez krocze mężczyzny w średnim wieku popatrzyła badawczo przed siebie. Zakłopotana pielęgniarka dała jakiś znak w głąb sceny, zgasło światło, a szklane cylindry znów zamieniły się w lustra. Teraz nadeszła kolej patrzenia na mnie. Czy mnie rozpoznała?

Zwróciłem plecy w stronę lustra, chwyciłem żelazną rurkę i przyjąłem postawę obronną. Następnie zamachnąłem się groźnie w powietrzu i znów zacząłem schodzić po schodach. Pięć minut, które obiecałem sekretarce, wkrótce minie. Mogłem zrobić tylko jedno, wrócić do niej i wyjaśnić sytuację. Otrzymać jej zgodę i znów przyjść tutaj. Chociaż tak do siebie mówiłem, to jednocześnie miałem świadomość, że właściwie szukam tylko pretekstu. Równie dobrze mogłem rozbić lustra i wtargnąć do środka. Zamiast tego wybierałem drogę odwrotu. Sam nawet nie wiedziałem dlaczego. Może po prostu nie chciałem uczynić żadnego wysiłku, aby zrozumieć?

Kilkakrotnie odczułem ciężki opór stawiany rurce i usłyszałem krzyki. Machając żelazem wbiegłem za czarną zasłonę.

Panował tu półmrok, wątłe światło odbijało się na suficie, ledwie mogłem odróżnić palce wyciągniętej ręki. Żeby się nie dać zaskoczyć, szturchałem, to znów uderzałem rurką w czarną zasłonę i tak posuwałem się do przodu. Nikt chyba nie gonił mnie, ale układ zasłon był niezwykle skomplikowany. W serii około dwumetrowych pomieszczeń trzeba było raz iść prosto przed siebie, a następnie w bok w jedną albo w drugą stronę; bez końca pojawiały się zasłony w coraz to innych miejscach, więc zupełnie nie mogłem się zorientować, czy układały się one w jakiś wzór. Myśląc że wicedyrektor przez to wszystko przechodził w ciągu minuty, tym bardziej się spieszyłem i z tego powodu traciłem cierpliwość i poczucie kierunku.

Gdy tak przepychałem się między fałdami ścian z czarnego materiału, nagle rozległo się jakby wycie wiatru pobrzmiwające echem głębokiego i smutnego jęku kobiety. Brzmiało niby wycie wiatru pomocnego, który ocierał się o druty przewodów tramwajowych. Może ten mężczyzna w średnim wieku dzięki zastrzykowi już odzyskał swoje męskie funkcje? A może ktoś zastąpił tego zawodnika. Owijany czarną zasłoną nadal przepychałem się na ślepo i szedłem do przodu. Czy to oznacza, że w ten sposób uciekałem przed żoną, czy też raczej zmierzałem do celu, który miał zaprowadzić ją do domu? Jednak wydawało mi się, że już mi wszystko jedno, czym się to skończy. Nagle wyszedłem za drzwi i głosy oddaliły się.

Na zewnątrz panował zgiełk jak przedtem. Ci, którzy nie zdołali kupić biletów, wpatrywali się we mnie badawczo. Nic dziwnego, wybiegłem z przekrwionymi oczyma w samych slipkach z miejsca, które każdy z nich chciałby obejrzeć. Naturalnie, musiało to budzić podejrzenia. Po cichu rzuciłem żelazną rurkę na podłogę, oparłem ręce o biodra i biegłem pod prąd. Jak dobrze pójdzie, to pomyślą, że po prostu ćwiczę bieganie.

W poczekalni zaczęło się po trochu przeredzać. Jednak nie zobaczyłem tu sekretarki. Spojrzałem na zegarek: minęło już trzydzieści minut od czasu, w którym się umówiłem. Czyżby się znudziła czekaniem i gdzieś sobie poszła? Skorzystałem ze swoich specjalnych butów i podskoczyłem prawie do sufitu. Za trzecim razem zobaczyłem kogoś skulonego w kącie w jasnobrązowej bluzce. Nie, nie była skulona, lecz oparta o wózek inwalidzki czytała gazetę. Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Jeszcze raz podskoczyłem, ale dziewczyny z sali numer osiem nigdzie nie dostrzegłem. Może z zemsty za nie dotrzymaną obietnicę porzuciła ją gdzieś lub komuś oddała. Ignorując głosy przekleństw, rozpychałem się brutalnie i przeszedłem przez tłum wypełniający hol. Gdy sekretarka mnie ujrzała, uniosła oczy w górę, a następnie spuściła w dół. Zdawało mi się, że usiłowała opanować śmiech. W końcu bez złości podała mi gazetę, którą przed chwilą czytała.

- Popatrz, to jutrzejsza gazeta.

Między szkarłatną kołderką a siedzeniem sekretarki wystawała jakaś czerwona masa, podobna do kitu. Tak, ona siedziała na dziewczynie! Ogarnęło mnie uczucie ni to żalu, ni to bólu. Chwyciłem sekretarkę za rękę i pociągnąłem z całej siły. Chrupnęło jak przy zwichnięciu stawu, a sekretarka uniosła się w górę i z przesadnym krzykiem runęła pod najbliższy stół. Dziewczyna, którą wziąłem na ręce, lekko się poruszyła i jęknęła. Chyba jej życiu nic nie groziło. Chwyciłem ją za coś, co uważałem za kończynę

i spróbowałem rozciągnąć. Miałem wrażenie, że potrafię przywrócić jej ludzki kształt, jeśli tylko się nią zajmę.

Nagle z tłumu wyłoniło się trzech młodych mężczyzn w dresach. Jeden podał rękę sekretarce, a drugi podchodził do mnie w postawie karate. Trzeci po cichu zachodził z boku z zaciśniętymi pięściami. Z trudem odchyliłem się, uniknąłem ciosu i od razu przygotowałem się do ataku: położyłem dziewczynę na wózku, a wtedy ten od przodu runął na mnie z pochyloną głową. Gdy resztkami sił przełknąłem uczucie mdłości, jakby wyciskane ze mnie, jednocześnie w sam środek mdłości zaczęła pograżać się i tonąć moja świadomość. Twarze widzów, otaczających mnie z pewnej odległości, były czerwone jak kwiat gladiolusa. Zanim zamknięto mnie w gumowym worku, grubszym niż gorset wicedyrektora, usłyszałem głos śpiewającej w dali sekretarki.

*Powiedz tabliczkę mnożenia.*

Ktoś zaczął czytać modlitwę żalobną za mnie.

*Dwa razy dwa jest cztery... dwa razy trzy jest sześć... dwa razy cztery jest osiem... dwa razy pięć jest dziesięć...*

Przytomność odzyskałem w ciemności. Szukając po omacku po pewnym czasie dotknąłem koła wózka inwalidzkiego i przypomniałem sobie, co działo się przedtem. Pod żebrami pozostał tępy ból. Rozmasowałem brzuch, otworzyłem walizkę znajdującą się pod krzesłem, wyjąłem latarkę, najpierw sprawdziłem, co jest z dziewczyną. Zmieniła swój kształt do tego stopnia, że wyglądała jak zbyt nadmuchana gumowa lalka. Gdy przybliżyłem do niej ucho, wychwyciłem cichy szmer oddechu. "Zaszumiały włosy na całym ciele, jakby pogłaskane elektrycznością". Wreszcie jesteśmy tylko we dwoje - z powodu irracjonalnego uczucia mimo woli zebrało mi się na płacz. Włożyłem palce między fałdy pod brodą dziewczyny i potarłem łagodnie. Dziewczyna uniosła do połowy powieki i zamrugła, jakby oślepiało ją światło. Pocałowałem ją w brodawki. W jakby dwie plamki. Rozległ się głos, jak gdybym nadepnął na przedziurawioną piłkę.

W świetle latarki obejrzałem wnętrze pokoju. Krzesła, stoły, bar, kupa pustych butelek i papierowych kubków - wszystko to zniknęło bez śladu. Podłogę pokrywała gruba warstwa dawnego kurzu, nie poruszonego przez choćby jeden ślad stopy. Zacząłem się zastanawiać nad tym, czy wczorajszy festyn nie był świętem duchów. Lecz budynek był taki sam, jaki pozostał w pamięci, na wózku leżała dziewczyna na

wpół rozgnieciona, a w okolicach żołądka wyraźnie pozostał ślad uderzenia głową. Obok wózka inwalidzkiego leżała porzucona owa jutrzejsza gazeta, całkowicie pognieciona.

Wsluchiwałem się uważnie. Wszędzie panowała całkowita cisza, nie było słychać najdrobniejszego odgłosu obecności życia.

Może dziewczynę zostawię - postanowiłem obejść miejsce, w którym odbywał się konkurs. Ale gdyby po powrocie dziewczyna i krzesła miały zniknąć razem z całym wyposażeniem tej poczekalni, to wolałem nie ryzykować. Dotknąłem jej ciała, skóra była sucha, jakby przypudrowana. Skubałem to w jednym, to w drugim miejscu, jakbym wygniatał ją z gliny. Po pewnym czasie wydało mi się, że odzyskała trochę cech ludzkich. Coś szeptała. Przyłożyłem ucho do miejsca, z którego dochodził szept.

- Dotknij mnie...

Wokół rozpuszczonych kości zwiślały warstwy skóry i mięśni tak luźno, że nie mogłem rozpoznać, która bruzda jest krocem. Już na pewno tego się nie dowiem. Więc dotykałem i pieściłem wszystkie fałdy po kolei. Jej oddech stał się szorstki, szybszy, całe ciało zwilgotniało, aż w końcu zapadła w senność.

Wyprostowałem pogniecioną "jutrzejszą gazetę" i rozłożyłem na podłodze. Na czołówce pierwszej strony znajdował się szczegółowy, ilustrowany opis namiętnego stosunku płciowego między Koniem-Człowiekiem o dwu penisach i posiadaczką rekordu w długości orgazmu, z Kobieta w Masce. Koń-Człowiek chciał posłużyć się dwoma penisami na przemian, ale z powodu gorsetu nie szło mu to dobrze, więc ograniczył się do użycia tylko dodatkowego, ale mimo to - jak mówiono - wywarł duże wrażenie na wszystkich uczestnikach. (W nawiasie jest podpis "Koń").

Nie mogę jednak uznać czegoś takiego jak przeszłość, która się jeszcze nie rozpoczęła.

Zacząłem iść pchając wózek inwalidzki przed sobą. Wydawało mi się, że znam dobrze rozkład tego budynku. Tak, tu jest na pewno pierwsze piętro, więc wystarczy znaleźć przejście w górę albo na dół. Schody chyba zupełnie się rozpadły, dlatego, jeśli czegokolwiek tu szukać, to tylko śladów po ubikacjach. Szedłem więc dalej. Szedłem rysując plan gmachu w głowie, przeciągałem linie, to znów je kasowałem. Powinna być ubikacja na każdym oddziale, ale nie wiadomo dlaczego żadnej nie mogłem

znaleźć. Gdy wreszcie na jakąś natrafiłem, okazywało się, że sedes został mocno przytwierdzony, więc przez otwór nie mogłem precyzyjnie przycisnąć nawet jednej ręki.

Minęło kilkadziesiąt godzin, zaczęło już słabnąć światło latarki. Początkowo optymistyczny nastrój zmieniał się w lęk dławiący dech w piersi, czułem się tak, jakbym staczał się ze stromego zbocza. Włożyłem baterię do aparatu podsłuchowego i spróbowałem wołać, początkowo cicho, jakbym chciał, żeby nikt tu mnie nie usłyszał. Nie zwracałem się do kogoś specjalnie, po prostu pytałem o drogę, jakby przy okazji, przypadkowo.

Kiedy się zmęczyłem, wyjmowałem baterię i obejmowałem dziewczynę. Od czasu do czasu miałem erekcję. Zmarszczki na jej ciele wciąż się pogłębiały i wydawało się, że wciąż oddala się od ludzkiej postaci.

W końcu wyczerpały się baterie w latarce. Zwróciłem się w stronę aparatu podsłuchowego i zacząłem jęczeć nie zwracając uwagi na wstyd i reputację. To do Konia wołałem. Przyznałem się, że byłem chory i skarżyłem się tak głośno, jak tylko mogłem, obiecując, że odtąd będę już wzorowym pacjentem.

Już nie widziałem zegarka, nie wiedziałem też ile dni upłynęło. Żywność skończyła się, podobnie jak woda pitna. Mimo to gdy byłem zmęczony, wyjmowałem baterię i obejmowałem dziewczynę. Ona już prawie nie reagowała. W każdym razie baterie w aparacie podsłuchowym też się wyczerpią, a wtedy będę mógł pieścić dziewczynę bez skrupowania, nie obawiając się nikogo.

Gryzłem kołderkę zrobioną z matki dziewczyny i zlizywałem krople wody z betonowej ściany, uczepiłem się mocno tej *schadzki* dla jednej osoby, za którą nikt już nie mógł mnie potępić. I nawet jeśli bym bardzo chciał zanegować ten fakt, to jednak nic nie mogłem poradzić: już wyprzedziła mnie *jutrzejsza gazeta*, a ja w *przeszłości zwanej jutrem* po wielekroć, bezwzględnie, wciąż umierałem.

Obejmując w czulej *schadzce* tylko jedną...